

**3 AKTUALNOŚCI****4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Maciej Rosalak, **Amerykane na Księężycu****STOPKLATKA****10** Tomasz Stempowski, **Ucho od śledzia, czyli tajemny język gestów****HISTORIA W KINIE****13** Andrzej Brzozowski, **Opowieść o ludziach powojennych****WYWIAD****14** **Pułapki pamięci**  
rozmowa z prof. Andrzejem Paczkowskim**Z ARCHIWUM IPN****18** Grzegorz Majchrzak, **Informacja z podsłuchu****WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****20** Wojciech Morawski, **Złoty Blok****24** Patryk Pleskot, **„Radio w walce o pokój i postęp”, czyli początki... telewizji w Polsce****28** Daniel Koreś, **Front Polski****33** Marcin Kula, **„Marzec” jako przedmiot analizy socjologii historycznej****38** Joanna Kuciel-Frydryszak, **Antoni Słonimski i „List 34”****42** Tomasz Kozłowski, **Bunt w bydgoskim więzieniu****47** Antoni Dudek, **Krzywe zwierciadło DTV**

Fot. Archiwum IPN



Fot. Werner/CAF

**HEJ, KTO POLAK...****50** Tomasz Łabuszewski,  
**„Stefan” – jeden z „wyklętych”****PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****54** Jerzy Eisler, **Prawda czasów – prawda ekranu****Z BRONIĄ W RĘKU****56** Michał Mackiewicz, **Pistolet VIS**  
– polska legenda**ORZEŁ BIAŁY****59** Tomasz Zawistowski, **Polski orzeł**  
na francuskiej furazerce**MIEJSCA Z HISTORIĄ****62** Tomasz Stańczyk, **Samotnia marszałka**  
Piłsudskiego**EDUKACJA HISTORYCZNA****65** Kamila Sachnowska, **Imiona zamiast liczb****68 HISTORIA NA PLANSZY**Karol Madaj, **Jak zmienić bieg historii,**  
czyli zimna wojna na planszy**70 RECENZJE****72 BIBLIOTEKA IPN****PROSTO Z NAJWESELSZEGO BARAKU...****73** **Z uśmiechem w objęciach wielkiego brata**

Fot. G. Rogiński/PAP



Fot. R. Sumik/Filmoteka Narodowa



Drodzy Czytelnicy!



Oddajemy w Państwa ręce pierwszy numer miesięcznika „Pamięć.pl” – następcy „Biuletynu IPN”. Idąc naprzeciw wyzwaniom i potrzebom współczesności, podjęliśmy zadanie stworzenia pisma otwartego na szerokie grono Czytelników i atrakcyjnego zarówno pod względem merytorycznym, jak i wizualnym. Kierujemy się przede wszystkim do historyków i miłośników historii, szukających rzetelnej wiedzy, a także tych, którzy dopiero chcą tę dziedzinę bliżej poznać. Dlatego w każdym numerze miesięcznika będziemy poruszać zróżnicowaną tematykę, obejmującą rozmaite okresy historii XX wieku.

„Pamięć.pl” nie przypadkiem w podtytule odwołuje się do swego poprzednika. Ponad jedenaście lat tradycji to bagaż znaczący – stanowiący punkt odniesienia i inspirację do wyznaczania kolejnych celów dla czasopisma opowiadającego historię czasów nie tak odległych. Historię

często zagmatwaną, budzącą żywe spory, a przez to czasem niełatwą do opowiedzenia. Wierzmy jednak, że podolamy tym zadaniom.

Jednym z podstawowych obowiązków IPN jest przechowywanie narodowej pamięci, szczególnie tej dotyczącej dziejów najnowszych, a także jej pielęgnowanie i upowszechnianie. „Pamięć.pl” będzie miejscem popularyzowania badań prowadzonych przez pracowników Instytutu, ale udostępni swoje łamy również autorom spoza IPN. Za swoiste *credo* przyjmujemy wnioski płynące z rozmowy redakcyjnej z prof. Andrzejem Paczkowskim, którą publikujemy w tym numerze: „Každy ma prawo do własnej części pamięci narodowej”.

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski

**pamięć.pl**

Wydawca:  
Instytut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Redakcja:  
Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. (22) 431 83 56;  
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)  
Filip Gańczak, Andrzej Sujka

Korekta:  
Magdalena Baj

Projekt graficzny:  
Krzysztof Findziński, Marcin Koc,  
Sylvia Szafrńska

Redakcja techniczna:  
Andrzej Broniak

Skład i łamanie:  
Sylvia Szafrńska

Siedziba redakcji:  
ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa

Adres do korespondencji:  
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa  
www.ipn.gov.pl

Druk:  
Drukarnia Legra Sp. z o.o.  
ul. Albatrosów 10 c, 30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych  
tekstach.

## W NUMERZE MAJOWYM MIĘDZY INNYMI:

### ROZMOWA Z ROLANDEM JAHNEM

„Solidarność była dla mnie wzorem” – mówi Roland Jahn, szef niemieckiego BStU (zwanego w Polsce Urzędem Gaucka), urzędu uważanego za pierwowzór polskiego Instytutu Pamięci Narodowej. Jahn to wieloletni działacz wschodnioniemieckiej opozycji antykomunistycznej: wyrzucony ze studiów, inwigilowany, więziony, siłą wydalony z NRD. W rozmowie opowiada o tych trudnych doświadczeniach i tłumaczy, dlaczego jego zdaniem konieczny jest rozrachunek z komunistyczną przeszłością.

### Filip Gańczak, PACZKI SOLIDARNOŚCI

Na początku lat osiemdziesiątych dramatycznie pogorszyło się w Polsce zaopatrzenie. Z Zachodu masowo zaczęły wtedy napływać do PRL paczki z żywnością,

lekami i innymi podstawowymi artykułami. Z samej tylko Republiki Federalnej Niemiec przysłyły miliony przesyłek. Ich dystrybucją zajmował się m.in. Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Do numeru majowego będzie dołączona płyta z filmem dokumentalnym *Paczki solidarności*, zrealizowanym przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej. Dokument opowiada o niezwykłych historiach darczyńców, obdarowanych oraz tych, którzy rozdzielali pomoc.

Fot. Robert-Havemann-Gesellschaft/Manfred Hildebrandt



Fot. Krystyna Graef, 1982

Zapraszamy na naszą stronę internetową: [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl)

■ Przy Jasnych Błoniach w Szczecinie (obok Urzędu Miasta) do 27 kwietnia można oglądać plenerową wystawę „Wrogowie Polski Ludowej. Konspiracja antykomunistyczna na Pomorzu Zachodnim 1945–1956”.

Choć podziemia zbrojnego w zasadzie na tym terenie nie było, a organizacje niepodległościowe były nieliczne, to jednak wiele osób z szeregów partyzantki AK-AKO-WiN szukało tutaj schronienia lub po prostu próbowało rozpocząć nowe życie. Młodzież w imię sprzeciwu wobec reżimu komunistycznego tworzyła związki i organizacje konspiracyjne. Wiele osób trafiło do więzień UB z powodu konspiracyjnej przeszłości lub z powodu różnych form oporu wobec władz komunistycznych.

■ Do 13 maja w warszawskim Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” przy ul. Marszałkowskiej 21/25 gości wystawa „Nauka. Planowanie. Wypędzenia. Generalny Plan Wschodni narodowych socjalistów”.

Ekspozycja, prezentowana już wcześniej w wielu miastach Niemiec, opisuje uwikłanie niemieckich naukowców w hitlerowską politykę na okupowanym Wschodzie. Głównym tematem wystawy jest Generalplan Ost – powstały w czasie II wojny światowej niemiecki projekt zaprowadzenia nowego ładu etnicznego w Europie Środkowo-Wschodniej. Przewidywał on osiedlenie w ciągu 25 lat pięciu milionów Niemców w zaanektowanej części Polski oraz w zachodniej części Związku Radzieckiego. Miliony mieszkających tam Słowian i Żydów miały zostać zniewolone, wypędzone albo wymordowane.



Wystawa została przygotowana przez Niemiecką Wspólnotę Badawczą (DFG), która w przeszłości miała udział w powstaniu Generalnego Planu Wschodniego, a dziś krytycznie prześwietla swą historię. Patronat nad ekspozycją objęli marszałek Sejmu Ewa Kopacz i przewodniczący Bundestagu Norbert Lammert. Po Warszawie wystawa odwiedzi Lublin (30 maja – 1 lipca), a później inne polskie miasta.

■ Również do 13 maja w Muzeum Miasta Zgierza czynna jest wystawa „Zbrodnie niemieckie na Ziemi Łódzkiej w czasie II wojny światowej”. Ekspozycja dokumentuje zbrodnie niemieckie popełniane od pierwszych dni hitlerowskiej agresji (zniszczenie Wielunia przez Luftwaffe) aż do ostatnich dni okupacji (zamordowanie więźniów z Radogoszcza). Twórcy wystawy m.in. zwracają uwagę na różnice w niemieckiej polityce represyjnej na obszarze Generalnego Gubernatorstwa i Kraju Warty. Ekspozycję zamyka część dotycząca powojennych procesów zbrodniarzy niemieckich oraz form upamiętnienia miejsc zbrodni.

■ W ramach akcji „Ostatni świadek” IPN apeluje do ofiar i świadków przestępstw nazistowskich lub komunistycznych o składanie zeznań przed prokuratorami Instytutu.

„Informacje przekazane przez Państwa będą miały bardzo ważne znaczenie jako dowody w postępowaniu karnym, a w przyszłości stanowiąc będą cenny materiał źródłowy dla badaczy historii najnowszej – zachęca dr Łukasz Kamiński, prezes IPN. – Upływ czasu sprawia, że wiedza o zbrodniach przeszłości znika bezpowrotnie wraz z odchodzącymi ludźmi. Stąd nasz apel: nie pozwólmy o tych zdarzeniach zapomnieć!”.

Wszyscy, którym znane są przypadki nazistowskich lub komunistycznych przestępstw z lat 1939–1989, mogą zgłaszać się z informacjami (osobiście, pisemnie lub telefonicznie) do Oddziałowych Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN. Adresy dostępne są na stronie: [www.ipn.gov.pl/download/1/35448/Ostatni\\_swiadek\\_\\_apel.pdf](http://www.ipn.gov.pl/download/1/35448/Ostatni_swiadek__apel.pdf)

■ Na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu ruszył ostatni etap prowadzonych pod nadzorem IPN prac ekshumacyjnych. W latach 1948–1956 pochowano tu skrycie ok. 350 więźniów – ofiar systemu komunistycznego. Byli wśród nich członkowie WiN i Brygady Świętokrzyskiej NSZ, oficerowie Wojska Polskiego, żołnierze Armii Andersa i uczestnicy Powstania Warszawskiego. W tej chwili do odnalezienia i identyfikacji pozostały szczątki ok. 100 więźniów w kwaterze 120. Jednocześnie regularnie odbywają się pochówki już zidentyfikowanych i zbadanych szczątków. W przyszłości na Cmentarzu Osobowickim planowane jest utworzenie specjalnie wyznaczonej Kwatery Wojennej Ofiar Terroru Komunistycznego.

Prowadzone tu badania są realizowane w ramach ogólnopolskiego projektu „Poszukiwania nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”.

oprac. Filip Gańczak

**KONKURS** Trwa konkurs na dziennik, pamiętnik lub wspomnienia dotyczące lat osiemdziesiątych XX wieku. Szczególnie preferowany jest okres stanu wojennego. Prace muszą być dziełami indywidualnymi, niepublikowanymi nigdy w całości. Należy je nadsyłać do 31 sierpnia na adres: Biuro Edukacji Publicznej IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa z dopiskiem „Konkurs na wspomnienia”. Rozstrzygnięcie nastąpi w grudniu. Nagrodzone prace zostaną opublikowane przez IPN. Dodatkowych informacji udziela dyrektor BEP dr Andrzej Zawistowski: [andrzej.zawistowski@ipn.gov.pl](mailto:andrzej.zawistowski@ipn.gov.pl), tel. (22) 431-83-83/86.

## POSTAĆ MIESIACA



► Zdzisław Najder (z lewej) w siedzibie RWE. Obok: Theo Pisker, Timothy Garton Ash, François Bondy

**1 kwietnia 1982:** Zdzisław Najder został dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa (RWE); zastąpił na tym stanowisku Zygmunta Michałowskiego. Rozgłośnia ta istniała od roku 1952. W okresie PRL była nazywana „głosem wolnej Polski”, łamała bowiem monopol informacyjny władz komunistycznych. Nadała z Monachium – przede wszystkim z myślą o odbiorcach w kraju.

Pierwszym i wieloletnim dyrektorem Rozgłośni Polskiej RWE był Jan Nowak-Jeziorański. I Nowak, i Michałowski przebywali na emigracji jeszcze od lat czterdziestych. Najder działał w PRL w opozycji. Był współzałożycielem Polskiego Porozumienia Narodowego, a później członkiem i doradcą NSZZ „Solidarność”. Jesienią 1981 roku wyjechał do Anglii, gdzie po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego uzyskał azyl polityczny. Na stanowisku szefa Polskiej Sekcji RWE pozostawał do roku 1987. W PRL w 1983 roku został zaocznie skazany na śmierć za rzekomą kolaborację z wywiadem amerykańskim. Wyrok uchylono sześć lat później. ■

**3 kwietnia 1940:** Z obozu w Kozielecku na egzekucję do Katynia wyruszył pierwszy transport polskich jeńców. Wysyłkę prowadzono na podstawie list dyspozycyjnych, przysyłanych z Moskwy. Na miejscu ofiary zabijano strzałami w tył głowy. Zbrodni dokonała sowiecka policja polityczna NKWD. Było to konsekwencją decyzji najwyższych władz Związku Radzieckiego, z Józefem Stalinem i Ławrentijem Berią na czele. Biuro Polityczne partii bolszewickiej 5 marca 1940 roku postanowiło, że polscy jeńcy i więźniowie, jako „zatwardziali i nierokujący nadziei poprawy wrogowie władzy sowieckiej”, powinni zostać zlikwidowani bez sądu.

W Katyniu pod Smoleńskiem wymordowano ok. 4,4 tys. jeńców z obozu w Kozielecku, w Charkowie – ok. 3,8 tys. jeńców ze Starobielska, w Kalininie zaś (dziś Twer) – ok. 6,3 tys. jeńców z Ostaszkowa.

Egzekucji dokonywano też w Kijowie, Chersoniu i Mińsku, a tamtejsze ofiary pochodziły z więzień rozsianych na terenie Kresów Wschodnich okupowanych przez ZSRR. Łącznie wiosną 1940 roku Sowieci rozstrzelali co najmniej 21 768 polskich obywateli: oficerów Wojska Polskiego, policjantów, funkcjonariuszy Korpusu Ochrony Pogranicza, Straży Granicznej i Służby Więziennej, ale też cywilów. Dziś często mówi się, że w Katyniu zginęła elita II Rzeczypospolitej.

Egzekucje były prowadzone w ścisłej tajemnicy, ale już w 1943 roku niemiecka propaganda nagłośniła odkrycie zbiorowych grobów w Katyniu. W PRL Zbrodnia Katyńska była tematem tabu. Władze ZSRR próbowały przypisać odpowiedzialność za Katyń Niemcom. Dopiero 13 kwietnia 1990 roku oficjalnie przyznały, że była to zbrodnia stalinowska. ■

**5 kwietnia 1952:** Została podpisana polsko-sowiecka umowa o budowie w Warszawie Pałacu Kultury i Nauki (PKiN). Prace ruszyły niespełna miesiąc później. Pałac wznoszono jako „dar narodów radzieckich dla narodu polskiego”. W marcu 1953 roku, dwa dni po śmierci Józefa Stalina, PKiN – wciąż będący w budowie – otrzymał jego imię. Koszty budowy oficjalnie pokrywał Związek Radziecki. Polacy wzięli jednak na siebie m.in. zniwelowanie terenu oraz doprowadzenie prądu i wody. Surowce wykorzystywane przy budowie w większości także były polskie. Do budowy pałacu zużyto aż 40 mln cegieł i 80 tys. m sześc. betonu. Pracowało przy niej ok. 4 tys. robotników polskich i ok. 3,5 tys. sowieckich; kilkunastu zginęło w wypadkach na placu budowy. Architektem PKiN był Rosjanin Lew Rudniew. Pałac przypomina



► Pochód pierwszomajowy, lata pięćdziesiąte. Na portretach: Bolesław Bierut, Aleksander Zawadzki, Józef Cyrankiewicz, Konstanty Rokossowski

zresztą projektowany przez Rüdniewa Uniwersytet Łomonosowa w Moskwie. Wysoki (z iglicą ma 230 metrów), widoczny niemal z każdego punktu miasta, dla wielu osób stał się symbolem sowieckiej dominacji nad Polską.

Budowa pałacu była sztandarowym tematem komunistycznej propagandy lat 1952–1955.

Rozmach inwestycji miał dowodzić wyższości socjalizmu nad kapitalizmem. Premier Józef Cyrankiewicz mówił o „symbolu braterskiej pomocy”. Ale warszawiacy śpiewali też złośliwie: „Co nam obca przemoc dała, nocą rozbierzemy”. Oficjalne otwarcie pałacu odbyło się 22 lipca 1955 roku – w święto Polskiego Ludowej. Tego samego dnia oddano do użytku także stołeczny Stadion Dziesięciolecia. ■

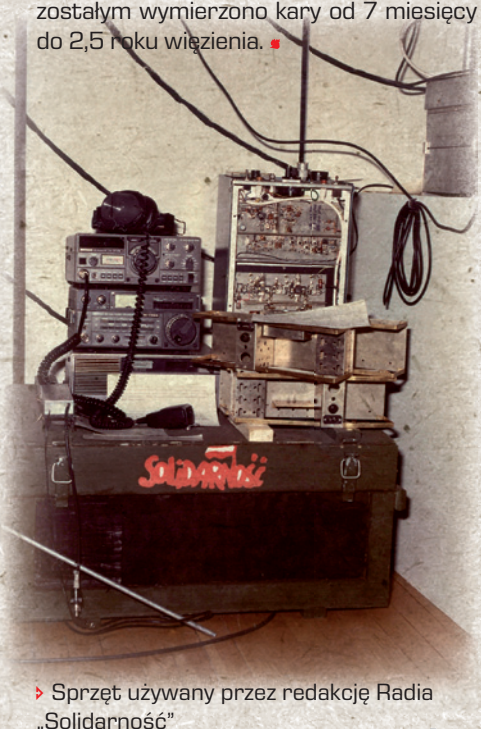


► Niemiecka ekshumacja ofiar zbrodni katyńskiej, 1943 rok

**12 kwietnia 1982:** W Warszawie swą pierwszą audycję nadało Radio „Solidarność”. Nielegalny nadajnik został umieszczony na dachu bloku na warszawskiej Ochocie, przy ul. Grójeckiej 19/25. Audycję wyemitowano na falach UKF o 21.00; trwała zaledwie kilka minut. „Żyjemy w kraju, w którym toczy się wojna. Wojna, którą władze wypowiedziały własnemu narodowi” – mówiła spikerka.

W kolejnych tygodniach nadajniki Radia „Solidarność” pojawiły się m.in. w Poznaniu, Gdańsku i Krakowie. Inicjatywy tego typu miały znaczenie głównie psychologiczne. Były symbolem społecznego oporu w stanie wojennym i dowodem, że „Solidarność” wciąż żyje. Niewielkie natomiast było ich znaczenie informacyjne. Początkowo grono słuchaczy ograniczało się do ludzi przygotowanych do odbioru audycji w zapowiedzianym terminie i miejscu. Z czasem „Solidarność” zaczęła nielegalnie nadawać na częstotliwościach państwowej telewizji, dzięki czemu audycje docierały do słuchaczy w całej Polsce.

Zespół Radia „Solidarność” liczył kilkanaście osób. Należeli do niego m.in. Zofia i Zbigniew Romaszewscy, Elżbieta i Andrzej Gomułińscy, Janusz Klekowski i Marek Rasiński. Część z nich została aresztowana latem 1982 roku. Zbigniewa Romaszewskiego skazano na cztery i pół roku, a jego żonę Zofię na trzy lata pozbawienia wolności. Pozostałym wymierzono kary od 7 miesięcy do 2,5 roku więzienia. ■



► Sprzęt używany przez redakcję Radia „Solidarność”

oprac. Filip Gańczak

**13 kwietnia 1947:** Polska Partia Robotnicza inicjowała akcję znaną jako „bitwa o handel”. Komunistom chodziło o likwidację warstwy drobnych posiadaczy, przechwycenie ich majątku i zbudowanie gospodarczego monopolu państwa, obejmującego nawet takie dziedziny, jak handel pietruszką.

W czerwcu 1947 roku weszła w życie ustawa o zwalczaniu drożyzny i nadmiernych zysków w obrocie handlowym. Właścicielom sklepów, którzy jakoby zawyżali ceny, groziło pięć lat pozbawienia wolności. Urzędy skarbowe miały prawo karać przedsiębiorców tzw. domiarami – często tak wysokimi, że doprowadzały firmę do bankructwa. Zmora dla „prywaciarzy” stały się także koncesje i utrudnienia



► Milicyjna kontrola w okresie „bitwy o handel”

**28 kwietnia 1947:** Na polecenie władz komunistycznych Wojsko Polskie, wspierane przez MO, ORMO, UB, KBW i WOP, rozpoczęło przymusowe przesiedlenie ludności ukraińskiej z ziem południowo-wschodniej Polski na „Ziemie Odzyskane” (Akcja „Wisła”). Bezpośrednim pretekstem do przeprowadzenia tej operacji stała się śmierć gen. Karola Świerczewskiego, zastrzelonego przez ukraińskich nacjonalistów podczas inspekcji w Bieszczadach 28 marca 1947 roku.

Władze polskie przekonywały, że wysiedlenia są konieczne, by skutecznie walczyć z działającą na tych obszarach Ukraińską Armią Powstańczą (UPA). Akcja „Wisła” objęła jednak także tereny, na których UPA nie była aktywna. Przyjmuje się, że operacja trwała do końca lipca 1947 roku, chociaż ostatnie wysiedlenia odbywały się jeszcze w pierwszych miesiącach 1950 roku. Przesiedleńców kierowano m.in. do województw szczecińskiego i olsztyńskiego. Podejrzanych o sprzyjanie

► Akcja „Wisła”. Ludność ukraińska opuszcza domostwa

przy zakupie towarów w hurtowniach. Za sprawą takich drakońskich metod gospodarka uspołeczniona objęła kontrolę nad 98 proc. handlu hurtowego i 55 proc. detalicznego. Załamaniu uległ nie tylko handel prywatny, ale i niezależny do tej pory handel spółdzielczy. Propaganda komunistyczna mówiła o walce ze spekulantami, ale „bitwa o handel” doprowadziła do znacznych trudności w zaopatrzeniu ludności w podstawowe towary. ■

UPA osadzano w obozie w Jaworznie. W sumie w wyniku akcji „Wisła” przesiedlono ok. 140 tys. Ukraińców i Łemków z Polesia, Roztocza, Pogórza Przemyskiego, Bieszczad, Beskidu Niskiego, Beskidu Sądeckiego i tzw. Rusi Szlacheckiej. Przez wiele lat część tych terenów była niemal całkowicie wyludniona. Całkowicie przestało istnieć co najmniej kilkadziesiąt miejscowości. W roku 1990 akcję „Wisła” potępił Senat RP. ■



# GAZETA NARODOWA

Lwów — Sobota dnia 21 kwietnia 1906.

## 21 kwietnia 1906 roku

„Gazeta Narodowa” 21 kwietnia 1906 roku na pierwszej stronie opublikowała artykuł *Trzęsienie ziemi w San Francisco*, które — jak się później okazało — było jednym z największych kataklizmów XX wieku. Dziennik donosił z przerażeniem: „Już pierwsze telegramy były tak okropne, iż zdawało się, że chyba nawet zburzenie Lizbony w r. 1755 nie dorówna kataklizmowi, jaki spotkał zachodnią stolicę Stanów Zjednoczonych. Ale też posądzano te doniesienia o zwykłą przesadę amerykańską. Niestety, pierwsze doniesienia były tylko wstępem do coraz okropniejszych, gdy do zawalenia się domów przyłączył się pożar olbrzymi”. Gazeta przybliżyła czytelnikom historię największego, wielonarodowego miasta na Zachodnim Wybrzeżu, a także jego olbrzymie znaczenie dla gospodarki amerykańskiej. W kolejnym numerze pojawiły się mroźące krew w żyłach relacje naczynych świadków kataklizmu. Korespondent „New York Journal” w taki oto sposób opisał tragiczne wydarzenia sprzed czterech dni: „Zrazu zdawało się przez chwilę, jak gdyby ziemia się zapadała, potem nagle podrzuciło budynki, jako balony, a potem znowu zapadanie się głębokie, jakiego jeszcze żaden nie doznał śmiertelny. Domy kołysały się jak topole na burzy. W trzy minuty potem było San Francisco kupą pyłisk i wybuchły pożary ogromne, jakoby chcące zniszczyć to, co trzęsienie jeszcze pozostawiło”. W podobnym tonie wypowiedział się inny nowojorski dziennikarz: „Na ulicach falowała ziemia jak bałwany morskie, domy drżały w swoich posadach albo z okropnym łomotem się waliły”. Trzęsienie ziemi i wywołane nim liczne pożary zniszczyły znaczną część miasta. Śmierć poniosły 3 tys. jego mieszkańców.”

## 29 kwietnia 1920 roku

„Świetny wynik naszej ofensywy” — donosił na pierwszej stronie „Kurier Lwowski” z 29 kwietnia 1920 roku. Wielka ofensywa polskiej armii na Ukrainie — kolejny etap wojny polsko-bolszewickiej z lat 1919–1921 — była jednym z głównych tematów kwietniowo-majowych numerów dziennika. „Przeciwdziałając zamiarom nieprzyjacielskim, armia nasza prowadzona osobiście przez Wodza Naczelnego przeszła dnia 25 kwietnia br. do ogólnej kontrofensywy na Podolu i Wołyniu. Pierwszy dzień ataku prowadzonego przez wszystkie oddziały z nadwyzajną brawurą i zastosowaniem technicznych środków walki, doprowadził na północnym skrzydle do zdobycia Owruca, Kremna, Wilska i Czudnowa” — informował płk Mieczysław Kuliński, pierwszy zastępca szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, którego komunikaty dość często gościły na pierwszych stronach pisma. Donosząc o opanowaniu Żytomierza i rozbięciu dwóch dywizji bolszewickich, płk Kuliński zwracał uwagę na wielkie poświęcenie oddziałów wszystkich rodzajów broni, „które w trudnym terenie wykonują długie i uciążliwe marsze, nie szczędząc sił, by uzyskać wytknięty cel”. Redakcja dziennika nie tylko skrupulatnie odnotowywała kolejne sukcesy polskich wojsk, ale także informowała opinię publiczną o wszelkich działaniach podejmowanych przez nieprzyjaciela. Ofensywa na Ukrainie zakończyła się zdobyciem Kijowa 7 maja. Wojna trwała nadal, a „Kurier Lwowski” — podobnie jak cała ówczesna prasa polityczno-informacyjna — informował o jej przebiegu.

# Dziennik Radomski

Radom, czwartek 15 kwietnia 1943 r. Cena 20 gr. Nr. 89. Rok IV.

## Polskie ofiary sowieckiego „strzału w kark”

### 15 kwietnia 1943 roku

Wszystkie dzienniki wydawane w Generalnym Gubernatorstwie — w tym m.in. „Goniec Krakowski”, „Nowy Kurier Warszawski” i „Dziennik Radomski” — 15 kwietnia 1943 roku poinformowały o odkryciu w Katyniu pod Smoleńskiem masowych grobów polskich oficerów zamordowanych przez Sowiećów. W artykule zamieszczonym na pierwszej stronie krakowskiej gazety można było przeczytać: „Na podstawie doniesień i informacji mieszkańców wsi Gniazdów (Katyn), leżącej w odległości około 15 km na północny wschód od Smoleńska, niemieckie władze wojskowe dokonały w tych dniach poszukiwań na terenie zalesionego wzgórza, zwanego Kozią Górą pod Gniazdowem (Katyn) i przy tej okazji natrafiły na wielkie cmentarzysko pomordowanych oficerów polskich”. „Goniec Krakowski” szczegółowo opisał widok odkopanych grobów, przedstawił skład osobowy polskiej delegacji, która na zaproszenie wojskowych władz niemieckich udała się na miejsce zbrodni, a także podał pierwsze nazwiska zidentyfikowanych zwłok — gen. bryg. Mieczysława Smorawińskiego i gen. bryg. Bronisława Bohatyrewicza (kolejne nazwiska publikowano w następnych numerach dziennika). Dzień później „Nowy Kurier Warszawski” w artykule *Widok był wstrząsający i potworny...* donosił o planowanej budowie na miejscu zbrodni „wielkiego polskiego cmentarza wojskowego”. Z kolei 20 kwietnia „Dziennik Radomski” zamieścił na pierwszej stronie obszerny wywiad z Janem Emilem Skiwskim — literatem, publicystą i zwolennikiem współpracy polityczno-wojskowej z niemieckim okupantem — który był jednym ze świadków ekshumacji polskich oficerów. Skiwski powiedział dziennikarzowi gazdiniówki, że oficerowie Wojska Polskiego zgineśli, „ponieważ reprezentowali kulturę europejską”.

### NA GALAZCE

Regione di Torino  
L'idea di un grande museo di storia e di arte, che si estenda su tutta la città, è stata presentata dal sindaco, signor Caviglioglio, al consiglio comunale. Il progetto è stato approvato con entusiasmo. Si prevede che il museo sarà inaugurato nel 1945.

### Obrońca żydostwa

Wojna jest dla nas trudna, ale my Polacy nie musimy się poddać. Jesteśmy gotowi na wszystko, aby odzyskać naszą wolność i przetrwać jako naród. Nie pozwolimy, aby nas zniszczyli.

### Katyni żołnierze

Katyni żołnierze i ich rodziny są w naszym sercu. Nie pozwolimy, aby ich pamięć została zapomniana. Będziemy ich szukać do końca.

### Wojna i kultura

Wojna niszczy kulturę, ale nie może ją całkowicie zniszczyć. Kultura jest siłą, która przetrwa i odrodzi się.

### Wojna i religia

Wojna jest dla nas trudna, ale my Polacy nie musimy się poddać. Jesteśmy gotowi na wszystko, aby odzyskać naszą wolność i przetrwać jako naród.



# Amerykianie na Księżycu

Maciej Rosalak

**W niedzielę nie puścili nas na przepustkę, jeno kazali kopać ogródek napalmowy, czyli szeroki pas ziemi wokół koszar, który – zdaniem por. Piątka – należało skopać na wypadek nagłego i zmasowanego ataku sił powietrznych US Army, od dawna chytrze planujących potraktowanie zielonego garnizonu Morąga bombami zapalającymi.**



Fot. Adam Warżawa/PAP

S  
I  
Ó  
D  
M  
Y  
K  
R  
Z  
Y  
Ż  
Y  
K

**Z**ar płynący tego dnia z nieba zaiste przypominał napalmową pożogę. I żebyśmy lepiej ją odczuli – dowódca zakazał zdejmowania kurtek i czapek. Owo zdarzenie, błahe na pozór, pamiętam tym lepiej, że właśnie tego dnia Amerykanie planowali nie tylko bombardowanie koszar w Morągu, ale również lądowanie na Księżycu. Czy porucznik Piątek przewidział skierowanie pojazdu Apollo 11 z Księżycza nad Warmię i zrzucenie ładownika wypełnionego żrącą substancją zamiast Armstrongiem i Aldrinem – nie wiemy, ale znając jego intelekt i wyobraźnię, całkiem wykluczyć przecież nie możemy. Oryginalną kreatywność naszego oficera rychło docenił kpr. pchor. Jacek B. (dziś profesor mediewistyki na UW), który akurat ocierał pot z czoła, gdy por. Piątek zagadnął go życzliwie:

– No, i jak wam się podchorąży podobają takie kopanie ogródka?

– To jeszcze nic w porównaniu z książką *Wzgórze* albo *Stąd do wieczności* obywatelu poruczniku!

– Czy nic, to jeszcze zobaczymy. Ja mam tutaj swoją czarną książeczkę, do której właśnie wpisuję wasze nazwisko, a jutro będziecie mi się meldować co godzina. Z bronią, pełnym oporządzeniem, wypucowani, ogoleni, z czystą chusteczką ma się rozumieć!

No, i Jacuś się meldował.

A jak ojciec prawdziwy – choć surowy, lecz troskliwy – por. Piątek zachował się po wielkich manewrach. Zaczęły się nocnym alarmem, potem maszerowaliśmy całą noc, za dnia biegliśmy do ataku za czołgami, każdy wykopał przynajmniej trzy okopy strzeleckie, brnął przez bagnistą strugę, spał pod pałatką w lesie, następnego dnia znów ganiał po polach i strzelał ślepkami z kałasza. Było to zresztą o niebo przyjemniejsze od koszarowego drylu i musztry, ale gdy wreszcie dobrnęliśmy do koszar, każdy marzył o prysznicu i pryczy (choć w ludowym Wojsku Polskim pod prysznic prowadzali tylko w soboty, a na pryczy pozwalali się kąść dopiero po capstrzyku, czyli po

22.00). Porucznik jednak nakazał zbiórkę. Nas ustawił na słońcu, sam schronił się w cieniu, ubrany w świeży mundur połowy. Żar lał się z nieba, a my staliśmy w brudnych, przepoconych drelichach, objuczeni bronią, saperkami, plecakami, maskami przeciwgazowymi (łącznie przepisowe 30 kg).

Dowódca nie przegapił okazji do ogłoszenia długiej pogadanki o czyszczeniu broni, czyli każdej części kbk AK zwanego automatem Kałasznikowa. Kiedy jednak doszedł do lufy, której od dawna nie mogliśmy doczyścić z powodu braku nieodzownych paków konopnych w rusznikarni, kolega Jerzy Z. (od lat siedemdziesiątych bibliotekarz w Kopenhadze) nie wytrzymał i wykrzyknął:

– A czym mamy czyścić, kiedy nie ma paków?

Porucznik Piątek był widać przygotowany na to pytanie, bo z miłym uśmiechem rzucił niecenzuralne słowo. Jurek odpowiedział tym samym. A ponieważ znajdował się w czwartym



szeregu – pozostawał niewidoczny dla dowódcy, który, wyskoczył z cienia, szukał, wrzeszczał: „który to?”, ale przecież nikt by Jurka nie wydał. Stał się on tego dnia bohaterem kompanii, bo wściekający się porucznik tak zgłupiał, że kazał nam natychmiast rozejść się... Piątek był oficerem miejscowego garnizonu, wyznaczonym na dowódcę naszej kompanii tylko na czas obozu wojskowego, kończącego szkolenie (dwa tygodnie na semestr do IV roku włącznie) w Studium Wojskowym UW. Studium to zatrudniało oficerów odsuniętych od służby liniowej i dożywających tam emerytury.

W porównaniu z Piątkiem inni oficerowie byli nawet dość poczciwi, jak np. płk Omelan od terenoznawstwa, który na obozie poprowadził nocny marsz na azymut. Popił sobie w szoferce, a zanim usnął, wyprowadził nas na manowce. Był bardzo niski, ale mawiał: „Miała nas matka siedmiu synów, wszystkie takie byki jak ja”. Słynna była jego opowieść o tym, jak podczas wojny został dowódcą plutonu: „Byłem zastępcą dowódcy plutonu. Siedzimy w okopie, kule świszczą, głowy wystawić nie można, a tu dowódca plutonu mówi »Omelan, wyrzycie!«. No, to odpowiadam: »Sami wyrzycie!«. Wyrzwał. I tak zostałem dowódcą plutonu”.

Major Kuźma od taktyki zwykł zaś mawiać ze swym wschodnim akcentem: „Na współczesnym polu walki pierwsze skrzypce grają czołgi”.

Skłonność do poezji przejawiał czasami także zwalasty i zazwyczaj dość ponury saper płk Matuszczyk. Trzeba wiedzieć, że przy wyznaczaniu pola ogniowego drzewo nazywa się często „dozorem” (np.: „dozór [czyli drzewo] dwa palce w lewo cekaemem ognia!”). I otóż pewnej jesieni, podczas przerwy po zakopaniu na wertepach czerniakowskich kolejnych min pamiętających czasy bitwy pod Lenino, pułkownik przemówił

nagle grobowym głosem: „No, chłopcy, jesień idzie, liście na dozorach żółkną”.

Byliśmy szkoleni na UW przez oficerów z demobilu albo zupaków w jednostce. Chodziliśmy w najgorszych sortach mundurowych (dzieciarnia na widok naszych długich zimowych płaszczy niespotykanego już kroju wołała, że przyszliśmy z Oki). Niewiele też mieliśmy do czynienia z bronią. Każdy wystrzelił po kilka naboju z ckm i rkm, po trzy z pistoletu TT. Nikt nigdy nie rzucił granatem bojowym i nie poszedł „w dym wybuchu”. A przecież zdobywaliśmy stopnie podoficerów podchorążych, którzy w obronie socjalistycznej wspólnoty mieli prowadzić plutony piechoty nad Atlantyk przy boku „bratniej i niezwycięzonej Armii Radzieckiej”.

Nie przypuszczam więc, aby któryś z naszych oficerów, nawet politycznych, był aż tak tępy, aby ufał w naszą ochotę do walki z amerykańskimi rówieśnikami w obronie Władysława Gomułki i Leonida Breżniewa. Większość z nas skłonna była raczej wywołać z Amerykanami wojnę, natychmiast się poddać i zostać 51. stanem USA. Totem widok żołnierzy US Army w dobrze nam znanych koszarach w Morągu, jaki w ostatnich latach pokazywała telewizja, oznaczał spełnienie marzeń ówczesnych podchorążych, szczególnie łasych

– jak pisała wtedy „Trybuna Ludu” – na lep zachodniemieckich militarystów i amerykańskich imperialistów.

Na trybunie honorowej nie dostrzegłem jednak por. Piątka, tej „ozdoby i chluby” zielonych garnizonów PRL. Zapewne przeszedł już w zasłużony stan spoczynku. I dlatego Amerykanie nie poznają radości kopania ogródków napalmowych w trzydziestostopniowym upale, nie będą też szorować porowatej podłogi szczoteczką do zębów, ani wnosić cekaemu systemu Goriunowa na trzecie piętro, ani obierać zapleśniałych kartofli, ani meldować się co godzina z całym rynsztunkiem, tracąc przepustkę i możliwość wypicia piwa w cieniu muzeum Herdera. Jednym słowem, Amerykanie nie poznają uroków „stąd do wieczności” w wydaniu nieocenionego oficera LWP.

Wszelako jest coś, co łączy polskiego podchorążego z tamtych lat i obsługę amerykańskich Patriotów. Otóż kiedy postawiono mnie po raz pierwszy na warcie pod pięknymi koszarami Morąga, nie dano mi ostrej amunicji. Dziś wyrzutnie nie mają prawdziwych pocisków. Chyba żeby, broń Boże!, nikogo nie trafić... ❀

Maciej Rosalak – redaktor dodatków historycznych „Rzeczpospolitej”; w 1969 roku żołnierz kompanii złożonej ze studentów historii, archeologii, etnografii, muzykologii i historii sztuki Uniwersytetu Warszawskiego



# Ucho od śledzia, czyli tajemny język gestów

Tomasz Stempowski

Do Instytutu Pamięci Narodowej trafiło ponad 89 km bieżących akt. Mimo upływu dziesięciu lat intensywnej pracy archiwistów, określenie, jaką część tego zbioru stanowią fotografie, nie jest łatwe. Szacujemy, że w zasobie IPN znajduje się około 39,4 mln fotografii, w tym 37,8 mln zdjęć paszportowych i 128 500 odbitek w osobnym zbiorze fotografii odziedziczonych po Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Pozostałe zdjęcia to przede wszystkim materiały operacyjne i dowodowe, najczęściej rozproszone w aktach spraw. Osobny zbiór stanowią taśmy filmowe (1440 jednostek). W rubryce „Stopklatka” ujawnimy tajemnice niektórych z tych fotografii i klatek filmowych.

„Jesteś zniewieściał” albo „jesteś gejem” – tyle znaczyłby gest mężczyzny widocznego na zdjęciu, gdyby szedł on ulicą włoskiego miasta. W Portugalii chwycenie palcami za ucho zastępuje słowa „światny, wspaniały”, a w hiszpańskim barze sygnalizowałoby, że ktoś próbuje najeść się i napić na cudzy koszt. Nieco inaczej jest w krajach anglosaskich. Według Allana i Barbary Peasów, autorów książki *Mowa ciała*, osoba wykonująca nieświadomie taki gest stara się symbolicznie zablokować docierające do niej słowa, nie akceptuje ich. Ma to być odmiana dziecięcego gestu zatykania uszu. W pewnych okolicznościach dotknięcie ucha może też dawać do zrozumienia, że człowiek usłyszał już dość lub że sam chce zabrać głos.

**J**ak widać, język ciała jest ściśle związany z lokalną kulturą społeczną i w różnych miejscach przybiera odmienne formy. Przy jego interpretacji trzeba zachować ostrożność. Żeby odczytać znaczenie czyichś gestów, należy ustalić kto, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach je wykonał. Ale nawet to nie daje pewności prawidłowej interpretacji. Bo np. zawsze się może się

zdarzyć, że kogoś po prostu zaswe-działo ucho.

Jak łatwo poznać po widocznym po lewej stronie fotografii gmachu Hotelu Warszawa (przedwojennym wieżowcu Prudentialu), mężczyzna w płaszczu i kapeluszu spaceruje ul. Świętokrzyską w stolicy Polski. Zatem jego gestu nie tłumaczy żaden z wyżej wymienionych powodów. Chyba że jest obcokrajowcem.

W Polsce uchwycenie koniuszka ucha w palce kojarzy się z gestem Kwinty z ostatniego ujęcia *Vabanku* Juliusza Machulskiego. Kwinto powtórzył gest swojego przeciwnika, bankiera Kramera, który na początku filmu wykonał go, mówiąc: „ucho od śledzia”, co miało znaczyć, że okradzenie jego banku jest niemożliwe. Jak wiadomo, Kwincie udało się tego dokonać i w dodatku zwalić winę na Kramera, któremu nie zostało zupełnie nic, czyli właśnie „ucho od śledzia”.

W rzeczywistości zdjęcie nie pokazuje filmowego gągu, a mężczyzna nie jest pierwszym kasiarzem Rzeczypospolitej, ani nawet peerelu. To pracownik Biura „B” Służby Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Fotografia pochodzi ze szkoleniowego albumu *Znaki porozumiewawcze*, a zamieszczony pod nim podpis brzmi: „Koniec pracy – wywiadowca trzyma ręką miękisz ucha”. Album składa się z 17 tablic poglądowych zawierających 27 zdjęć, pokazujących różne sygnały

używane w trakcie obserwacji „figurantów”, czyli osób, którymi interesowała się bezpieka.

Biuro „B”, jak głosiło Zarządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z 1958 roku, zostało powołane do „prowadzenia obserwacji tajnej i ustalenia zewnętrznej działalności osób pozostających w operacyjnym zainteresowaniu jednostek służby bezpieczeństwa”. W praktyce jego praca często polegała na śledzeniu ludzi. Zwykle

prowadziło je kilku wywiadowców, którzy co jakiś czas zmieniali się dla uniknięcia dekonspiracji i wymknięcia się „figuranta”.

Podstawowym warunkiem powodzenia obserwacji było utrzymanie łączności między wywiadowcami. W latach sześćdziesiątych środki techniczne nie były jeszcze na tyle zminiaturyzowane, żeby zawsze można było niepostrzeżenie z nich korzystać, a często po prostu ich brakowało. Dlatego wywiadowcy ➤





Fotografie pochodzą z podręcznika *Znaki porozumiewawcze*

► Mowa znaków wywiadowcy: „muszę się wycofać”, „figurant się zatrzymał”, „muszę się skontaktować z innym wywiadowcą”

posługiwali się systemem znaków porozumiewawczych, w resortowej literaturze nazywanych też znakami optycznymi.

W 1960 roku, oprócz wzmiankowanego albumu, znakom poświęcono „Biuletyn nr 8 Biura »B« MSW”. Zamieszczono w nim krótkie rozważania teoretyczne, w których znaki porozumiewawcze podzielono na stałe (potrzebne na co dzień) i czasowe (używane doraźnie i każdorazowo uzgadniane między wywiadowcami), oraz tablicę z fotografiami przedstawiającymi czternaście najważniejszych stałych znaków porozumiewawczych. Był to więc swoisty słownik. Określone gesty informowały o zachowaniu śledzonej osoby, a zarazem stanowiły instrukcję dla członków grupy obserwacyjnej. Na przykład: „figurant” ogląda się do tyłu – wywiawca poprawia sznurowadła buta – następny wywiawca kontynuuje obserwację; „figurant” skręca w lewo – wywiawca wkłada lewą rękę do kieszeni i idzie prosto – inny wywiawca podąża za „figurantem”; „figurant” zaczyna się przemieszczać – wywiawca poprawia ręką włosy lub



zdejmuje nakrycie głowy oraz idzie za nim – reszta grupy obserwacyjnej rusza dalej.

W podręczniku wydanym w 1984 roku posługiwanie się takimi sygnałami obwarowano kilkoma regułami:

– „przekazywane znaki nie mogą dekonspirować wywiawców, muszą być niezauważalne dla osób postronnych,

– nadawanie informacji przy pomocy znaków optycznych winno być poprzedzone sygnałem informującym, że za chwilę nastąpi przekazanie informacji,

– przyjmujący informację winien potwierdzić jej zrozumiałość odpowiednim znakiem optycznym,

– sygnalizacja optyczna winna składać się z 10–20 sygnałów znanych na pamięć przez wywiawców,

– układ znaków optycznych winien być zmieniany co jakiś okres, np. raz w roku oraz niezależnie od czasu, wtedy gdy system ten uległ dekonspiracji”.

Znaki optyczne były z powodzeniem wykorzystywane w pracy obserwacyjnej. Stosowano je nawet w latach osiemdziesiątych, mimo że dysponowano względnie dobrą łącznością radiową. Oceniano, że wskutek jej nieostrożnego używania często dochodzi do dekonspiracji wywiawców. Poza tym wykorzystanie sprzętu radiowego w tłumie było utrudnione lub wręcz niemożliwe.

Wzmianki o użyciu znaków optycznych można znaleźć w wielu relacjach i wspomnieniach pracowników resortu. Trudniej wyłowić świadectwa takich zachowań utrwalone na taśmie filmowej lub fotografiach. Właściwie trzeba wcześniej wiedzieć, kto z przedstawionych na zdjęciu osób był pracownikiem Służby Bezpieczeństwa, żeby próbować odczytywać jego gesty jako znaki. Ale nawet, jeśli wiemy, kto jest wywiawcą i mamy pewność, że w danej chwili coś komunikuje, nie będzie łatwo ustalić – co.

Zgodnie z zasadami konspiracji system znaków był przecież okresowo zmieniany.

Album *Znaki porozumiewawcze* pozostaje dziś historycznym dokumentem i ciekawostką niepozabawioną walorów komicznych. Nagromadzenie zdjęć dorosłych mężczyzn drapiących się, chwytających za nos czy ucho wywołuje uśmiech. Jednak raczej nie przyda nam się jako uniwersalny słownik, pozwalający na odczytanie tajemnych treści ukrytych na archiwalnych fotografiach. Niestety, ucho od śledzia! 📌

Tomasz Stempowski – historyk, kustosz w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Danych IPN w Warszawie; interesuje się fotografią historyczną; autor artykułów dotyczących fotografii historycznej i archiwistyki; współautor książki *Prawo w filmie* (2009), współredaktor albumu *Oblężenie Warszawy w fotografii Juliana Bryana* (2010)

# Opowieść o ludziach powojennych

**Człowiek powojenny to ktoś, kto przeżył, widział, doświadczył, popełnił. Kto ma to wszystko w sobie. W latach 1945–1946 Mazury – ziemie nazwane odzyskanymi – pełne były ludzi powojennych. Różnych. Tych, których wojna zniszczyła, a także tych, których stworzyła. Człowiek powojenny może być tylko ofiarą lub oprawcą. Lub jednym i drugim na raz.**

Fot. Materiały prasowe

**R**óża Kwiatkowska (Agata Kulesza) jest ofiarą, i to ofiarą odrzuconą przez wszystkich. Jest wdową po niemieckim żołnierzu, rozstrzelanym przez Rosjan. Sama mówi po niemiecku; mówi też po polsku – jest stąd, z Mazur. Inni tutejsi – sąsiedzi, którym grozi deportacja jako „Niemcom” – odwrócili się jednak od Róży, bo udało się jej ocalić nie tylko gospodarstwo, ale także siebie i córkę ukrytą na strychu, chociaż stacjonowali u niej Sowietci. O cenę ocalenia nikt nie pyta.

Różę prześladowają nowe władze, Urząd Bezpieczeństwa i NKWD. W ich oczach jest Niemką, Mazurką, czyli z „narodu najwierniejszego Hitlerowi”, który w plebiscycie głosował za Rzeszą – jak przypomina oficer bezpieki. Nęka ją szabrownicy, wykorzystujący bezbronność samotnej kobiety. Jest tylko Niemką dla tzw. repatriantów, którzy nie znają miejscowych realiów i są przekonani, że gospodarstwa przejmują po pokonanych Niemcach. Różę prześladowają także wspomnienia – zwłaszcza te z końca wojny – zbiorowe gwałty, morderstwa, rabunek; orgia zwycięskiej Armii Czerwonej.

Człowiekiem powojennym jest również Tadeusz (Marcin Dorociński) – szukający ucieczki od świata żołnierz AK, który walczył w Powstaniu Warszawskim i był świadkiem gwałtu i morderstwa dokonanego na jego żonie przez pijanych niemieckich żołnierzy. Tadeusz nie chce już walczyć, odrzuca

znaleziony karabin, rozminowuje pole ziemniaków, opiekuje się Różą. Uczy ją podstawowych umiejętności, bez których nie da się przeżyć: „tak przeladujesz, tak strzelasz”. Choć on też jest ofiarą wojny, to wojna także jego częściowo stworzyła – jest żołnierzem. Potrafi zabijać, sprawnie porusza się w (po)wojennej rzeczywistości – łatwo nawiązuje kontakty z półświatkiem, by zdobyć leki i ocalić Różę przed deportacją.

Dwoje głównych bohaterów otacza najgorszy rodzaj ludzi powojennych. To zbydlęceni oprawcy. I to właśnie oni sprawiają, że rozpaczliwe szukanie odrobiny normalności w czasie pogardy jest bezskuteczne. Wielokrotnie zgwałcona Róża walczy o życie, a Tadeusz, choć w końcu podejmie walkę, to w starciu z oprawcami jest bez szans. Niezłomny może pozostać tylko wewnątrz.

Smarzowski kreśli ten powojenny świat mocną kreską: scena pierwsza: zakrwawiona twarz powstańca z przerażeniem patrzącego na gwałt i morderstwo, następna scena – egzekucja, kolejna – szabrownicy... I to wszystko w pierwszych kilku minutach filmu. Dzięki temu widz już wie, że zasiedlanie powojennych ziem odzyskanych to nie sielanka z komedii Chęcińskiego. *Sami swoi* – to szabrownicy i pijani maruderzy. „Swoi” – bo są elementem codzienności. Ponury krajobraz, cisza przerywana lapidarnymi dialogami lub krzykami bólu i przerażenia, z rzadka – niepokojąca muzyka. Reżyserskie chwytły znane z poprzedniego filmu Smarzowskiego *Dom zły*, sprawdzają się także w *Róży*, budując przytłaczającą atmosferę, czasem wręcz brutalnie („przejdźcie” od sceny zbiorowego gwałtu do rżnięcia belki piłą) podkreślają zupełny upadek człowieczeństwa.

*Róża* niezupełnie jest filmem historycznym, choć reżyser i scenarzysta sprawnie nakreślili realia radzieckiego „wyzwolenia”. To raczej film o utracie człowieczeństwa i szukaniu odrobiny normalności w nienormalnych warunkach. Z tego punktu widzenia film Wojciecha Smarzowskiego ma charakter uniwersalny – jego fabuła mogłaby równie dobrze być osadzona w realiach byłej Jugosławii, w Czechenii czy Ruandzie. Ale siłą jego oddziaływania na polskiego widza jest tym większa, że *Róża* odnosi się do narodzin kraju, który znamy. 🍷

Andrzej Brzozowski



# Pułapki pamięci

Z **prof. Andrzejem Paczkowskim** rozmawiają  
Andrzej Brzozowski i Andrzej Zawistowski

**Niedługo minie piętnaście lat od czasu, gdy przystępowano do pisania ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Czy cele, które stawiali sobie autorzy ustawy, zostały osiągnięte?**

Wydaje mi się, że obecny stan IPN odbiega od tego, co wówczas zakładano. Instytut miał mieć bardziej ograniczone pole działania. Przede wszystkim chodziło o to, żeby zabrać archiwa służbom specjalnym i poddać je rzeczywistej kontroli cywilnej. Innym celem było rozpoczęcie systematycznych badań nad systemem represji, a głównie nad aparatem bezpieczeństwa. Nie myślano o działalności edukacyjnej w tak rozbudowanej formie, jaką osiągnęła. Między innymi dlatego w ustawie jest potraktowana bardzo ogólnikowo, właściwie w jednym akapicie. Nie myślano wówczas o wystawach czy konkursach.

**Jak ten wzrost roli edukacji w działalności IPN wpłynął na funkcjonowanie instytutu? Zadanie edukowania, popularyzowania wiedzy – np. z archiwów służb specjalnych – to spore wyzwanie... Jak oceniliby Pan dotychczasową edukacyjną działalność IPN?**

Stosunkowo szybko po uruchomieniu IPN rozpoczęło się poszerzanie obszaru aktywności, gdyż po prostu takie było zapotrzebowanie społeczne, przede wszystkim „w terenie”, tzn. w oddziałach instytutu. Wyzwaniem stała się edukacja *sensu stricto*, czyli praca z młodzieżą oraz nauczycielami. Zainteresowanie wiedzą o represjach i „bezpieczeństwie” wzrastało się także w związku z emocjami wokół lustracji, ale przede wszystkim z okazji różnego rodzaju rocznic i obchodów. W tym zakresie najważniejsza była działalność edukacyjna i popularyzatorska obejmująca przypomnienia o ludziach i wydarzeniach przemilczanych lub całkowicie zakłamanych (np. wielki problem Żołnierzy Wyklętych). Działalność ta jest dla konsumenta mediów, zwłaszcza ogólnokrajowych, niemal niewidoczna, a obraz instytutu kształtowany jest przez sprawy lustracyjne. Było tak nawet wówczas, gdy lustracja znajdowała się poza IPN.

**Nazwą instytutu nawiązuje jednak do instytucji istniejącej już wcześniej?**

To odwrócenie nazwy Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytutu Pamięci



Fot. P. Życiński

**Prof. Andrzej Paczkowski** (ur. 1938) – historyk, członek Rady Instytutu Pamięci Narodowej; wcześniej przez dwie kadencje zasiadał w Kolegium IPN; od września 1980 roku – członek NSZZ „Solidarność”; w 1983 roku jeden z założycieli Archiwum „Solidarności”; autor wielu monografii, m.in. *Wojna polsko-jaruzelska* (2006), *Pół wieku dziejów Polski 1939–1989* (1998)

Narodowej. Była ona kontynuacją istniejącej od 1945 roku Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich (do 1949 roku Niemieckich), która w 1984 roku uzupełniła swoją nazwę przez dodanie słów Instytut Pamięci Narodowej. Zgodnie z ustawą z 1998 roku stała się ona częścią szerszej zakrojonej instytucji, wyposażonej w archiwa i komórkę badawczą, stąd drugi człon nazwy został przeniesiony na początek.

**Już w czasie wojny Rząd Rzeczypospolitej na Uchodźstwie też chciał powołać IPN...**

...jako instytut martyrologii i walki polskiej w czasie II wojny światowej. To miał być właściwie instytut badań nad II wojną światową. Później, po zakończeniu wojny, pod tą samą nazwą i o podobnych celach powołano w Warszawie instytut, który działał w latach 1945–1950, a kierował nim Stanisław Płoski.

## **Pamięć była istotna dla każdej władzy.**

Oczywiście, że tak.

### **Jak możemy zdefiniować pamięć?**

Brzmi to może paradoksalnie, ale pamięć jest przede wszystkim składnikiem życia współczesnego, jest częścią „dziś”. Bo składa się na nie to, co widzimy w tej chwili dookoła siebie, i to, co było przedtem. Pamięć jest nieodłączną częścią życia indywidualnego i zbiorowego.

### **A czym zatem jest pamięć narodowa? Czy na pamięć narodo składają się pamięci poszczególnych ludzi?**

Pamięć zbiorowa nie jest sumą pamięci indywidualnych. Jest dużo bardziej abstrakcyjna. W pamięci zbiorowej dominuje pamięć wtórna, czyli wiedza, która nie pochodzi z własnego doświadczenia, lecz np. z lektury, zasłyszanej opowieści – czyli z pamięci kogoś innego. W przeciwnym razie pamięć zbiorowa byłaby tak samo krótka jak indywidualna. A ta nie sięga przecież poza własne życie. We Francji istnieje nawet rozróżnienie na pamięć oficjalną – to, co jest uznawane przez państwo za element pamięci zbiorowej – i pamięć nieoficjalną, która jest na przykład utrwalona w literaturze, filmie. Pamięć społeczna jest oparta ponadto na przekazie dokonywanym w małych grupach, takich jak rodzina, sąsiedztwo, grupa koleżeńska.

### **Czy pamięć oficjalna i pamięć narodowa czasem się nie rozmiągają?**

Bardzo często jest między nimi nawet konflikt. Na przykład odsetek Polaków uważających, że stan wojenny został wprowadzony zasadnie, wynosi około 50–60 proc. i jest to wielkość stała, która w zasadzie nie zmienia się od 1982 roku. Ludzie tak twierdzący niekoniecznie są zdania, że stan wojenny był czymś dobrym – ale uznają, że był konieczny. A przecież przez większość okresu istnienia III Rzeczypospolitej, nawet jeśli stan wojenny nie był potępiany przez „pamięć oficjalną”, to nie był przez nią, czyli przez państwo polskie, gloryfikowany. Główna zmiana, jaką zaobserwowano w ciągu ostatnich kilkunastu lat, to powiększanie się grupy osób, które na pytanie o stan wojenny odpowiadają: „nie wiem” albo „nie mam zdania”. Dla coraz większej liczby osób stan wojenny jest po prostu elementem z dawnej przeszłości, a nie osobistym przeżyciem. Większość wydarzeń, o których myślimy, mówiąc o pamięci zbiorowej, to wydarzenia nowsze, a one budzą więcej emocji i wokół nich trudno znaleźć konsensus, a więc wspólną pamięć, w znaczeniu jednakowego stosunku do tego wydarzenia. Nie ma np. takiej zgody nawet na temat Powstania Warszawskiego, poza tym, że była to bohaterska walka. Natomiast w odpowiedzi na pytanie „czy decyzja o wybuchu powstania była słuszna?” zaczynają się spory. Zapewne im bliżej teraźniejszości, tym więcej w pamięci zbiorowej obszarów, co do których nie ma powszechnej zgody. O Grunwald raczej się nie kłócimy.

### **Czy w związku z tym zadaniem historyka nie jest stanie na straży określonej pamięci, a nie tylko badanie przeszłości? Choć w Polsce urzędowe narzucanie czegokolwiek jest źle postrzegane – mieliśmy przecież kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset z przerwami lat, kiedy narzucano nam wizję pamięci.**

W czasie PRL nie zlikwidowano pamięci, dążono natomiast do zmiany w niej systemu wartości. Co innego było ważne np. w pamięci oficjalnej II Rzeczypospolitej, a co innego stało się ważne w pamięci oficjalnej PRL. Gomułka czy Bierut nie kazali ludziom zapomnieć, że przed 1944 rokiem była jakaś Polska. Odwrotnie: w podręcznikach szkolnych dużo pisano o przeszłości, tylko inaczej niż przedtem. Starano się zaszczepić „nową pamięć”.

### **Ale pewne elementy z tej przeszłości były wymazywane. To zjawisko znane już od starożytności.**

Tę technikę stosują wszyscy. Także III RP. Była ulica Juliana Marchlewskiego, a teraz jest Jana Pawła II, nie ma już ulicy Marcelego Nowotki, nie ma pomnika Feliksa Dzierżyńskiego – działania takie nazywa się *damnatio memoriae*, czyli wymazywanie z pamięci. Jeżeli będzie ono długotrwałe i systematyczne, to może skutkować rzeczywistym wyparciem. To znaczy osoba lub wydarzenie przestanie się w odbiorze społecznym z czymkolwiek wiązać. Podejrzewam, że data 22 lipca dla dużej części młodych Polaków z niczym się już nie kojarzy. Skuteczność takich działań może być więc duża. Zwłaszcza w warunkach monopolu władzy symbolicznej i informacyjnej, gdy bardzo trudno się przeciwstawić takiemu wymazywaniu.

### **W warunkach monopolu społeczeństwo ma świadomość podziału na „my” i „oni”, pamięć naszą i „ichnią”?**

Przestrzegam przed uproszczonym stosowaniem podziału: władza i społeczeństwo. Czym była władza w PRL? Czy to tylko Bierut lub Gomułka? Nie tylko. Czy tylko członkowie Biura Politycznego, członkowie KC, ministrowie, dyrektorzy, funkcjonariusze „bezpieki”? Nie tylko. To także setki tysięcy aktywistów partyjnych i młodzieżowych, oficerów, różnego rodzaju tzw. bezpartyjnych bolszewików. W 1980 roku do partii komunistycznej należało ponad 3 mln osób. Czym był taki szeregowy członek PZPR: władzą czy społeczeństwem? To nie jakaś anonimowa władza wymusza na narodzie zajęcie określonego stanowiska, ale czyniły to osoby należące do tego samego narodu. Choć wyznaczyć granicę jest bardzo trudno, to w świadomości wielu ludzi, być może nawet większości, a w niektórych sytuacjach na pewno większości narodu, podział taki – „oni” władza, „my” naród – istnieje, co odgrywa ogromną rolę polityczną.

### **Wiele osób widzi jednak czasy PRL tak, że była władza i było społeczeństwo, które z tą władzą walczyło. ➤**



Fot. P. Życieński

► Wejście do Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie; neon i blacha zakrywają dalszy ciąg nazwy: ... im. J. Stalina

Oczywiście. Ale ten podział jest zarazem podziałem faktycznym, bo byli tacy, którzy walczyli z władzą, jak i ideologicznym, podtrzymywanym jako jeden z elementów oporu. Ci, którzy chcieli stawiać opór, przedstawiali się jako społeczeństwo. To wydarza się wszędzie. Ostatnio „ruch oburzonych” w Stanach Zjednoczonych głosi: My jesteśmy społeczeństwem, jest nas 99 proc. Jest to oczywiście uzurpacja, bo „oburzonych” jest znacznie mniej. Podobnie przeciwnicy ACTA uważają, że reprezentują społeczeństwo, a Donald Tusk jest „władzą”. I przeciwstawiają 38 milionów, czyli społeczeństwo, jakiejś władzy, która jest zła albo głupia. To jest powszechny mechanizm.

#### **Czy można powiedzieć, że historia należy do tego, kto sprawuje władzę?**

„Historię piszą zwycięzcy” – jak sformułował to George Orwell. W przypadku systemu niedemokratycznego centrum władzy stara się zmonopolizować historię oficjalną. Natomiast w systemach demokratycznych dopuszczany jest pluralizm. Wolno wyrażać różne opinie na temat stanu wojennego czy „okrągłego stołu”. Ktoś może uważać, że ten, kto wyraża inną opinię, jest głupcem albo zaprzańcem – ale każdy ma prawo głosu.

**W ostatnich latach pojęcia spamu zaczęto używać także w odniesieniu do wiedzy historycznej. Dziś każdy ma możliwości publikowania: w internecie czy nawet drukiem. Mówi się wręcz o wikipedyzacji wiedzy – tworzy się jej bazę, którą każdy może modyfikować i uzupełniać, nie zawsze mając wystarczającą wiedzę i szlachetne intencje. Czy historycy powinni temu przeciwdziałać?**

Określenie wykładni, zgodnie z którą mieliby to robić, byłoby dosyć skomplikowane. A pilnowanie, żeby była ona respektowana – jeszcze trudniejsze. Historyka zawodowego obowiązują jednak pewne zasady uprawiania zawodu – tak jak lekarza, adwokata czy (pod względem technicznym) tokarza. Ten, kto się przygotowuje do roli historyka, jest uczony kanonów prowadzenia badań, a zwłaszcza relacjonowania ich wyników. Dlatego należy wobec niego stosować bardziej rygorystyczne wymagania: rzetelna analiza źródeł, niepominanie źródeł, które są niezgodne z założeniem,

stawianie hipotez i próba ich zweryfikowania, nie zaś udowodnienia z góry przyjętej tezy itd.

#### **Czyli istnieje konflikt profesjonalistów–amatorów?**

Częściowo, ponieważ wielu amatorów świadomie bądź podświadomie stosuje techniki profesjonalne. Zarówno historyk zawodowy, jak i poważnie traktujący swoje hobby historyk-amator muszą się zmierzyć z oczekiwaniami grup społecznych. Problem często polega na tym, czy ulega się temu zapotrzebowaniu. Istnieje raczej konflikt historycy – media, gdyż media masowe muszą upraszczać i szukać sensacji.

**Może się zatem zdarzyć, że historyk i jego wyniki badań idą albo obok, albo nawet wbrew temu, co naród przechowuje w swojej pamięci? Tak jest chyba na przykład z dyskusją wokół Jedwabnego i udziału Polaków w Zagładzie.**

Tak. Ale ten historyk też należy do narodu – a więc już co najmniej jedna osoba w tym narodzie sądzi inaczej. Nie ma przekonania podzielanego absolutnie przez wszystkich. Ono może być większościowe, ta większość może być miażdżąca. Wtedy może powstać sytuacja, w której historyk powinien mieć odwagę powiedzenia, co wynika z jego badań, niezależnie od tego, co sądzi większość grupy społecznej czy narodowej, do której należy. To jest bardzo trudne. Wydaje mi się, że rzeczywiście jest pewien konflikt między zobowiązaniami profesjonalnymi historyka a świadomością społeczną. Na ogół świadomość społeczna dąży do układu czarno-białego, do prostego podziału na dobro i zło. Natomiast historyk nie może przyjąć takiego założenia. Z badań bardzo często – co nie znaczy, że zawsze! – wynika, że było i czarne, i białe, i szare. I kolorowe.

**W czasach PRL, gdy istniała określona pamięć oficjalna, istniał też drugi obieg wiedzy o historii. Pan również brał udział w tworzeniu Archiwum „Solidarności”. Czy w czasach reglamentowania wiedzy łatwiej było ustalić wspólną pamięć niż teraz?**

Wydaje mi się, że nie. Społeczeństwo w stanie wojennym było podzielone. Zawsze duża jego część popierała obóz władzy. Dla niej ktoś, kto tak jak ja zajmował się publikowaniem spisanych z taśm stenogramów z posiedzeń



„byłej” Komisji Krajowej „byłego” związku „Solidarność” – jak mawiał rzecznik prasowy rządu – prowadził działalność bezsensowną, a nawet szkodliwą, bo służącą podtrzymaniu wrogiego mitu.

### **Jest tendencja do postrzegania opozycji w PRL jako monolitu. A przecież w tym środowisku też były różnice zdań.**

Były oczywiście podziały, które po 1989 roku ujawniły się z wielką mocą. Nie mówię o podziałach tylko czysto politycznych, ale też światopoglądowych. To bardzo dobrze widać w sposobie traktowania, także na poziomie oficjalnym, np. roku 1956. Dla jednych ważny jest poznański Czerwiec, czyli rewolta robotników pod hasłami „Precz z komuną!”, „Precz z Ruskimi!”, „Niech żyje Anders!”. A dla drugich Październik, czyli reforma. Nie rewolucja, nie spontaniczny protest, tylko – lepiej lub gorzej intelektualnie przetrawiona – propozycja ewolucyjnej zmiany systemu. W rezultacie jedni eksponowali Październik, natomiast inni eksponowali Czerwiec. Te rozbieżności występują do dziś. W 2006 roku, w pięćdziesiątą rocznicę, oficjalne uroczystości odbyły się pod pomnikiem w Poznaniu, podczas gdy Październik wspominano raczej na poziomie naukowym, środowiskowym. Państwo jako takie nie zainteresowało się Gomułką i VIII Plenum KC PZPR. To pokazuje, że są różne segmenty przeszłości, które się uwidacznia. To nie znaczy, że się potępia te inne, ale ważny jest ten jeden – o nim się mówi, jemu się stawia pomniki. Nie ma pomnika VIII Plenum ani demonstracji, które się odbywały w Październiku. Podobnie toczy się inna dyskusja: czy ważniejsi są Żołnierze Wyklęci, czy Stanisław Mikołajczyk i PSL?

### **Czyli można powiedzieć, że każdy ma prawo do własnej pamięci?**

Oczywiście. Pamięć jest częścią jego psychiki, wobec tego nie można mu tego wyrwać.

### **Każdy ma prawo do własnej części pamięci narodowej?**

Tak. I nawet może coś do niej dodać. Starać się, żeby to, co on zapamiętał, to, co dla niego było ważne, nie zaginęło. Dlatego pisze wspomnienia i książki, domaga się na przykład, żeby nowym ulicom nadawać nazwy Żołnierzy Wyklętych, bohaterów Armii Krajowej, czy dowódców z czasów Legionów. Bo ta tradycja jest mu bliska – tradycja walki, radykalnego sprzeciwu, tradycja niemająca żadnego związku z komunizmem.

### **Pan nieraz musiał od sytuacji osoby, która pamięta, przejść do sytuacji osoby, która wie. Uczestnik ruchu „Solidarność” nagle stawia się w innej funkcji – historyka. Czy to jest trudne?**

To jest niebezpieczne. Pojawia się wtedy tendencja, żeby to,

co samemu się zapamiętało, uogólnić. Na zasadzie: skoro ja tak to odebrałem, to znaczy, że wszyscy inni też. Historyk powinien jednak starać się zobiektywizować to wszystko. Powinien starać się oderwać od swojego systemu wartości, kiedy opisuje coś, w czym sam uczestniczył. I to jest bardzo trudne dla każdego, kto był świadkiem, współuczestnikiem jakiegoś wydarzenia czy ruchu. Trudno spojrzeć na to chłodnym okiem. Ale próbować trzeba. Dla mnie pewne rzeczy były ważne, bo w nich uczestniczyłem, ale powinienem wiedzieć, że dla innych mogą być one nieważne, bo w nich nie uczestniczyli albo „ważne inaczej”, bo stali po drugiej stronie. Natomiast życie w epoce, którą się opisuje może być atutem. Jest nim tzw. wiedza pozaźródłowa: nastroje, dowcipy, powiedzonka, czyjaś mina, gesty, które nie zostały zarejestrowane, ale które autor-uczestnik pamięta. To może ułatwić opis. Było np. takie wydarzenie jak blokada ronda na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich w Warszawie w sierpniu 1981 roku. Są zdjęcia z tego wydarzenia, zapiski milicji, ocene dziennikarskie, analizy polityków. Ale ja byłem tam poproszony przez organizatorów i występowałem na scenie (mówiłem o Powstaniu Warszawskim). Mam więc dodatkową informację, jak to wyglądało, jak było zorganizowane, jak zachowywał się tłum. Oczywiście wiem z tego tyle, ile mi zostało w pamięci. 🍷

► *Damnatio memoriae* w XX wieku: na okładce książki trzymanej przez posąg przy Pałacu Kultury widoczne miejsce po skutnym napisie „Stalin”



**Akta policyjne czy materiały służb specjalnych (w tym aparatu bezpieczeństwa Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej) są dokumentami specyficznymi, niekiedy trudnymi w interpretacji – o błąd, pomyłkę zatem nietrudno. Nie oznacza to w żadnym wypadku, że nie należy z nich korzystać. Przeciwnie – bywają one niekiedy unikatowym, bezcennym wręcz źródłem. Często zresztą wbrew intencjom ich autorów. Bez nich opis np. oporu społecznego w PRL byłby dalece niepełny. Należy zatem je badać, ale traktować je z dystansem, poddawać krytyce i (o ile to oczywiście możliwe) konfrontować z innymi źródłami (relacjami, dokumentami partyjnymi, materiałami opozycji etc.).**

**D**o najbardziej wiarygodnych dokumentów wytworzonych przez aparat bezpieczeństwa należą z pewnością zapisy (często stenogramy) sporządzone na podstawie podsłuchów. Podsłuchy, pokojowy (PP) i telefoniczny (PT) oraz – zdecydowanie rzadziej stosowany – podsłuch telegraficzny (PTG) należały do tzw. techniki operacyjnej. Oprócz podsłuchów w jej skład wchodziły również: obserwacja zewnętrzna oraz perlustracja (kontrola i cenzura) korespondencji. Wyniki zastosowania techniki operacyjnej znajdziemy w wielu, jeśli nie w niemal wszystkich sprawach operacyjnych prowadzonych przez Służbę Bezpieczeństwa. Oczywiście, dane uzyskane w ten sposób musiały być chronione przed dostaniem się w niepowołane ręce, podobnie zresztą jak informacje o jej zastosowaniu. Przydatność podsłuchu, o którym wiedziała osoba (osoby), w stosunku do której (których) go zastosowano, spadała w takiej sytuacji niekiedy wręcz do zera. A warto przypomnieć, że np. podsłuch pokojowy nie był (wbrew rozpowszechnionym opiniom) wcale tak często w PRL stosowany. Niekiedy, aby go w ogóle założyć, trzeba było sporego wysiłku i dużego nakładu pracy funkcjonariuszy.

Zdarzało się, że technika operacyjna okazywała się bardziej przydatna od tzw. osobowych źródeł informacji, czyli agentury. Tak było np. w przypadku rozpracowania „Tygodnika Solidarność” przed wprowadzeniem stanu wojennego. Dopiero po 13 grudnia 1981 roku cenniejsza okazała się agentura – tajni współpracownicy, w okresie „solidarnościowego karnawału” wchodzący w skład redakcji. Nic zatem dziwnego, że dbano o konspirację techniki operacyjnej. Wbrew jednak twierdzeniom niektórych byłych funkcjonariuszy, a za nimi także publicystów, nie robiono tego bynajmniej przez np. przypisywanie danych z podsłuchów tajnym współpracownikom... Nie było takiej potrzeby. Tym

bardziej, że prowadziłyby to do dezinformacji innych niewtajemniczonych funkcjonariuszy oraz obniżałyby rangę zdobytych danych – informacja (jednoźródłowa czyli niepotwierdzona) od najlepszego nawet agenta była mniej wiarygodna niż dane z podsłuchu. Zastosowano zatem dużo prostszy sposób – w dokumencie podawano jedynie źródło danych informacji (np. „Port” – w przypadku „Tygodnika Solidarność”), nie precyzując o jakie konkretnie źródło chodzi, czy o osobowe (agenturę), czy też o techniczne (technika operacyjna).

W przypadku pojedynczych dokumentów, które trafiłyby w niepowołane ręce (co zdarzało się szczególnie w latach 1980–1981, kiedy nawet rodziny wysokich rangą funkcjonariuszy SB sympatyzowały z „Solidarnością”), trudno było stwierdzić, w jaki sposób SB zdobyła dane informacje. Do tego potrzebna była znajomość większej liczby meldunków tego rodzaju. W przeciwnym razie nietrudno było o pomyłkę i np. szukanie agenta, którego nie było...

Poniżej przywołuję przykład wykorzystania podsłuchu i jego zakonspirowania w działaniach SB przeciw Zbigniewowi Herbertowi. Pisarz ten pozostawał od końca lat sześćdziesiątych „w zainteresowaniu” Służby Bezpieczeństwa. Początkowo peerelowski wywiad (konkretnie jeden z jego wydziałów zajmujący się walką z dywersją ideologiczną oraz środowiskami emigracyjnymi) bez powodzenia przymierzał się do zwerbowania poety do współpracy; potem był on rozpracowywany przez Departament III MSW, zwalczający „wrogą działalność” w kraju.

Powodem tych działań było zaangażowanie Zbigniewa Herberta w działalność tworzącej się opozycji – od początku lat siedemdziesiątych pisarz był inicjatorem i sygnatariuszem listów protestacyjnych do władz PRL (np. w 1971 roku tzw. listu 17, czyli petycji skierowanej przez siedemnaście osób ze środowiska literackiego do ministra sprawiedliwości z apelem o złagodzenie kar dla członków niepodległościowej organizacji „Ruch”, skazanych w październiku tego roku). Działania skierowane przeciwko poecie prowadzono najpierw w ramach tzw. kwestionariusza ewidencyjnego, a następnie – ponieważ nadal kontynuował on działalność opozycyjną – sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Herb”. Formalnie zakończono je dopiero pod koniec października 1989 roku, czyli ponad miesiąc po powstaniu rządu pierwszego niekomunistycznego premiera Tadeusza Mazowieckiego; *de facto* działań przeciwko niemu nie prowadzono co najmniej od 1987 roku, kiedy to Herbert wyjechał do Paryża.

W ramach rozpracowania niepokornego pisarza SB zastosowała całą gamę środków (inwigilacja, podsłuchy, cenzura korespondencji, rozmowy profilaktyczne czy „polityka paszportowa”). Mimo jednak niekiedy finezyjnych działań i wsparcia bezpieki przez inne instytucje, Zbigniew Herbert nie zmienił swojej postawy. ■

„Herb” kryptonim źródła informacji. Celowo nie wyszczególniono, o jaki rodzaj źródła chodzi. Poniższa informacja to zapis podsłuchu, a więc pochodzi nie od konkretnej osoby – jak sugerować może kryptonim – lecz z nagrania. Cała sprawa rozpracowywania Zbigniewa Herberta także miała ten sam kryptonim.

Nazwisko funkcjonariusza, który przyjął informację; mógł to być funkcjonariusz SB z grupy rozpracowującej, który otrzymał stenogram z podsłuchu lub osoba, która spisała nagranie – w tej sytuacji funkcjonariusz „przyjmował” notatkę od samego siebie.

Bogumiła Janas, żona działacza warszawskiej „Solidarności” Zbigniewa Janasa.

Informacja – poniższe informacje stanowią zapis z podsłuchu zainstalowanego w mieszkaniu.

Numer karty nadany, a później zmieniony w archiwum.

Data sporządzenia informacji.

Źródło „HERB”  
Przyjść: R. Heber

Warszawa, dn. 27. 10. 1983 r.

TAJNE SPEC. ZNACZENIA  
Egz. poj.

Klauzula najwyższego stopnia tajności informacji.

Zapisanie informacji w jednym egzemplarzu miało dodatkowo zabezpieczyć przed dostaniem się jej w niepowołane ręce.

INFORMACJA

N dniu 26.10.1983 r. z Herbert spotkał się z

miernym mi bliziej Kobietę

Swajano w trakcie rozmowy zaruszyła, że sprawa morderstwa Janasowej jest bardzo skomplikowana i przykra. Dramatyzm Janasowej polega na tym, że w trakcie przestępstwa zaangażowano ją i ponownie fałszywie tożsamy. Być może Janasowa zaprecożyła. Żona Janasa chciało zmusić do wszelkiej ceny, aby wymogła na Janasie, żeby wyznał się. Młłłłłł jest zjedna sukcesu, ponieważ nie udało im się z własną. Janasowa przestępstwo nie było 5 października, że w pośrednictwie posłała do szpitala, po pobiciu Janasowa miała trudności i odepisła w szpitalu przyznała się, że pobito ją podczas przestępstwa. Janasowa napisała list do gen. Krawacza, do sekretarstwa i przybitych Dobroskiego, że została pobita. W trakcie rozmowy Dobroskiego, który przysłał pismo w tej sprawie gen. Krawacki. Krawacki odpisał, że nie zdziwi interesować się tą sprawą, bo mająt rozwiązania sposobu, że w mieszkaniu Janasowej odbywał się orgazm. Że Janasowa jest kobietą lekkich obyczajów. Przybitych wysłał pismo i zebrał się jej wykonać sprawę. Kobieta podnerwiała, że musi zrobić z tej historii wielką sprawę. Tym bardziej, iż porównanie z murkiem, aby przysłał zapytać się w sprawie papierów i jenne rozpracowanie sprawy gen. Krawacki. Rozmowa skończyła, że jeśli nawet Kobieta ma trudności to nie należy robić z tego problemu.

Taki zapis sugeruje, że informacja pochodzi nie z podsłuchu, lecz od konkretnej osoby (np. tajnego współpracownika) z otoczenia Herberta. Ten zabieg miał na celu dezinformację osób spoza kręgu funkcjonariuszy zajmujących się tą sprawą.

żona Zbigniewa Janasa była przesłuchiwana z powodu męża, który po wprowadzeniu stanu wojennego ukrywał się aż do 1984 roku.

rozpowszechnianie oszczerstw było często stosowaną przez SB formą represji i metodą szantażu.

„HERB”



# Złoty Blok

Wojciech Morawski

**Złoty blok to jedno z ugrupowań walutowych, które powstały podczas wielkiego kryzysu lat trzydziestych XX wieku. Z perspektywy późniejszego rozwoju wydarzeń okazało się ono przedsięwzięciem nieudanym.**

**N**asze zainteresowanie blokiem wynika przede wszystkim z faktu, że uczestniczyła w nim II Rzeczpospolita. Aby zrozumieć, o co chodziło, musimy cofnąć się do wcześniejszych faz rozwoju pieniądza.

## Blaski i cienie waluty kruszcowej

Przez całe stulecia, aż do XVII wieku, normą był pieniądz kruszcowy. Oznaczało to, że był wykonany z kruszcu, ale również, że wartość kruszcu, z jakiego była zrobiona moneta, odpowiadała wartości nominału tej monety. Inaczej mówiąc – srebro, z którego wykonany był jeden talar, miało wartość jednego talara nawet wówczas, gdy było tylko nieforemną bryłką. Pieniądz reprezentował zatem wartość nie w sposób umowny i symboliczny, ale jak najbardziej dosłowny. Oczywiście, nawet taki pieniądz mógł podlegać inflacji, a mianowicie wówczas, gdy był „psuty” przez władców, albo wtedy, gdy zwiększenie podaży kruszców (np. po odkryciu Ameryki) obniżało ich cenę.

Coś nowego w tej dziedzinie zaczęło się dziać w XVII wieku, gdy w Europie pojawiły się pierwsze papierowe pieniądze. Banknoty te były tylko „kwitami” na leżący w banku kruszec i w każdej chwili mogły być nań wymienione. W praktyce jednak szybko przyjęto założenie, że jest mało prawdopodobne, by wszyscy posiadacze banknotów przyszli po swój kruszec równocześnie. Zatem pokrycie nie musiało być stuprocentowe. Pokrycie w wysokości np. 30 proc. obiegu pieniądza w normalnych, spokojnych czasach wystarczało do zaspokojenia potrzeb tych, którzy chcieli wymienić swoje banknoty na kruszec. A w niespokojnych czasach, np. podczas wojny, wymienialność na kruszec i tak czasowo zawieszano.

W XIX wieku zatem nadal miano do czynienia z walutą kruszcową, ale oznaczało to już trochę coś innego niż w dawnych stuleciach. W portmonetkach ludzie nie nosili złotych monet, tylko to samo, co my dzisiaj – banknoty i bilon, lecz mogli je wymienić na kruszec w banku centralnym.

Z kronikarskiego obowiązku odnotujemy, że przez pewien czas funkcjonował system zwany bimetalizmem, w którym pokryciem emisji było srebro i złoto. System ten miał jednak więcej wad niż zalet i został zarzucony na rzecz waluty złotej.

## Wady i zalety waluty złotej

Główną wadą było to, że obieg pieniężny zależał od okoliczności, na które człowiek nie miał wpływu, takich jak zasoby złota. Złota było tyle, ile dała natura, nie można było w sztuczny sposób pomnożyć jego zasobów. Mogło się zatem okazać, że są one zbyt skromne dla zapewnienia obiegu pieniężnego, odpowiadającego potrzebom gospodarki. Groziło to – i rzeczywiście – zagrożenie takie od czasu do czasu występowało – deflacją i zdlawieniem koniunktury.

Podstawową zaletą był znacznie stabilniejszy i solidniejszy niż dziś system pieniężny. Wiek XIX, w co trudno nam dziś uwierzyć, był wiekiem malejących cen.

Drugą ważną zaletą złotej waluty był pewien samoczynny mechanizm, regulujący bilanse handlowe między państwami. Aby go zrozumieć, musimy uświadomić sobie kilka okoliczności. Po pierwsze – stopień pokrycia emisji przez kruszec był ustawowo określony. Oznaczało to, że jeśli do banku centralnego napłynęło złoto, to automatycznie dodrukowywał on określoną liczbę banknotów, a jeśli złoto odpłynęło,



wówczas wycofywano z obiegu część banknotów. Po drugie – parytet poszczególnych walut w złocie był sztywny i określony na stałe. Oznaczało to również, że wzajemne kursy różnych walut były stałe i zablokowane na sztywno. Po trzecie – salda bilansów płatniczych między państwami były regulowane przepływem złota między bankami centralnymi.

Wyobraźmy sobie zatem, że nasz kraj zakończył poprzedni rok dodatnim bilansem płatniczym. Oznacza to, że do naszego kraju napłyne złoto, bank centralny dodrukuje trochę banknotów, wzrosną ceny, a ponieważ kursy zewnętrzne walut będą zablokowane, staniemy się krajem droższym niż nasi partnerzy. Droższym, to znaczy mniej konkurencyjnym. Z tego powodu zapewne kolejny rok zakończymy ujemnym bilansem płatniczym. W rezultacie złoto od nas odpłyne, bank centralny wycofa z obiegu część banknotów, poziom cen spadnie, staniemy się krajem tańszym, odzyskamy konkurencyjność w handlu międzynarodowym i... zapewne, kolejny rok zakończymy dodatnim bilansem płatniczym itd. Model ten po raz pierwszy dostrzegł i opisał już w XVIII wieku słynny filozof David Hume.

Oczywiście, takie modele zawsze ładniej wyglądają na papierze niż w teorii. Zawsze coś tam się zaczynało i rzadko działało tak gładko, jak to

przedstawiłem. Niemniej coś w tym rzeczywiście było. Najlepszym dowodem może być fakt, że dopóki funkcjonowała złota waluta, nikt nie dostrzegał potrzeby tworzenia międzynarodowej instytucji finansowej, w rodzaju dzisiejszego Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Potrzebę utworzenia takiej organizacji zaczęto brać pod uwagę dopiero wówczas, gdy przyszłość złotej waluty stała się pod znakiem zapytania. I jeszcze jedno należy odnotować: warunkiem skuteczności opisanego mechanizmu było jego powszechne przestrzeganie, jeśli nie przez wszystkie, to przez większość państw. Okoliczność ta jest ważna dla zrozumienia zarówno motywów, którymi kierowali się twórcy złotego bloku, jak i przyczyn porażki tego przedsięwzięcia.

### Dylematy walutowe lat dwudziestych

Podczas I wojny światowej prawie wszystkie państwa zawiesiły wymiennalność swoich walut na złoto i zwiększyły emisję banknotów. Traktowano to jednak jako rozwiązanie nadzwyczajne, podyktowane szczególną sytuacją wojenną. Po zakończeniu wojny zamierzano powrócić do normalności, czyli m.in. do złotej waluty.

U progu międzywojennego dwudziestolecia odbyły się dwie międzynarodowe konferencje finansowe.

W 1920 roku zorganizowano konferencję w Brukseli, która zaleciła powrót do systemu walutowego sprzed 1914 roku. Wobec skurczenia zasobów złota i wzrostu aspiracji społecznych okazało się to jednak nierealne.

Kolejne spotkanie odbyło się w Genewie w 1922 roku. Podczas tej konferencji uznano walutę złotą za optymalny system pieniężny, rozluźniono jednak jej rygory. Pojawiła się koncepcja ograniczenia zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej wymiennalności banknotów na kruszec.

Pierwszy cel miał realizować system Gold Bullion Standard. W systemie tym bank centralny miał trzymać złote pokrycie nie w postaci monet, tylko sztab; banknoty można było wymieniać wyłącznie na całe sztaby złota. Eliminowało to możliwość wymiennalności ze strony ogromnej większości zwykłych ludzi, dla których równość jednej sztaby złota stanowiła nieosiągalne bogactwo. Zachowywano natomiast zalety złotej waluty w regulowaniu bilansów płatniczych państw. W założeniu system Gold Bullion Standard miał być przyjęty raczej przez kraje bogatsze.

Państwa biedniejsze miały przyjąć system Gold Exchange Standard, w którym do pokrycia zaliczano zarówno złoto, jak i obce waluty wymiennalne na złoto. Oszukiwanie natury w tym wypadku polegało na tym, że ▶

jedno i to samo złoto liczone było do pokrycia obiegu pieniężnego w wielu krajach.

Konferencja genueńska przyniosła kilka niezamierzonych skutków. Sugerowany podział krajów na dwie kategorie: tych z Gold Bullion Standard i tych z Gold Exchange Standard doprowadził do prestiżowego traktowania spraw walutowych, bo żaden kraj nie chciał należeć do gorszej kategorii. W rezultacie powstał system znacznie bardziej deflacyjny niż zakładano. Co więcej w samym pomysle podziału państw na kraje wiodące i pozostałe tkwił załóżek powstania w następnej dekadzie bloków walutowych. W latach dwudziestych sytuację walutową świata dodatkowo komplikowało dziedzictwo długów i reparacji, będących skutkiem I wojny światowej.

### W obliczu wielkiego kryzysu

Kryzys gospodarczy, który objawił się w październiku 1929 roku na giełdzie nowojorskiej, doprowadził do drastycznego ograniczenia rozmiarów handlu międzynarodowego. Nawet tak przywiązany do tradycji wolnego handlu kraj, jak Wielka Brytania, wprowadził wysokie cła przywozowe. Inni radykalnie podnosili cła stosowane wcześniej. Wszystkim zależało na eksporcie, ale ponieważ równocześnie wszyscy ograniczali import, zdobycie dewiz stawało się coraz trudniejsze.

W tej sytuacji poszczególne kraje

zaczęły szukać wyjścia w modyfikacji swojego systemu walutowego.

Jedną z dróg była reglamentacja dewizowa. Oznaczało to zakaz posiadania na terenie państwa obcych walut. Ci, którzy je mieli, byli zobowiązani odsprzedać je państwu. Dzięki temu państwo kontrolowało import, przydzielało bowiem dewizy tylko na takie cele, które uznawało za uzasadnione. Jako pierwsze reglamentację dewizową zastosowały – w maju 1931 roku – dwa państwa: Brazylia i Hiszpania. Dwa miesiące później tak samo postąpiły Niemcy; potem – wiele innych krajów.

Drugim sposobem odchodzenia od dotychczasowego systemu było zawieszenie wymienialności własnej waluty na złoto i jej dewaluacja. W ten sposób koszty produkcji w kraju stawały się niższe niż za granicą i gospodarka zyskiwała na konkurencyjności. We wrześniu 1931 roku zrobiła to Wielka Brytania, w ślad za nią poszło wiele krajów i one właśnie utworzyły blok szterlingowy.

Kraje, które utrzymały tradycyjny system monetarny, oskarżały blok szterlingowy o nieuczciwą konkurencję i domagały się od niego deklaracji, że w przyszłości państwa doń należące powrócą do złotej waluty. Podczas konferencji finansowej w Londynie w czerwcu 1933 roku presja ta zaowocowała pożądaną deklaracją. Zaraz potem doszło jednak do dyplomatycznej katastrofy. Nowo wybrany amerykański prezydent Franklin D. Roosevelt odkrył, że Stany Zjednoczone nie

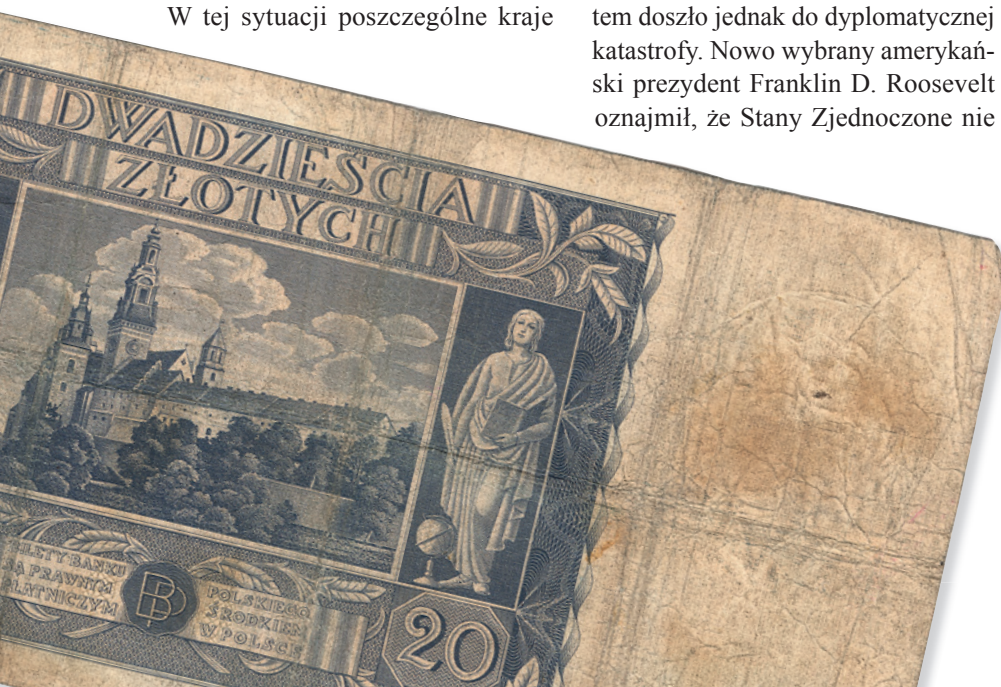
czują się związane tym porozumieniem, chociaż wcześniej delegacja amerykańska wyraziła na to zgodę. W ciągu następnych miesięcy USA zdewaluowały dolara i zawiesiły jego wymienialność na złoto. W tej sytuacji kraje, które były zdecydowane trwać przy złocie, postanowiły utworzyć własne ugrupowanie.

### W elitarnym klubie

Złoty blok, utworzony w lipcu 1933 roku, założyły: Francja, Belgia, Holandia, Włochy i Polska. Później przystąpiła do niego również Szwajcaria. W orbicie bloku znalazły się też Litwa i Albania. Kraje bloku utrzymały wymienialność swoich walut na złoto. Francja, Belgia, Holandia, Włochy i Szwajcaria były wierzycielami innych państw, opłacało się im zatem utrzymać solidną walutę.

Szwajcaria, jako jedyny kraj z tego grona, nie zawiesiła podczas wojny wymienialności swojej waluty na złoto. Holandia to uczyniła, ale w latach dwudziestych przywróciła wymienialność po przedwojennym kursie. Francja, Belgia i Włochy dużym kosztem ustabilizowały swoje waluty po okresie inflacji powojennej i traktowały prestiżowo kurs swojej waluty. Ustabilizowany w 1928 roku frank, zwany frankiem Poincarégo, stanowił wprawdzie tylko 20 proc. franka sprzed 1914 roku, ale miał solidne pokrycie w złocie i był przedmiotem dumy Francuzów. Belgowie, którzy w 1926 roku ustabilizowali swego franka na poziomie 14 proc. przedwojennego, starali się wylansować nową jednostkę – belgę, o równowartości 5 franków. Benito Mussolini, stabilizując lira pod koniec 1927 roku, w ostatniej chwili ze względów prestiżowych zawyżył jego kurs o 10 proc.

We wszystkich tych państwach żywe były obawy przed powrotem inflacji. W przypadku Polski również w grę wchodziły przede wszystkim względy prestiżowe. Złoty polski po drugiej stabilizacji w 1927 roku był jedną z najmocniejszych walut Europy, co było uważane za wartość godną obrony. Nie



bez znaczenia było przekonanie Józefa Piłsudskiego, że mocna waluta jest wizytówką silnej gospodarki. W jeszcze większym stopniu czynnik prestiżowy decydował o zachowaniu Litwy. Albania międzywojenna nie była państwem całkowicie suwerennym. Bank centralny – Banka Kombetare e Shipnis – miał siedzibę w Rzymie. Albania zatem robiła to, co Włochy.

Państwa złotego bloku postępowały zgodnie z logiką dziewiętnastowiecznej złotej waluty. Ich przywódcy zakładali, że przynajmniej na początku nastąpi odpływ złota do innych krajów i obniżenie cen, zwiększy się zewnętrzna konkurencyjność ich gospodarek, zaś zademonstrowana w sprawach walutowych solidność przyciągnie kapitał zagraniczny.

Logika taka mogła dać rezultat tylko w przypadku, gdyby jej wszyscy przestrzegali. Ponadto w latach trzydziestych konkurencja ze strony bloku szterlingowego okazała się dla tych państw nie do przeczygnięcia. Mimo wielkich wyrzeczeń społecznych, związanych z polityką deflacyjną,

zapasy złota w krajach bloku systematycznie spadały, a spodziewane korzyści nie następowały. Łączne zapasy złota w krajach bloku stały się tak wrażliwą informacją, że zaczęły być poddawane manipulacjom. Bank Polski uzyskał od Banku Francji kredyt w zlocie w wysokości 155 mln złotych i odtąd wykazywał to złoto we własnych bilansach. Faktycznie kruszec ten pozostał we Francji i był nadal wykazywany w zasobach francuskich. Ktoś, kto tego nie wiedział (a informacja ta nie była publicznie znana), mógł policyzyć to samo złoto dwa razy. W tej sytuacji przynależność do złotego bloku traciła na atrakcyjności. W 1934 roku wycofały się z niego Włochy, w 1935 – Belgia. O losach bloku ostatecznie przesądziło zwycięstwo wyborcze Frontu Ludowego we Francji w kwietniu 1936 roku.

### Co dalej?

Wiosną 1936 roku stało się jasne, że złoty blok dożywa swych dni. Przed Polską otwierały się różne opcje. Prezes Banku Polskiego Adam Koc

uważał, że należy przyłączyć się do bloku szterlingowego, czyli zawiesić wymienialność na złoto i zdewaluować złotego. Wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski uważał, że należy wprowadzić reglamentację dewizową. Poparcie prezydenta Mościckiego zadecydowało o zwycięstwie Kwiatkowskiego. Adam Koc musiał zrezygnować z prezesury banku. W ten sposób został wytyczony kurs polskiej polityki walutowej na ostatnie lata Drugiej Rzeczypospolitej. Chociaż w Polsce starano się tego nie eksponować, to i tak nasz spór o wybór polityki walutowej miał wymiar międzynarodowy. Propozycje Koca zbliżyłyby Polskę do Wielkiej Brytanii. To, co proponował Kwiatkowski, przypominało rozwiązania niemieckie. Po zwycięstwie Kwiatkowskiego w Europie rozeszły się pogłoski o polsko-niemieckim tajnym pakcie gospodarczym. Nie miały one pokrycia w rzeczywistości, ale ci, którzy chcieli wierzyć w tajną współpracę Polski z Trzecią Rzeszą, zyskali nowe argumenty na poparcie swoich tez. ■

prof. dr hab. Wojciech Morawski – kierownik Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, prezes Polskiego Towarzystwa Historii Gospodarczej

► Artykuł współzałożyciela i wiceprezesa Banku Polskiego Feliksa Młynarskiego z księgi pamiątkowej *Dziesięciolecie Polski Odrodzonej 1918–1928* (Kraków–Warszawa 1928)

## STABILIZACJA WALUTY

NAPISAŁ  
Dr. FELIKS MŁYNARSKI  
WICEPREZES BANKU POLSKIEGO

Pierwszy bilans otrzymanej w spadku po okupacji niemieckiej instytucji emisyjnej, Pol. Kraj. Kasy Pożyczkowej, nie wykazywał większego zapasu złota i dewiz poza pewną sumą marek niemieckich, które uległy zablokowaniu na rachunkach w bankach berlińskich. Równocześnie w obiegu w Polsce było sześć zdeprecjonowanych walut: ruble carskie, sowieckie i wschodnie, marki polskie i niemieckie oraz korony austriackie. Ta mozaika walutowa ustaje w jesieni 1922, gdy marka polska uzyskała wyłączny charakter waluty prawnej.

Operacje wojenne trwały w Polsce o dwa lata dłużej niż wojna światowa. Po 70% obszaru państwowego przetoczył się, często kilkakrotnie, niszczący walec wojny. Wykreślenie granic przewlekło się gwałtownie z powodu cofnięcia ziem, zniszczenia zabudowań dewastacji i żywego inwentarza. Przemysł z powodu operacji wojennych, ewakuacji rosyjskiej i rekwizycji niemieckiej podpadł tak dalece, że np. w Królestwie w 1918 r. liczba robotników zajętych spadła do 15% stanu z 1914 r. Ścieżki i tabor kolejowy otrzymała Polska w stanie ruiny. W takich warunkach trzeba było budować nowe życie państwa, bez dotychczasowego pogotowia wojskowego, rutynowanej administracji, bez prawie żadnego podkładu walutowego. Z konieczności Polska wkroczyła na drogę inflacji.

OKRES PRZYGOTOWAŃ. Z toni inflacyjnej Polska wydobyc się stosunkowo dość wcześnie. Zwycięstwo nad Rosją bolszewicką przyniosło nam korzyści, które w



Feliks Młynarski  
wiceprezes Banku Polskiego, współtwórca planu  
stabilizacyjnego.



▶ Telewizor Belweder, pierwszy całkowicie polski odbiornik, produkowany w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych od 1957 roku

Fot. P. Życieński

# „Radio w walce o pokój i postęp”, czyli początki... telewizji w Polsce

Patryk Pleskot

**„W trakcie nadawania napisów końcowych do dekoracji wszedł strażak studia, ze smutnym znużeniem spojrzął na Polskę poprzez kamerę i poszedł sobie”.**

**Ta anegdotyczna wypowiedź krytyka filmowego Lecha Pijanowskiego, opisująca absurdalną scenkę z emisji na żywo programu TV, dobrze oddaje specyfikę trudnych narodzin telewizji w siermiężnej rzeczywistości lat pięćdziesiątych.**

**P**ierwsza eksperymentalna stacja badawcza, analizująca możliwości przekazywania obrazu, powstała w Warszawie już w roku 1936. Pierwszą próbną emisję, z udziałem znanego piosenkarza Mieczysława Fogga, przeprowadzono w dniu podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow (23 sierpnia 1939 roku). Wybuch II wojny światowej i zawirowania polityczne sprawiły

jednak, że po raz pierwszy Polacy mieli okazję obejrzeć telewizję (i telewizor) dopiero 15 grudnia 1951 roku, na wystawie o mylącym tytule „Radio w walce o pokój i postęp”, zorganizowanej w Warszawie w siedzibie Związku Nauczycielstwa Polskiego. Stalinowskie władze nieufnie podchodziły do nowinek technicznych, ale w tym wypadku przykład płynął z Moskwy, gdzie Stalin, godząc się na rozwój XI Muzy, chciał udowodnić, że „obóz socjalistyczny” nie pozostaje w tyle za Zachodem.

W dniu otwarcia wystawy przed gmachem przy ulicy Smulikowskiego 6/8 zgromadziły się tłumy mieszkańców stolicy – oto narodziny telewizji w życiu przeciętnego Polaka. Wejściówki zamieścił „Express Wieczorny” w popołudniowym wydaniu. W inauguracyjnym programie wystąpił m.in. Tadeusz Orsza, który odśpiewał rosyjską balladę, oraz skrzypek Igor Iwanow. Mimo oczywistych akcentów rosyjskich zabrakło tu ewidentnie politycznych wątków – władze nie dostrzegały jeszcze możliwości propagandowego wykorzystania małego ekranu. W sumie, przez ponad miesiąc, wystawę obejrzało około 100 tys. osób.



### Pierwsze programy

Niespełna rok później, w sobotę 25 października 1952 roku, a więc w przeddzień wyborów do Sejmu, Doświadczalna Stacja Telewizyjna Instytutu Łączności przy ul. Ratuszowej 11 o 19.00 nadała w Warszawie inauguracyjny półgodzinny program. Wystąpiła w nim Marta Nowosad, która zaśpiewała piosenkę *Latarnie warszawskie*, Jerzy Nowochotek, który wykonał dwa utwory na gitarze, Witold Guca, występujący w ludowej piosence *Strach na wróble* i w walcu-pantomimie oraz Jan Mroziński w scenach mimicznych. Spikerką była Maria Krzyżanowska. Był to zatem dość przypadkowy zbiór estradowych występów w stylu *variétés*, ponownie bez wyraźnych wątków politycznych. Nową technologię prawdopodobnie wciąż postrzegano jako ciekawostkę słuchającą dość blądej rozrywce.

Warto zwrócić uwagę na to, że w tym momencie możliwe było nadawanie audycji jedynie w formie transmisji „na żywo”; i to bez bezpośredniego dźwięku; ten dało się odsłuchać wyłącznie przez radio. Program był odbierany zaledwie w kilkudziesięciu punktach stolicy na 24 radzieckich telewizorach „Leningrad”, umieszczonych w większych zakładach pracy. Na więcej nie pozwalał zasięg nowo powstałej Doświadczalnej Stacji Telewizyjnej. W ten skromny sposób narodziła się polska telewizja programowa.

Następną audycję nadano dwa tygodnie później, zaś regularną emisję programów ze studia na Pradze rozpoczęto 23 stycznia 1953 roku. Tego dnia pojawił się pierwszy program przygotowany specjalnie dla dzieci. Od tej pory audycje emitowano co tydzień w piątek o 17.00. Czas ich trwania wahał się od 30 do 60 minut. Porę wybrano celowo – nie tylko ze względu na dzieci, ale także po to, by artyści w nich uczestniczący mogli zdążyć na wieczorne spektakle do swoich teatrów. W tych czasach trendy wyznaczał jeszcze teatr.

### Warszawski Ośrodek Telewizyjny

Rok później opuszczono niezwykle ciasne i upalne studio w Instytucie Łączności (gdzie reflektory podnosiły temperaturę do +50 stopni!) i wprowadzono się do większego lokalu przy placu Wareckim (dzisiaj Powstańców Warszawy). W drugiej połowie 1955 roku zaczął tutaj regularnie funkcjonować Warszawski Ośrodek Telewizyjny, kierowany przez polityka i tłumacza literatury francuskiej Jerzego Pańskiego. Uroczystego otwarcia Ośrodka dokonał 30 kwietnia (w przeddzień Święta Pracy) premier Józef Cyrankiewicz. W tej decyzji widać początek wyraźniejszego wpisywania telewizji w cele polityczne. Kilka miesięcy później na stanowisko przewodniczącego powstałego w 1951 roku Komitetu ds. Radiofonii „Polskie Radio” (tzw. Radiokomitetu), któremu ówczasie podlegała telewizja, został powołany Włodzimierz Sokorski. Ten wpływowy polityk był wcześniej m.in. ministrem kultury i zastępcą członka KC PZPR. Nominacja świadczyła o większej uwadze, z jaką ze strony władzy zaczęto spoglądać na telewizję.



Fot. Wernery/CAF

► Rok 1958: Górale z Podhala kupują telewizory

Powstaniu WOT towarzyszyło zainstalowanie na szczycie świeżo wybudowanego Pałacu Kultury i Nauki potężnych anten, umożliwiających odbiór wizji w promieniu 60 km. Okres badań i eksperymentów miał się ku końcowi. Powoli, ale systematycznie zbliżała się epoka powszechnej eksploatacji telewizji w Polsce. Dzień po uroczystym uruchomieniu WOT, 1 maja 1955 roku, nadano pierwszą w historii transmisję spoza studia: jedna kamera pokazywała przebieg uroczystości pierwszomajowej na Placu Defilad.

W maju 1955 roku program zaczęto nadawać dwa razy w tygodniu (w sumie około trzydzieści godzin w miesiącu), w listopadzie – trzy razy (poniedziałek, środa, sobota), a w styczniu 1956 roku – już cztery (doszedł czwartek). Rok później emisje realizowano pięć razy w tygodniu. Znany reżyser i aktor Aleksander Bardini 1 grudnia 1956 roku objął stanowisko naczelnego reżysera programu telewizyjnego, nadając siermiężnym produkcjom nieco więcej polotu.

### Telewizory „Wisła”

Program należało jednak nie tylko nadawać – ktoś musiał go odbierać. Początkowo istniały wyłącznie państwowe odbiorniki telewizyjne, które wystawiano w eleganckich warszawskich kawiarniach dla umilenia pobytu klientom. W czasie bardzo popularnych imprez sportowych, takich jak kolarski Wyścig Pokoju czy letnia olimpiada w Melbourne (1956 rok), uruchamiano „centra odbiorcze”, złożone z kilku złączonych telewizorów, w niektórych punktach stolicy. Do końca 1955 roku w stolicy działało około 10 tys. odbiorników. Kilka miesięcy później wybudowano pierwszą polską fabrykę telewizorów, w której na sowieckiej licencji zaczęto produkować aparaty „Wisła”. Sprzęt, choć bardzo drogi, szybko zniknął z półek.

W 1956 roku władze Radiokomitetu po raz pierwszy przeprowadziły konsultację programu z widzami. Do dwustu ►



Fot. Z. Wdowiński/CAF

► Montaż aparatury w Ośrodku Telewizyjnym w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie; na zdjęciu: radziecki specjalista German Redrin i Grażyna Kurpiewska

posiadaczy telewizorów została wysłana ankieta dotycząca niektórych audycji. Odpowiedziało na nią nieco ponad pięćdziesiąt osób, przeważały opinie pozytywne. Oglądano właściwie wszystko, „jak leci”. O specyfice stosunku tych pierwszych widzów do nowego medium świadczyły propozycje, by robić przerwy w programie w porze kolacji i posyłania dzieci do łóżek albo w czasie spadków napięcia. Domagano się ponadto m.in. ekranizacji powieści *Zły Leopolda Tyrmanda*, ówczesnego bestsellera literackiego, krytykowanego przez władze.

Co ciekawe, tzw. audycje reklamowe zaczęto nadawać już w sierpniu 1956 roku, w wymiarze 15 minut w tygodniu. Pierwszym reklamowanym produktem był „łagodny płyn do prania Kokosał”. W tym czasie zorganizowano też pierwszy w Europie telewizyjny kurs samochodowy. Dwa lata później rozpoczęto emisję „Telewizyjnego Kuriera Warszawskiego”; medioznawca Andrzej Kozieł określa ten program jako „pierwszą stołeczną »gazetę« telewizyjną”. W 1958 roku pojawił się także sztandarowy produkt

► Doświadczalne studio telewizyjne Instytutu Łączności, nagranie wywiadu z Wojciechem Żukrowskim (siedzi, z prawej), 1954 rok



Fot. M. Szybenko/PAP-CAF

„ludowej” telewizji: „Dziennik TV”, przekazujący aktualne wydarzenia zgodnie z bieżącą linią polityczną. Oto wyraźny przejaw ewolucji postrzegania nowego medium przez aparat partyjno-rządowy i wzrostu znaczenia telewizji. Jednocześnie mały ekran coraz wyraźniej ingerował w życie Polaków: w sylwestrową noc 1957 roku po raz pierwszy przeprowadzono bezpośrednią transmisję z noworocznego balu w Warszawie (wraz z towarzyszącymi mu incydentami kryminalno-towarzyskimi w postaci bójki kilku podchmielonych uczestników zabawy).

Druga połowa lat pięćdziesiątych to okres stosunkowo szybkiego rozwoju technicznej infrastruktury przemysłu telewizyjnego. W 1956 roku WOT zaopatrzył się w pierwszy wóz transmisyjny angielskiej firmy „Pye”. Kilka miesięcy później przybyła druga maszyna – tym razem radziecka. Zaczęto tworzyć nowe ośrodki telewizyjne: kolejno w Łodzi – 22 lipca 1956 roku, Poznaniu – 1 maja 1957 roku, Katowicach – 3 grudnia 1957 roku, Wrocławiu – 1 lutego 1958 roku, Krakowie – 1 marca 1959 roku, Gdańsku – 3 marca 1959 roku, a także w Szczecinie – 27 kwietnia 1960 roku.

W tym czasie budowano coraz mocniejsze nadajniki. Co znamienne, budowa regionalnych stacji nadawczych była częściowo finansowana z publicznych składek, co dowodziło realnego i silnego zapotrzebowania społecznego na nowe medium. W 1962 roku jeden z członków władz telewizyjnych mógł się pochwalić: „obecnie posiadamy 7 ośrodków programowych [...], 34 kamery telewizyjne, 8 aparatów telekinowych i 6 wozów transmisyjnych”. Warto zaznaczyć, że w porównaniu ze standardami zachodnimi lista ta wyglądała bardzo skromnie. Wyjątkowy charakter zyskał ośrodek katowicki, umieszczony w gęsto zaludnionym i wysoce uprzemysłowionym regionie. Zapewniał zasięg odbiorczy rzędu 100 km i jako pierwszy uzyskał

połączenie z międzynarodową siecią Eurowizji. W regionie tym w końcu lat pięćdziesiątych skupiało się aż 33 proc. wszystkich abonentów.

### Centralizacja

Do 1959 roku część ośrodków regionalnych nie miała łączności z Warszawą – można w tym czasie mówić o braku centralnej koordynacji programowej i dużej autonomii ośrodków. Zgodnie z ogólną tendencją w PRL, centralizacja robiła jednak szybkie postępy. Komitet do Spraw Radiofonii 8 grudnia 1960 roku przekształcono w Komitet do Spraw Radia i Telewizji „Polskie Radio i Telewizja”. Radiokomitet był centralnym urzędem administracji państwowej, podległym wyłącznie Prezesowi Rady Ministrów. W ten sposób nowe medium wyzwoliło się spod kurateli radia i zyskało równoprawną pozycję w komunistycznej biurokracji. Komitet uzyskał całkowitą wyłączność na odbiór i emisję programów radiowo-telewizyjnych. Takie monopolistyczne rozwiązania nie odbiegały zbyt od ówczesnych rozwiązań zachodnioeuropejskich. Na początku 1961 roku komitet uzyskał własny statut. Kilka miesięcy później oddano do użytku drugie studio WOT przy ul. Jasnej. Pozwoliło to na wydłużenie czasu emisji.

Obserwowany rozwój nie mógł przesłonić tego, że warunki, w jakich pracowali pionierzy małego ekranu, były co najmniej opłakane. Socjolog Marcin Czerwiński wspomina, że „w swych początkach, telewizja w Polsce działała pod znakiem paradoksu – ten najwyżej technicyzowany środek przekazu funkcjonował na zasadach pracy złotej rączki [...]. Czasy złotej rączki to późne lata pięćdziesiąte i początki sześćdziesiątych”. W innym miejscu polski badacz opisał prymitywne warunki studyjne: „Mapa [meteorologiczna] umieszczona była na ścianie niezbyt czystej i zdobnej w zacieki. Główne studio stanowiło największą rupieciarnię, jaką kiedykolwiek widziałem”.

Warto w tym miejscu przytoczyć dłuższe wspomnienie napisane w 2003 roku przez Tadeusza Zakrzewskiego, wieloletniego pracownika „Dziennika TV” (a zarazem oficera SB), opisujące chałupnicze warunki pracy techników telewizyjnych: „Ciemno. Granatowa kotara chroniła przed słońcem. Redaktor Andrzej Czałbowski przygotowywał relację z Plenum KC. Montażystka właśnie sięgnęła po pierwsze pudełko z trzydziestoma metrami czarno-białej szesnastomilimetrowej taśmy filmowej i błyskawicznymi ruchami przeciągnęła ją przez skomplikowany system rolek. Włączyła wizjer. – Weź ten plan ogólny. I to szerokie ujęcie prezydium. Tego gościa na zbliżeniu wyrzucić. I tego drugiego też – instruował dziennikarz. – A może i tego? Taki mizerny na twarzy? – Usłyszałem głos montażystki. – Jolu, nie wydziwiał, przecież to Zenon Kliszko – zareagował redaktor pochylony nad montażystką. – Czałbowski to fachman od reportażu i filmu – szepnął mi do ucha [redaktor] Kozera. – Ale tego ponuraka wyrzucimy – znowu odezwała



Fot. Komierowski/PAP-CAF

► W latach pięćdziesiątych telewizor kosztował kilka średnich pensji, dlatego najczęściej telewizję oglądano w świetlicach, fotografia z 1957 roku

się Jola. – Akurat. Ryszarda Strzeleckiego nie poznajesz? Daj go po Kliszce, a wcześniej wstaw Gomułkę – polecił Czałbowski. – Wszystkie montażystki są jednakowo zielone, nie rozróżniają członków Biura Politycznego, sekretarzy KC, ministrów. Trzeba im patrzeć na ręce – objaśnił Kozera. Pani Jola zręcznie rwała na kawałki celuloidową taśmę, ujęcia dobre zatrzymywała w lewym ręku, a złe wrzucała do olbrzymiego kosza, który błyskawicznie wypełniał się odrzutami. Teraz nawijała wybrane kawałki na małą rolkę, zwaną bobinką, i kleiła do kupy zwykłym plastrem z apteki, pociętym na drobne”. Oto scenka z codziennej pracy pionierów telewizji.

Mimo tak chałupniczych metod produkcji telewizja nieubłaganie dążyła w kierunku umasowienia. W 1960 roku w zasięgu użytecznym telewizyjnych stacji nadawczych znalazła się ponad połowa mieszkańców Polski (54,7 proc.), choć przekładało się to jedynie na 22,5 proc. obszaru kraju i ok. pół miliona zarejestrowanych abonentów. Niemniej osiągnięcie tego „społecznego kworum” można uznać za koniec trudnego procesu narodzin peerelowskiej telewizji i początek trwałego wpływu nowego medium na życie codzienne Polaków. Wpływ ten był jeszcze bardzo ograniczony i warunkowy: lata sześćdziesiąte to czas czarnobiałych, często psujących się odbiorników, monopolu jednego kanału, kilkugodzinnego limitu nadawania – ale zarazem niezwykle dynamicznego rozwoju całego rynku telewizyjnego. Wydaje się, że już wtedy mały ekran stawał się nośnikiem kultury masowej i nieodłącznym elementem powszechnych praktyk społecznych. „Okres złotej rączki” bezpowrotnie mijał. ❀

dr Patryk Pleskot – historyk, pracownik OBEP IPN w Warszawie; zajmuje się m.in. międzynarodowym kontekstem epoki „Solidarności” oraz działalnością służb kontrwywiadowczych; autor kilkunastu książek

# Front Polski

Daniel Koroś



Fot. Marian Musiał/FORUM

► Pierwszy sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, przewodniczący Rady Państwa NRD Walter Ulbricht i przewodniczący Rady Państwa PRL Aleksander Zawadzki w paradnym przejeździe przez Warszawę, 22 lipca 1964 roku

**Latem 1944 roku, u zarania istnienia Armii Polskiej w ZSRS, wśród jej kadry dowódczej oraz przywódców Polskiej Partii Robotniczej, pojawił się zamysł zorganizowania (na wzór sowiecki) wyższego związku operacyjnego: Frontu Polskiego.**

**F**ront – składający się z 1. i 2. Armii WP (3. Armii dopiero zamierzano zorganizować), Armii Lotniczej i służb – miał stać się symbolem znaczenia WP jako najważniejszego sojusznika Armii Czerwonej. Pomysł upadł parę miesięcy później z wielu powodów, m.in. trudności kadrowych, masowych dezercji i braków sprzętowych. Do idei Frontu Polskiego wrócono jednak parę lat później, gdy w Polsce Ludowej okrzepła władza komunistyczna i w Sztabie Generalnym IWP (ludowego Wojska Polskiego) rozpoczęto prace planistyczne na wypadek przyszłej wojny – tym razem już z krajami imperialistycznej Europy Zachodniej.

Idea Frontu Polskiego pojawiła się w końcu 1947 roku w toku prac Komisji Planowania Ministerstwa Obrony Narodowej, kierowanej przez wybitnego przedwojennego oficera dyplomowanego, gen. bryg. Stefana Mossora. Projekt uzyskał akceptację Biura Politycznego KC PPR w listopadzie

1948 roku. Żeby nie było wątpliwości, że WP planuje w ten sposób zmanifestować swoją samodzielność, specjalną uchwałą Biura Politycznego wyraźnie zaznaczono: „[...] Wojsko Polskie będzie walczyć we wspólnym froncie sił demokratycznych i antyimperialistycznych [...] nie stawia się zadań samodzielnych dla Wojska Polskiego”. Tak jednoznaczne uzasadnienie ideologiczne planów wojskowych miało uspokoić towarzyszy sowieckich, którzy z kolei nie oponowali przeciw rozwiązaniom proponowanym przez towarzyszy polskich.

Mając przygotowane założenia organizacyjne, poparcie polityczne oraz akceptację ZSRS na włączenie Frontu Polskiego do przyszłych planów, postanowiono wykonać następny krok w kierunku jego realizacji. Najskuteczniejszą metodą – znaną od XIX wieku i wywodzącą się z tradycji pruskiego Wielkiego Sztabu Generalnego (Große Generalstab) – sprawdzenia realności planów wojennych oraz rozwiązań organizacyjnych na szczeblu operacyjnym było ćwiczenie aplikacyjne na mapie lub w terenie wraz z powołaniem szkieletowych, niepełnych sztabów (dywizji/grup operacyjnych/armii), przewidzianych w wypadku „W” (wojny). Ćwiczenie takie – popularnie nazywane także grą wojenną (*Kriegsspiele*) – przeprowadzono wiosną 1950 roku na Pomorzu. Było ono jednym z najważniejszych tego typu szkoleń, jakie w ogóle przeprowadzono w ramach IWP przez cały okres jego istnienia.

## Decydowali Sowieci

Kierownikiem ćwiczeń pomorskich był marsz. Konstanty Rokossowski; dowódcą frontu gen. broni Stanisław Popławski (szef Głównego Inspektoratu Wyszczolenia Bojowego WP; oficer pełniący obowiązki szefa tego pionu MON był przewidywany na dowódcę frontu); dowódcami ćwiczebnych armii byli: gen. dyw. Wsiewołod Strażewski (dowódca IV Śląskiego Okręgu Wojskowego), gen. dyw. Bolesław Pólturzycki (dowódca II Pomorskiego Okręgu Wojskowego), gen. bryg. Aleksander Romeyko (dowódca Wojsk Lotniczych). Notabene – wszyscy wymienieni byli oficerami sowieckimi, których skierowano do IWP jako Polaków z pochodzenia.

Kierownictwo ćwiczeń przyjęło, że wojska Frontu Polskiego będą liczyć blisko 300 tys. żołnierzy – była to liczba bazowa, która wzrastała wraz z upływem czasu i zwiększaniem liczebności przewidywanych wojsk operacyjnych mających wejść w skład frontu; w szczytowym okresie rozwoju IWP, w latach siedemdziesiątych, planowano przeznaczyć na potrzeby Frontu Polskiego ok. 600 tys. żołnierzy spośród 900 tys. zmobilizowanych na wypadek „W”. Oznaczało to, że w ciągu dwudziestu lat wojska przewidywane do użycia w ramach frontu miały wzrosnąć dwukrotnie. Założenie ćwiczenia przewidywało w pierwszej fazie odparcie ataku nieprzyjaciela na środkowym wybrzeżu, a następnie przejście do operacji zaczepnej w celu zniszczenia „Grupy Hamburgskiej” przeciwnika, wyjścia na rubież Kanału Kilońskiego oraz „oswobodzenie”, początkowo południowej części Półwyspu Jutlandzkiego, a następnie całej Danii. Równocześnie z operacją lądową miała się rozwijać operacja desantowa we współpracy z Flotą Bałtycką, której celem było zajęcie wyspy Bornholm. Planowano osiągnąć średnie tempo natarcia rzędu 20–23 km na dobę, co miało pozwolić na opanowanie Kopenhagi dwudziestego pierwszego dnia od rozpoczęcia operacji zaczepnej z rejonu Schwerin–Wismar. Jak wspominał po latach gen. bryg. Jan Drzewiecki, uczestnik tej gry wojennej, planowanie w zasadzie obejmowało tylko i wyłącznie operację zaczepną; **obrony nie przewidywano.**

Wyznacznikiem znaczenia tej gry wojennej było: **wypracowanie podstawowych założeń operacyjnych i organizacyjnych dla działań wojsk Frontu Polskiego (nazywanego także Nadmorskim), które w ogólnym zarysie obowiązywały do lat osiemdziesiątych XX wieku, a więc ponad trzydzieści lat.** Nie umniejsza tego znaczenia to, że w latach 1950–1955, gdy Sowieci bezwzględnie podporządkowali sobie IWP, najprawdopodobniej zarzucono ideę Frontu Polskiego na rzecz połączonego polsko-sowieckiego Frontu Centralnego pod dowództwem Rokossowskiego. Tak naprawdę jednak trudno jest powiedzieć o planowaniu operacyjnym w tamtym czasie, bo gdy oficer sowiecki gen. broni Borys Pigarewicz – szef Zarządu I Operacyjnego i równocześnie zastępca szefa Sztabu Generalnego – przekazywał swoje obowiązki gen. Drzewieckiemu to jedynym dokumentem, jaki mu przekazał, była mapa Polski w skali 1:200 000, na której naniósł ołówkiem, na poczekaniu, kilka rubieży i stwierdził: „To wszystko”.

## Kontrolowana samodzielność

Powrót do kontrolowanej samodzielności nastąpił po październikowej odwilży 1956 roku. Wówczas Siły Zbrojne PRL stanowiły część Zjednoczonych Sił Zbrojnych Państw – Członków Układu Warszawskiego (od 14 maja 1955 roku). Już jesienią 1955 roku idea samodzielnego Frontu Polskiego odżyła, gdy w Moskwie ustalono, że w drugim rzucie wojsk ZSZ UW powstanie Front Nadmorski, zorganizowany i kierowany przez oficerów polskich i składający się z polskich związków operacyjnych. Po odwilży październikowej zamysł ten był skwapliwie uwierzytelniany przez ekipę Władysława Gomułki, której interesów w armii strzegł jego najbliższy współpracownik, marsz. Marian Spychalski. Dla Gomułki i Spychalskiego idea Frontu Polskiego była jednym z elementów pozwalających połuźnić nieco żelazną obręcz sowieckiej kurateli; tak samo ważnym, jak pozbycie się oficerów sowieckich z IWP. To wojsko, kierowane przez Polaków – wychowanków IWP – miało być podporą władzy i miało specjalne względy nowego I sekretarza KC PZPR. ➤



Faktycznie jednak swoboda ta była iluzoryczna, gdyż nad planowaniem polskiego Sztabu Generalnego czuwał X Zarząd Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, czyli Dowództwo ZSZ UW i – kierujący nim zawsze – oficer sowiecki. Także w gestii sowieckiej znajdowały się ostateczne decyzje o użyciu sił zbrojnych poszczególnych państw członkowskich Układu Warszawskiego. Sztab Generalny Armii Czerwonej odnosił się sceptycznie do planów odrębnego frontu kierowanego przez Polaków, z dwóch co najmniej powodów. Przede wszystkim nisko oceniał on pracę polskich sztabowców, co zaowocowało rozpoczęciem doszkalania strategiczno-operacyjnego kadry polskiej w sowieckich akademiach wojskowych na początku lat sześćdziesiątych. Ze względów pozamerytorycznych najważniejszy był brak zaufania.

Generał dywizji Franciszek Puchała w swoim niezwykle interesującym opracowaniu o Sztabie Generalnym IWP w latach 1945–1990 stara się podkreślić tę polską militarną samodzielność, którą udało się wypracować w końcu lat pięćdziesiątych, pisząc: „Przejsie wojsk frontu polskiego w podporządkowanie operacyjne dowódcy ZSZ UW miało nastąpić na mocy decyzji rządu PRL i na specjalne zarządzenie szefa Sztabu Generalnego WP. W działalności pozaoperacyjnej [...] wojska frontu polskiego miały nadal podlegać polskim organom państwowym i wojskowym. **Niezależnie od chęci zmiany tego stanu** przejawianej przez Dowództwo ZSZ UW, zasady te obowiązywały przez cały okres przynależności Polski do Układu Warszawskiego” [podkreślenie – D.K.].

Opinia gen. Puchały odnosi się jednak do założeń teoretycznych – na szczęście nie było okazji do sprawdzenia ich w praktyce. Niezwykle ważką jest w tym względzie opinia gen. dyw. Wacława Szklarskiego, m.in. szefa Zarządu I Operacyjnego SG w latach osiemdziesiątych: „Znam Rosjan i wiem, że

**nie dowierzali oni żadnemu z państw Układu, a w najmniejszym stopniu Polsce. Znałem plany użycia sił WP na wypadek wojny. Do dzisiaj jestem przekonany, że plany te w rzeczywistości miały charakter maskujący”** [podkreślenie – D.K.]. Zbieżną opinię sformułował płk Julian Babuła, który w latach osiemdziesiątych był oddelegowany do Zarządu X SG Armii Czerwonej (czyli do ZDSZ UW). Uważał on, że zadania Frontu miały zostać sprecyzowane bezpośrednio przed wybuchem wojny lub nawet w czasie działań wojennych.

### W latach sześćdziesiątych

Spychalski 19 kwietnia 1961 roku zatwierdził strukturę organizacyjną dowództwa Frontu Polskiego, które w przypadku „W” miało liczyć 737 oficerów, podoficerów i szeregowych oraz 158 pracowników cywilnych. Okazało się, że dowództwo Frontu będzie się organizować na bazie Głównego Inspektoratu Szkolenia MON, którym kierował gen. broni Zygmunt Duszyński (później, do początku lat dziewięćdziesiątych, na dowódców Frontu byli przewidziani generałowie broni: Jerzy Bordziłowski, Tadeusz Tuczapski, Eugeniusz Molczyk, Wojciech Barański i Edmund Bołciuch).

W latach sześćdziesiątych intensywnie rozpracowywano w SG zadania Frontu na tzw. Środkowoeuropejskim Teatrze Działań Wojennych – w sowieckiej nomenklaturze na Zachodnim TDW.

Prace te wiążą się przede wszystkim z osobą zdolnego



► Dygnitarze obserwują manewry ludowego Wojska Polskiego; drugi z lewej gen. Marian Spychalski, z lornetkami Władysław Gomułka i Józef Cyrankiewicz, koniec lat pięćdziesiątych

**3. STOSUNEK SIŁ**

Wojська własne	Siły i środki	Nieprzyjacieli	Stosunek sił
<b>a/ W całym pasie i na całą głębokość operacji</b>			
15	dywizje	8 + 14 bryg.	1,3 : 1
63	wyrzutnie raketowe	50	1,26 : 1
2 700	czołgi	1 900	1,4 : 1
2 459	działa i moździerze	2 670	1 : 1,1
417	samoloty	531	1 : 1,2
<b>b/ Na kierunku jutlandzkim</b>			
4	dywizje	3 /ekw./	1,3 : 1
18	wyrzutnie raketowe	14	1,2 : 1
870	czołgi	370	2,3 : 1
650	działa i moździerze	800	1 : 1,2
<b>c/ Na kierunku północnonadmorskim</b>			
8	dywizje	6 + 6 bryg.	1,06 : 1
33	wyrzutnie raketowe	32	1 : 1
1 600	czołgi	1 470	1,1 : 1
1 426	działa i moździerze	1 430	1 : 1
<b>d/ W operacji desantowej</b>			
24	bataliony	21	1,1 : 1
12	wyrzutnie raketowe	4	3 : 1
240	czołgi	63	3,7 : 1
440	działa i moździerze	439	1 : 1

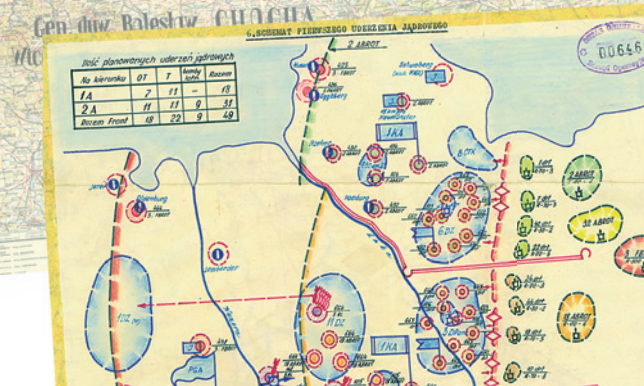
**4. OPERACJA DESANTOWA**

- początek operacji - świt D6;
- udział biorą: 6 DPD, 7 DDes, 15 DZ, wydzielone siły Marynarki Wojennej i lotnictwa.

sztabowca – gen. dyw. Bolesława Chochy, który w latach 1968–1973 pełnił obowiązki szefa SG IWP. To właśnie w tym czasie powstała w SG mapa *Plan operacji zaczepnej Frontu Nadmorskiego*, która obecnie znajduje się w zbiorach Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie (pod sygn. IPN 02958/166a). Mapa ta, stanowiąca zapewne uzupełnienie i zobrazowanie planu operacyjnego, powstawała pod koniec lat sześćdziesiątych pod kierunkiem gen. Chochy i gen. bryg. Wojciecha Barańskiego, zastępcy Szefa SG do Spraw Operacyjnych; została ona oficjalnie zatwierdzona przez szefa MON gen. broni Wojciecha Jaruzelskiego 25 lutego 1970 roku. Wraz z załączonymi do niej tabelami jest to pierwszorzędne, przy tym niezwykle plastyczne i przemawiające do wyobraźni źródło do odtworzenia planowanych działań Frontu Polskiego.

**Planowane działania**

Wojська Frontu Nadmorskiego w składzie: 1., 2. i 4. Armia, 3. Armia Lotnicza, 6. Dywizja Powietrzno-Desantowa, 7. Dywizja Desantowa, 32. i 36. Brygada Rakiet Operacyjno-Taktycznych (uzbrojonych w taktyczną broń jądrową) miały w ramach bliższego zadania wyjść po trzech dniach jedną armią na granicy niemiecko-holenderskiej (rubież Emden–Enschede, 270 km od rejonu wyjściowego) i drugą armią na granicy niemiecko-duńskiej po zajęciu całego rejonu Schleswig-Holstein (190 km od rejonu wyjściowego). W ramach dalszego zadania jedna armia miała zająć Holandię i fragment północnej Belgii wraz z rejonem Antwerpii i Mechelen (510 km od rejonu wyjściowego), a druga – cały Półwysep Jutlandzki oraz wyspę Fyn (500 km od rejonu wyjściowego). O świcie szóstego dnia ofensywy 15. Dywizja Zmotoryzowana, 7. DDes. i 6. DPD – jako zgrupowanie desantowe – przy współudziale jednostek floty i lotnictwa miały przeprowadzić operację morsko-powietrzno-lądową na wyspie Zelandia (największa z duńskich wysp, wraz ze stolicą kraju – Kopenhagą). Autorzy planu przewidywali możliwość udziału wydzielonych polskich sił w dalszym natarciu wojsk ZSZ UW aż do rejonu Calais; w tym celu miało być użyte rezerwowe dowództwo 4. Armii (3. i 9. DZmot.). Istniał także wariant drugi rozpoczęcia całej operacji zaczepnej, „na specjalny rozkaz”, w którym 5. i 11. Dywizje Pancerne z 2. Armii (armia lewoskrzydłowa, nacierająca na kierunku Holandii) miały zostać przesunięte na południe (w pas działania sowieckiej 2. Armii Pancernej) w rejon wyjściowy do natarcia.



Zastanawiający jest optymizm autorów planów wykonania nałożonych zadań w ciągu sześciu dni, jeśli się weźmie pod uwagę szacowany stosunek sił NATO, z którymi wojska Frontu miały się zmierzyć. Wystarczy jedynie stwierdzić, że tylko na kierunku jutlandzkim i w czasie operacji desantowej na Zelandię polscy sztabowcy przewidywali zadowalający (tzn. gwarantujący sukces) stosunek w broni pancernej. W pozostałych przypadkach stosunek ten był wyrównany. Nie brano także pod uwagę lepszej jakości sprzętu wojsk NATO. Na mapie nie naniesiono rozpoznanych celów uderzeń nuklearnych, z którymi należało się liczyć w przypadku działań defensywnych wojsk sojuszu północnoatlantyckiego. Wszystko to pozwala na konstatację, że polscy sztabowcy, przygotowując tak optymistyczny plan działania Frontu, liczyli przede wszystkim na paraliżujący wojska NATO sukces Frontu Centralnego, na który składały się potężne siły Północnej Grupy Wojsk i przede wszystkim Grupy Wojsk Sowieckich w Niemczech.

Dla zobrazowania przygotowań do „wyzwalania” przez żołnierzy Frontu Polskiego Danii, północnych Niemiec i Holandii podają także parę istotnych liczb. Wojska Frontu miały przydzielonych łącznie 177 taktycznych rakiet jądrowych (R-30, R-70, R-170, R-300) oraz 17 lotniczych bomb jądrowych; uderzenia nuklearne w pasie natarcia frontu planowano m.in. na Kopenhagę, Bremę, Cuxhaven,

Bremenhaven, Wilhelmshaven (bazy niemieckiej Bundesmarine – czyli Floty Wojennej), Emden, Zwole, Apeldoorn, Utrecht, Amsterdam, Rotterdam, Dordrecht i Antwerpię. Wojska Frontu miały posiadać na wyposażeniu: 2700 czołgów, 2459 dział i moździerzy, 417 samolotów i 63 wyrzutnie rakietowe. W ramach zabezpieczenia kwatermistrzowskiego działań wojsk Frontu potrzebnych było m.in. 10 453 t amunicji strzeleckiej, 20 487 t amunicji artyleryjskiej i moździerzowej, 20 112 t amunicji do armat czołgowych; 3131 t amunicji rakietowej; 2465 t bomb lotniczych; 51 520 t benzyny motorowej; 30 995 t oleju napędowego; 25 680 t paliwa rakietowego; 3 355 t benzyny lotniczej; 12 930 t żywności.

W latach osiemdziesiątych XX wieku, gdy PRL stał na krawędzi wojny domowej, a gospodarka kraju była w ruinie, idea Frontu Polskiego stawała się zupełnie iluzoryczna, choć oficjalnie DZSZ UW nie zrezygnowało z tej koncepcji. Faktycznie jednak na organizowanych przez Sowieców manewrach ćwiczone w tym czasie działania „koalicyjnego” frontu, składającego się z jednej armii: sowieckiej, polskiej i wschodniemieckiej.

Ostatecznie widmo Frontu Polskiego odeszło w niepamięć wraz z rozwiązaniem struktur Układu Warszawskiego w lutym 1991 roku. ■

dr Daniel Koreś – historyk, specjalizuje się w historii wojskowości polskiej i powszechnej XX w.; ostatnio opublikował *Gen. bryg. Aleksander Radwan-Pragłowski (1895-1974). Studium biograficzne* (2012)



► Defilada podczas pożegnania delegacji radzieckiej przybyłej na spotkanie przywódców państw-stron Układu Warszawskiego, na którym przedłużono ważność Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej o dwadzieścia lat; w pierwszym rzędzie honory przyjmują sekretarz generalny KC KPZR Michaił Gorbaczow i I sekretarz KC PZPR gen. Wojciech Jaruzelski, Warszawa, lotnisko Okęcie, 27 kwietnia 1985 roku



# „Marzec” jako przedmiot analizy socjologii historycznej

Marcin Kula

Żadne istotne wydarzenie dziejowe nie rozgrywa się w jednej płaszczyźnie.

Jeżeli o wydarzeniach marca 1968 roku w Polsce powiemy „rewolta studencka”, „kampania antysemicka”, „rozgrywka wewnątrz PZPR”, to za każdym razem będziemy mieli rację i jednocześnie nie będziemy jej mieli. Zjawisko rozgrywało się wszak w wielu planach jednocześnie. Przyjrzyjmy się im – zresztą z obawą, że przy najlepszej woli nie zdołamy wypatrzeć wszystkich.

„**M**arzec” był elementem pewnej przemiany pokoleniowej. W całej Europie, a może szerzej niż w Europie, w tym okresie dochodziło do głosu pokolenie urodzone w powojennym *baby-boomie*. Koniec wojny, powrót mężczyzn z frontów, z obozów, z robót przymusowych, także najczęściej podświadoma chęć odtworzenia przez społeczeństwo strat demograficznych oraz fala optymizmu, która przeszła przez świat, zaowocowały ogromną liczbą urodzeń. Najpierw trzeba było dostarczyć nowo urodzonym pieluszek i wózków, potem miejsc w szkołach, jeszcze później miejsc na uczelniach i na rynku pracy. Na dodatek ci, którzy tworzyli tę falę demograficzną, z czasem chcieli mieć coraz więcej do powiedzenia. W sprawie śpioszków

jeszcze się nie wypowiedzieli; nikt ich zresztą o to nie pytał. W sprawie tłoku, jaki zapanował na uczelniach, już zabrali głos. Na dodatek wyrobili sobie własne poglądy w sprawie przeszłości rodziców (Niemcy), sposobu życia poprzedniego pokolenia (Francja), nieruchawego charakteru ustroju, tudzież sklerozy przywódcy (Polska)... Byli po prostu inni od poprzedników, a żyło im się w ówczesnej Europie na tyle dobrze, że nie wahali się powiedzieć tego na głos. Nie bali się utracić poziomu życia ani trafić do więzień. Nawet w Polsce, gdzie dla wielu „marzec” skończył się więzieniem, rozluźnienie po 1956 roku było jeszcze na tyle duże, że represje nie rysowały się jako alternatywa przestraszająca z góry. Część tych, którzy w Polsce zbuntowali się przeciw realiom socjalizmu, była zresztą na tyle blisko ▶



Fot. Archiwum IPN

▶ ZOMO na ul. Krakowskie Przedmieście w Warszawie, 8 marca 1968 roku



Fot. Archiwum IPN

► Prorządowa manifestacja w 1968 roku

ustroju, że chyba mało brała pod uwagę takie niebezpieczeństwo.

„Marzec” był kolejnym momentem historii nienawiści etnicznych, a w szczególności antysemityzmu. Można bez końca dyskutować, w jakim stopniu hasła antysemickie, podniesione wtedy przez aparat partyjny, zostały pozytywnie przyjęte przez społeczeństwo. Taki był najpewniej zamiar – wskazać kozła ofiarnego w obliczu mniej lub bardziej bezpośrednich trudności, na jakie napotykały władze. Gdy dyskutuje się, jak duża część społeczeństwa uwierzyła wtedy w rzucone hasła, warto jednak zwrócić uwagę, że sam aparat PZPR był już wówczas znacznie bardziej emanacją społeczeństwa niż w 1945 roku (o dawnych bolszewikach w Rosji nie wspominając!). Po prostu wówczas członkowie władz rekrutowali się już z przeciętnych mieszkańców przeciętnych miast i miasteczek. Ludzie z takich ośrodków mogli być podatni

na hasła antysemickie – zwłaszcza że często byli dobiegani *in minus*. Nie oznacza to oskarżenia znacznej części Polski o antysemityzm, raczej o brak immunizowania na to uczucie, przynajmniej w owych czasach. Brak w jakimś stopniu wywołany zresztą – być może – ograniczeniem swobody dyskusji przez komunizm.

„Marzec” był kolejną odsłoną wymiany kadr, która następowała regularnie we wszystkich partiach komunistycznych będących u władzy. W większości z nich stara gwardia komunistyczna, z jej parareligijną wiarą i ideologią (zostawmy na boku ich ocenę), zaczynała przeszkadzać świeżym arywistom. Środowiska starych komunistów, często rekrutujące się z narodowościowych periferii, często wywodzące się z nie najgorzej sytuowanych kręgów społecznych, z grup wykształconych, a nawet przeintelektualizowanych, zostawały „zalanę” przez nową kadrę. Stalinizm był wyrazem takiego procesu.

Także w 1968 roku w Polsce arywiści chcieli odsunąć starych działaczy. W tej sprawie trzeba patrzeć nie tylko na gen. Moczarę, który stał się symbolem pracy grupy, a z pewnością nie był młodym arywistą. Trzeba patrzeć, kto za nim poszedł – a uczyniła to ogromna większość aparatczyków młodych, ambitnych i niesympatycznych – nawet jeśli skądinąd na ogół nie tak strasznych jak gwardia stalinowska.

„Marzec” był wyrazem zmiany legitymacji ustroju, a przynajmniej zmiany akcentów w tym zakresie. Nagle mieliśmy docenić ustrój bardziej jako narodowy niż jako socjalistyczny. Zmiana nie była ani zaskakująca, ani pełna. Wpierw też nieraz socjalizm usiłował legitymizować się odwołaniami do treści narodowych (pisał o tym Marcin Zaremba). Z kolei po 1968 roku nie przestał odwoływać się do ideologii marksistowskiej oraz internacjonalizmu. Marcowy zastrzyk szowinizmu był jedna bardzo silny. Ów „zastrzyk”

miał precedensy w socjalizmie – np. w sowieckiej walce z „kosmopolityzmem” oraz w moskiewskim oskarżeniu lekarzy żydowskich, chcących jakoby uśmiercić narodową, sowiecką elitę komunistyczną. Wywózki w ZSRR też były robione często całkowicie według narodowego, a nie internacjonalistycznego kryterium. Z kolei w Rumunii taki „narodowy komunizm” wprowadzał Nicolae Ceaușescu.

„Marzec” był kolejnym punktem w historii polskiej emigracji. Ta historia jest długa i niestety bogata. Wbrew szerokiemu mniemaniu o PRL jako kraju zamkniętym, ludzie wyjeżdżali stąd także w okresie powojennym – o czym niedawno pisał Dariusz Stola. Fragmentem historii migracji z Polski była migracja mniejszości narodowych bądź ludzi uznanych za ich część. W 1968 roku migracja polskich Żydów, bądź ludzi, którym przypomniano żydowskie pochodzenie, była o tyle specyficzna, że została wymuszona celową presją sytuacyjną, a migranci często nie definiowali się sami jako Żydzi. Ciekawy z punktu widzenia narodowościowej socjotechniki był kolejny zabieg z zakresu socjalistycznej nowomowy, do jakiego uciekły się władze, by udawać brak antysemityzmu. O ludziach, przeciw którym kierowała się kampania nienawiści, mówiono „syjonści” (zamiast Żydzi). W Warszawie pojawił się wówczas kolejny ze smętnych dowcipów czasu PRL. W opowiedzianej scenie ktoś mianowicie pytał: „Czy syjonista pisze się przez y, czy przez j?”. Odpowiedź brzmiała: „Nie wiem, przed wojną pisało się przez Ż”.

„Marzec” był kolejną rozgrywką w zwracaniu się komunizmu przeciw inteligencji, intelektualistom i myśleniu. Sprawa była skomplikowana, ponieważ sam komunizm odwoływał się do nauki, uznanych naukowców windował na piedestał i dobrze im płacił, akademie nauk uważał za centralne instytucje naukowe, przyznawał duże nagrody naukowe i literackie... Jednocześnie nie było dobrze za dużo myśleć w tym ustroju. Przykład sowieckiego

stalinowiec pochodzenia żydowskiego był on wyjątkowo wdzięcznym celem dla nowej elity. Był idealny, by powiedzieć „to nie my!” (to nie my jesteśmy odpowiedzialni za całe zło). Podobnego losu doświadczyli wspomniani „rewizjoniści”.

W marcu 1968 roku głępsi zajęli często miejsca mądrzejszych. Władze pociągnęły wiernych naukowców w górę, przyznając im tytuły docenta (dziś jest to tytuł prawie nieistniejący) bez obowiązku habilitacji. Myśmy ich nazywali „volksdocentami” (co pasowało zarówno do charakteru awansu, jak do ówczesnej szowinistycznej atmosfery w kraju). Straty, jakie dla życia umysłowego w Polsce przyniósł „marzec”, były ogromne.

„Marzec” był kolejnym punktem w historii komunistycznych kampanii propagandowych i kampanii nienawiści. Interesująco badał je Mariusz Mazur. Co ciekawe, ich struktura była raczej podobna – niezależnie od tego, czy kierowała się np. przeciw kulakom, czy – jak w 1968 roku – przeciwko Żydom, „rewizjonistom” lub komukolwiek.

„Marzec” był kolejnym etapem powstrzymywania demokratycznej ewolucji ustroju komunistycznego. Gdy w 1956 roku Chruszczow wygłosił swój „tajny referat” o zbrodniach

stalinowiec pochodzenia żydowskiego był on wyjątkowo wdzięcznym celem dla nowej elity. Był idealny, by powiedzieć „to nie my!” (to nie my jesteśmy odpowiedzialni za całe zło). Podobnego losu doświadczyli wspomniani „rewizjoniści”.

W marcu 1968 roku głępsi zajęli często miejsca mądrzejszych. Władze pociągnęły wiernych naukowców w górę, przyznając im tytuły docenta (dziś jest to tytuł prawie nieistniejący) bez obowiązku habilitacji. Myśmy ich nazywali „volksdocentami” (co pasowało zarówno do charakteru awansu, jak do ówczesnej szowinistycznej atmosfery w kraju). Straty, jakie dla życia umysłowego w Polsce przyniósł „marzec”, były ogromne.

„Marzec” był kolejnym punktem w historii komunistycznych kampanii propagandowych i kampanii nienawiści. Interesująco badał je Mariusz Mazur. Co ciekawe, ich struktura była raczej podobna – niezależnie od tego, czy kierowała się np. przeciw kulakom, czy – jak w 1968 roku – przeciwko Żydom, „rewizjonistom” lub komukolwiek.

„Marzec” był kolejnym etapem powstrzymywania demokratycznej ewolucji ustroju komunistycznego. Gdy w 1956 roku Chruszczow wygłosił swój „tajny referat” o zbrodniach



Fot. Archiwum IPN

▶ Tłum wiecujących i milicyjne radiowozy pod bramą Uniwersytetu Warszawskiego

Stalina, nieświadomie naruszył pewne imponderabilia, których nie dało się już odtworzyć. Sam mógł być dyktatorem, ale obnażonego króla nie dało się ponownie ubrać. Może też nie do końca Chruszczow tego chciał. Wolał, w razie upadku, sam przeżyć – co mu się udało. W Polsce ekipa, która doszła (częściowo wróciła) do władzy w 1956 roku, też nie pragnęła odtworzyć stalinizmu, od którego bezpośrednio ucierpiała. Były jednak granice, które chciała i mogła (z uwagi na ZSRR) tolerować. Podejrzewam, że gdy Gomułka patrzył na polskich studentów, to myślał, ku czemu zmierza sytuacja w Czechosłowacji. Tłumiąc ruch marcowy, zabezpieczał się przede wszystkim przed miejscowym wydaniem „praskiej wiosny” – a potem, optując za interwencją w Czechosłowacji, chciał też powstrzymać potencjalną ewolucję w Polsce. To były naczynia połączone. Jednocześnie mimo wszystko „marzec” był dowodem, że komunizm już bardzo rozmiękł. Słyszane to rzeczy, ażeby w komunizmie milicja biła się przez ileś dni ze studentami na ulicach miast?! Za Stalina coś takiego nie byłoby do pomyslenia. Gdy jeszcze w 1962 roku miały miejsce rozruchy w Nowoczerkasku, wojsko załatwiło wszystko błyskawicznie, a świat dowiedział się o zajściu dopiero po paru latach. Nawet w Polsce, gdy w okresie postalinowskim zdarzały się strajki, władze robiły wszystko, by robotnicy nie wyszli na ulice. Tymczasem w marcu milicja biła się ze studentami – zupełnie jak w demokratycznym kraju (tak!).

Jednocześnie komunizm, walcząc ze studentami, ugryzł się we własny ogon. Przecież to jego elita chwaliła się (niezbyt zasadnie) rozbudową szkolnictwa, uczelnianym awansem młodzieży z grup robotniczych i chłopskich... Usiłowano ratować tę kompromitację wskazywaniem, że to właśnie młodzież z dobrze sytuowanych domów starych komunistów („bananowa młodzież”) spowodowała konflikt. Czasem mówiono wprost,

a czasem „tylko” dawano do zrozumienia, że to Żydzi skłócili polskich studentów i polską milicję... Były to jednak słabe tłumaczenia. Koncepcja, że garstka młodzieży z rodzin starokomunistycznych i z pochodzenia żydowskich wyprowadziła tysiące młodzieży na ulice, miała tyle sensu, ile nieco wcześniejsza teza o imperialistycznej stoncy zrzucanej na polskie pola.

„Marzec” rozegrał się zgodnie z często występującymi w dziejach najnowszych schematami rozwoju ruchu społecznego w krajach autorytarnych. Dużą rolę w zapoczątkowaniu buntu odegrała młodzież ze środowisk stonkowo bliskich systemowi – bo tylko dla takiej ów system zdawał się dostatecznie bliski, by próbować go naruszyć. Nie od razu wysunięto postulat obalenia systemu – raczej chciano jego naprawy. Działo się tak trochę dlatego, że taka była wówczas mentalność rozpoczynających bunt, a trochę dlatego, że w ustrojach-nosicielach projektów ideologicznych protest często zaczyna się od hasła powrotu do czystej wersji projektu, przeciw wynaturzeniom. Trudno się też odważyć odrzucić wszystko; psychologicznie łatwiej jest kwestionować część rzeczywistości, bez zanegowania idei. Wiele rewolucji zaczyna się od obserwacji potrzeby postawienia świata, który stanął na głowie, z powrotem na nogi. Perspektywicznie duże znacznie miało to, że „naprawiacze” ostatecznie zrazili się wówczas do komunizmu. Pozwoliło to na sojusz z ludźmi od dawna odeń dalekimi, którzy demonstrowali bez większych złudzeń. Ułatwiło też sojusz z częścią środowiska Kościoła katolickiego, która nie dała się złapać na lep oskarżeń 1968 roku. Charakterystyczne, że KUL przyjął wówczas niejednego studenta wyrzucanego skądinąd – choć bywało oczywiście, że nie należał on do Kościoła. Nawiasem mówiąc, byłoby warte pogłębionej analizy zagadnienie, w jaki sposób komunizm potrafił do siebie ostatecznie wszystkich zrazić i sprawić, że wszyscy mówili „oni”, podczas gdy o sobie

myśleli „my” mimo wszelkich różnic. To była pewna sztuka, której komunizm zdołał jednak dokazać.

„Marzec” był kolejnym rozdziałem historii światowego ruchu studenckiego. Wielokrotnie pojawiał się on w najnowszej historii. Studenci są środowiskiem o cechach strukturalnych ułatwiających narodziny ruchu. Są już dorośli, a w większości nie znają jeszcze obowiązków ludzi bardziej dorosłych. Są młodzi, a młodzi mają więcej złudzeń w kwestii możliwości zmiany. Proces studiowania koncentruje studentów na jednym terenie. Wymiana myśli jest istotą tego procesu, a jednocześnie na ogół pozostawia trochę czasu na buntowanie się. Niektóre dyscypliny wręcz kierują uwagę ku otaczającej rzeczywistości społecznej.

Ruch studencki ma swoją tradycję i odegrał niebagatelną rolę dziejową. Tak zwany Ruch 4 maja (z 1919 roku) w Chinach dał początek zjawiskom zupełnie nowym, które z czasem doprowadziły do Rewolucji Chińskiej. W Ameryce Łacińskiej w 1918 roku, w Cordobie (Argentyna) rozpoczął się Ruch Reformy Uniwersyteckiej, który w latach dwudziestych przełaził się przez prawie wszystkie kraje regionu. W 1968 roku „wiosna studentów” w wielu krajach wyraziła się nie „tylko” demonstracjami. W mieście Meksyk wielotysięczny wiec studencki na placu Trzech Kultur (Tlatelolco) został ostrzelany 2 października 1968 roku z ziemi oraz z helikopterów, a następnie zaatakowany przez wojsko. Liczba ofiar do dziś nie jest znana. Innym, późniejszym spektakularnym wydarzeniem, tym razem znów w Chinach, były wiece, a następnie ich rozpędzenie z wielkimi ofiarami na placu Tienanmen w 1989 roku. W Polsce, oprócz 1968 roku, ruch studencki odegrał znaczącą rolę (wtedy nie zawsze mi sympatyczną!) w okresie międzywojennym, w 1956 roku i w latach osiemdziesiątych XX wieku.

Można rozpatrywać „marzec” jako wyraz dalekiego już wówczas zaawansowania procesu globalizacji. Mimo

wspomnianego wyżej czynnika przemiany pokoleniowej jako wspólnej przyczyny przejścia ówczesnej fali ruchu studenckiego przez różne kraje i mimo tego, że w każdym kraju konkretne przyczyny oraz przebieg były różne, to już wówczas wiadomości szybko się rozprzestrzeniały. Jedną z przyczyn była rewolucja technologiczna.

„Widmo krąży po Europie – widmo komunizmu” – pisali Marks i Engels w *Manifeście Komunistycznym*. To widmo, jak wiadomo, okrążyło Europę nie całkiem efektywnie. Tam, gdzie zapuściło korzenie, uczyniło to akurat niezgodnie z prorocstwem Marksa, który przewidywał rewolucję komunistyczną w krajach gospodarczo rozwiniętych. W 1968 roku widmo rewolucji studenckiej – choć mniej poważne niż widmo komunizmu – rzeczywiście okrążyło Europę i nie tylko ją.

Jeszcze jedna sprawa związana z „marcem” to odmienne postrzeganie tego epizodu przez różnych ludzi z perspektywy dzisiejszej. Dla części środowisk opiniotwórczych był bardzo

ważnym buntem; stał się „matecznikiem” buntowników, z których wyrosli bardzo ważni przywódcy przemiany demokratycznej. Według innych głosów ci, którzy nawiązują do jego tradycji, przypisują sobie niezасłużone zasługi w zakresie inspiracji lub/i przywództwa. Na dodatek – zdaniem tych głosów – wielu aktywnych uczestników marcowych demonstracji nie szło w kierunku obalenia komunizmu, samemu nieraz rekrutując się ze środowisk bliskich systemowi – podczas gdy według nich cały naród od początku sprzeciwiał się narzuconemu ustrojowi. Jak w wielu toczonych dziś sporach o przeszłość, narzuciła ona pewien podział, który ujawnił się, gdy zabrakło jednoczącego przeciwnika. Owa przeszłość stała się jednak też pewnym znakiem alfabetu historycznego, którego polemici używają w wypowiedziach. Z jednego i drugiego powodu dyskutuje się teraz nad tym, jaką relatywną rolę odegrał „marzec”, kto jaką rolę odegrał w owym epizodzie i w jakim kierunku kto wtedy szedł – choć pozornie wszyscy szli w tym

samym. W tych dyskusjach nie idzie tylko o tzw. prawdę historyczną. „Tak zwaną”, gdyż w najlepszym wypadku nigdy nie ustalimy jej bez reszty. Poszczególne kierunki oraz osoby wśród nas zawsze będą ją widzieć choć trochę odmiennie.

\*\*\*

Powyżej dokonałem przeglądu szerszej problematyki związanej z „marcem”. W każdym epizodzie historycznym możemy zobaczyć bardzo różne sprawy. Podobnie jak biolodzy, którzy mawiają, że w kropli wody pod mikroskopem można badać zagadkę życia, my możemy i powinniśmy tak badać zjawiska historyczne. Szkoda tylko, że „marzec” nie był zaledwie kroplą wody. ■

prof. dr hab. Marcin Kula – historyk, socjolog, wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim i Akademii im. Leona Koźmińskiego; zajmuje się m.in. historią PRL i Ameryki Łacińskiej; ostatnio wydał *Najpierw trzeba się urodzić* (2011) oraz *Naród, historia i... dużo kłopotów* (2011)



# Antoni Słonimski i „List 34”

Antoni Słonimski zaniósł 14 marca 1964 roku do kancelarii premiera Józefa Cyrankiewicza niewinny, wydawałoby się, list w obronie wolności słowa. „List 34” przeszedł do historii jako jeden z ważniejszych protestów inteligencji w PRL.

Joanna Kuciel-Frydryszak

Jedną z dotkliwszych szykan wobec Słonimskiego, tuż przed wyborami do zarządu ZLP, była konfiskata dwóch tomów jego przedwojennych recenzji teatralnych *Gwałt na Melpomnie*, wydanych w 1959 roku przez wydawnictwo Czytelnik. Minister kultury i sztuki Tadeusz Galiński nakazał wycofanie książek ze sprzedaży, ponieważ zawierały „sformułowania i poglądy sprzeczne z ideologią i ustrojowymi założeniami partii i rządu”. Przed konfiskatą sprzedano tylko dwieście egzemplarzy. Wobec pięciu pracowników Czytelnika minister nakazał wyciągnąć konsekwencje i obciążył wydawnictwo kosztami wydania, które wynosiły 300 tys. złotych.

Cenzura doskwierała pisarzom coraz bardziej. Słonimski stał się naczelnym krytykiem poczynań zarządu ZLP, a Iwaszkiewicza w szczególności. Gdy zlikwidowano dwa czasopisma – „Przegląd Kulturalny” i „Nową Kulturę” – pisarze zaatakowali Iwaszkiewicza podczas burzliwego zebrania ZLP w styczniu 1964 roku, a Słonimski w ostrym przemówieniu stwierdził, że nastąpił „okres likwidacji piśmiennictwa polskiego”.

W tym czasie Słonimski przesiadywał najczęściej w kawiarni PIW przy Foksal, tam sprawy cenzury były najżywiej przez pisarzy dyskutowane. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, manifestacja niezadowolenia wydawała się nieuchronna.



Fot. B. Majewski/FORUM

► Antoni Słonimski  
w Domu Pracy Twórczej  
w Konstancinie

### Czy tak się pisze do premiera?

W lutym 1964 roku Słonimski zapisał dwa zdania, które okazały się jednymi z najważniejszych w jego życiu: „Ograniczenie przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrenie cenzury stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani, uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polskiej polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez Konstytucję Państwa Polskiego i zgodnych z dobrem narodu”.

Ale kiedy przyniósł ten tekst do kawiarni PIW, na nikim nie zrobił on wrażenia, chociaż zaadresowany był do premiera Józefa Cyrankiewicza. Mało kto wierzył, że taki króciutki list odniesie jakikolwiek skutek. Paweł Hertz wspominał, że nie bardzo chciał pozostawić sprawę protestu w rękach Słonimskiego – cenił go jako poetę, ale do jego politycznej rozważki nie miał zaufania, ponadto jego zdaniem treść petycji nie była zbyt mądra. Natomiast Melchiorowi Wańkowiczowi nie podobało się, że tekst jest bardzo zwięzły. Uważał, że do premiera nie powinno się pisać tak krótkich listów.

Słonimski zwoływał pisarzy do kawiarenki PIW, aby zaproponować podpisanie listu, natomiast Jan Józef Lipski podjął się zbierania podpisów poza kawiarnią. Mieczysław Jastrun zanotował w dzienniku: „Kiedy Słonimski zadzwonił do mnie, abym przyszedł do kawiarni PIW-u w sprawie ogólnej, »która Cię zainteresuje«, wiedziałem już, o co chodzi – bo ten list – wisiał w powietrzu”.

To Słonimski wskazywał, kto może się pod listem podpisać, ale konsultował listę z Pawłem Hertzem i uległ jego namowom, aby przez Jerzego Zawieyskiego dopuścić też środowisko skupione wokół „Tygodnika Powszechnego”. „Uważałem, że list podpisany tylko przez Żydów i komunistów nie będzie miał żadnego znaczenia” – wspominał Hertz. Słonimski nie chciał, aby list podpisywał każdy, kto miał na to ochotę. Zasadniczym kryterium były dokonania, ale znaczenie miał też wiek kandydatów na sygnatariuszy. Pozwolił jednak podpisać się Adamowi Ważykowi, byłemu marksistom, choć sprzeciwiała się temu Maria Dąbrowska.

Ostatecznie pod petycją podpisy złożyło trzydziestu czterech intelektualistów, pisarzy i naukowców z różnych środowisk m.in.: Maria Dąbrowska, Maria Ossowska, Jerzy Andrzejewski, Stanisław Cat-Mackiewicz, Stefan Kisielewski, Edward Lipiński, Władysław Tatarkiewicz, Jerzy Turowicz, Melchior Wańkowicz.

### Gomułka rzuca kałamarzem

Najpierw aresztowano Jana Józefa Lipskiego. To był abolutny szok. W mieszkaniu Słonimskiego tego samego dnia spotykali się: Maria Ossowska, Maria Dąbrowska i mecenas Alicja Steinsbergowa.

Dąbrowska zanotowała w *Dziennikach*: „Słonimski okazał się dżentelmenem doskonałym. W związku ze złożeniem

owej skromnej petycji o zwiększenie przydziałów papieru aresztowany został Lipski, który zbierał podpisy. Słonimski nie tylko ową petycję złożył osobiście w prezydium Rady Ministrów, podając swój adres, ale po aresztowaniu Lipskiego od razu zorganizował delegację w składzie: Słonimski, Ossowska, Kisielewski; poszli do prokuratury m.st. Warszawy i stanęli w obronie Lipskiego (przy czym Słonimski znowu wziął odpowiedzialność na siebie), po 24 godzinach go wypuszczono – zauważając z przekąsem, że »zatrzymany« był nie w tej sprawie”.

Niedługo potem Cyrankiewicz zwołał u siebie w kancelarii spotkanie, na które zaprosił trzynastu sygnatariuszy, bez Słonimskiego. Z tego zebrania pochodzi anegdota, że gdy Julian Przyboś wygłosił opinię, że Słonimski to kiepski poeta, Cyrankiewicz stwierdził: „Ale przyzna pan, że dobry felietonista”.

Początkowo władza jeszcze się starała zapanować nad emocjami i po cichu spacyfikować niepokornych. Prawdziwa wściekłość ogarnęła Władysława Gomułkę dopiero wtedy, gdy pod koniec marca „List 34” został odczytany w Radiu Wolna Europa. Dwa tygodnie później grupa zachodnich intelektualistów (wśród nich Arthur Koestler) opublikowała w „The Times” poparcie dla sygnatariuszy listu, co rozsierdziło komunistów jeszcze bardziej. Rozeszły się pogłoski, że na wieść o tym wydarzeniu Gomułka rzucał kałamarzem, a Mieczysław Moczar stwierdził, że ze Słonimskim będzie rozmawiał nie premier, ale sierżant milicji.

Jedną z pierwszych sankcji był zakaz publikowania w „Szpilkach” cyklu felietonów Słonimskiego, które ukazywały się od 1960 roku pod tytułem: *Zalatywione odmownie*. Szekspirológ Jan Kott nie dostał zgody na wyjazd na sympozjum do Francji, również Artur Sandauer nie dostał paszportu na wyjazd do Izraela.

Wkrótce na skutek nacisków władzy dziesięciu naukowców (profesorowie: Konrad Górski, Aleksander Gieysztor, Leopold Infeld, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Kumaniecki, Edward Lipiński, Waclaw Sierpiński, Jan Szczepański, Władysław Tatarkiewicz i Kazimierz Wyka) wycofało swoje poparcie dla petycji, a w „The Times” ukazał się ich list, w którym ubolewali, że RWE wtrąca się w wewnętrzne sprawy Polski.

Równocześnie – z inicjatywy organizacji partyjnej przy ZLP – powstał kontrlist, zwany złośliwie folkslistą, który podpisało aż sześćuset literatów. Tylko nieliczni odmówili podpisu, a wśród nich m.in.: Tadeusz Konwicki, Andrzej Kijowski, Jerzy Zawieyski, Wiktor Woroszyński, Marian Brandys i Kazimierz Brandys.

W Archiwum Akt Nowych zachowały się oświadczenia pisarzy, dlaczego nie podpisały kontrlistu. Niektórzy tłumaczyli, że są chorzy na oczy i nie mogą czytać, inni – że nie słuchali radia i nie wiedzą, o co chodzi, ktoś nie chciał podpisać, bo wolał pominąć milczeniem Radio Wolna Europa. Marian Brandys tak uzasadniał swoją odmowę: ▶

„Świadectwem mego jednoznacznego stanowiska wobec antypolskich oszczerstw Radia Wolna Europa i innych zagranicznych środków propagandowych – jest moja dwudziestoletnia działalność pisarska. Mimo to przesłanej mi deklaracji nie podpiszę, ponieważ wyczuwam w niej ostrze skierowane przeciwko kilku wybitnym pisarzom polskim, których głęboko szanuję i od których uczyłem się pisać”.

Niedługo potem ze Słonimskim spotkał się minister Tadeusz Galiński i zaproponował, aby – podobnie jak naukowcy – napisał do „The Times” list potępiający działania RWE. Poeta nie tylko kategorycznie odmówił, ale też postawił własne warunki: „Nie wiem, jak rząd chce wybrnąć z tej sytuacji, wiem jednak na pewno, że nasz memoriał bez względu na dalszy rozwój sytuacji jest dokumentem historycznym. Jest to dokument świadczący o odwadze intelektualistów, którzy chcą dialogu z władzą, a nie dyktatu.

Mój projekt wyjścia z sytuacji jest prosty: Słyszałem, że Gomułka ma przyjąć M. Dąbrowską i Zarząd Główny Pisarzy. To bardzo dobrze. Należy później zorganizować wywiad nasz z przedstawicielem Times. Powiemy, że był memoriał, rozmawiano z nami, wyjaśniliśmy sobie sprawy, represje cofnięto. Kottowi i Sandauerowi trzeba wydać paszporty; ja oświadczę, że w porozumieniu z redakcją Szpilek wzięłem dwumiesięczny urlop płatny (to z podkreśleniem szczególnym przez S.) i w jesieni znowu zacznę pisać”.

Rząd odrzucił tę propozycję i zakazał wyjazdów zagranicznych kolejnym literatom: Antoniemu Słonimskiemu, Mieczysławowi Jastrunowi, Adolfowi Rudnickiemu i Stanisławowi Cat-Mackiewiczowi. Redaktorzy naczelni czasopism kulturalnych i dzienników oraz szefowie radia i telewizji dostali polecenie, aby „do odwołania” nie publikować tekstów ani żadnych informacji o pisarzach podpisanych pod listem do premiera. Dotyczyło to: Antoniego Słonimskiego, Jana Kotta, Jerzego Andrzejewskiego, Mieczysława Jastruna, Adama Ważyka, Artura Sandauera, Stanisława Cata-Mackiewicza i Melchiora Wańkowicza.

### **Szekspir jest przeciw Polsce Ludowej**

Jarosław Iwaszkiewicz poczuł się oszukany, ponieważ jako prezes ZLP otrzymał zapewnienie, że sankcje wobec pisarzy nie będzie. Wkrótce, 29 marca, napisał ostry list do ministra kultury, w którym zagroził rezygnacją z funkcji prezesa ZLP. Awantura trwała kilka miesięcy, a każde spotkanie ZLP przeradzało się w dyskusję wokół listu. Obrony petycji – na prośbę Pawła Jasienicy i Słonimskiego – podjęła się Maria Dąbrowska, która w swoim ostatnim w życiu publicznym wystąpieniu rzuciła władzy w twarz oskarżenie: „Wina za rozpętanie antypolskiej kampanii spada na władzę, która odpowiedziała represjami, aresztowaniem Lipskiego i dopiero wtedy sprawa stała się głośną. Jeśli nasz list dał Radiu Wolna Europa »ohydny żer dla antypolskiej kampanii«, to protest sześcioletni był dla niej wyrafinowanym smakołykiem”.

Gdy skończyła, pisarze wstali z miejsc i zgotowali jej owację. Bardzo ją to zaskoczyło, bo przecież aż sześciuset z nich podpisało kontrlist. Kilka dni po swym wystąpieniu zapisała w *Dziennikach*: „Boję się dnia i nocy, jakbym się spodziewała czasów wielkiego terroru. Boję się rewizji, nawet aresztowania”.

Dąbrowska słusznie przeczuwała, że to nie koniec koszmaru. Po trzech miesiącach od jej przemówienia aresztowano Melchiora Wańkowicza, którego władza podejrzewała o przekazanie „Listu 34” na Zachód. Wańkowicz spędził pięć tygodni w areszcie. Został skazany na trzy lata więzienia (na skutek amnestii karę obniżono o połowę, a Wańkowicza zwolniono z powodu złego stanu zdrowia).

Właśnie wtedy, gdy u Wańkowicza rozpoczynała się rewizja, odbywało się słynne zebranie POP ZLP, na którym Zenon Kliszko wygłosił przemówienie przygotowane przez samego Gomułkę. Nazwał on wówczas Słonimskiego „wodzem całej akcji” i tłumaczył jego zamiary: „P. Słonimskiemu potrzebny był list do premiera po to, aby zdobyć odskocznnię do walki politycznej z partią, z władzą ludową, z socjalizmem i zaprzęgnąć do tej walki zagraniczną prasę burżuazyjną oraz wrogie Polsce Ludowej rozgłośnie propagandowe i inne ośrodki. Trzeba przyznać, że p. Słonimski cel ten osiągnął”.

Słonimski, nie wiedząc, że Wańkowicz jest właśnie prowadzony do aresztu, odpowiedział Kliszce: „Proszę kolegów. Ja jestem w sytuacji dość trudnej. Jestem tu oskarżony o rzeczy brzydkie, rzucone były słowa znieważające, insynuacje. Jestem stroną słabszą. Ja nie mam armii, UB, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Policji. Za mną stoją tylko moje słowa i kilkadziesiąt lat mojej działalności jako pisarza i człowieka. [...] Mówi się, że ja występuję jako demon, jestem tym prowodyrem albo tym sklerotycznym starcem, albo chytrym lisem. [...] Uważa się mnie za najlepszego felietonistę i nie wolno mi pisać felietonów, uważa się mnie za poetę, a nie mogę swoich poezji drukować. Wytworzyła się taka sytuacja w cenzurze, że cokolwiek jest złego, jest przeciwko Polsce Ludowej. Arystofanes jest przeciwko Polsce Ludowej, Szekspir tak samo, skreśla się to. Romantyzm jest przeciwko. Panowie! Nie przesadzajmy. Ja tu nie obnażam swoich ran jak Winicjusz przed Neronem, bo ani pan Kliszko nie jest tak surowy jak Neron, ani ja nie jestem tak przystojny jak Winicjusz, ale jestem w sytuacji, w której mogę mieć trochę pretensji”.

Jeszcze przed sprawą „Listu 34”, w lutym 1964 roku, Słonimscy złożyli podania o paszporty, bo chcieli się wybrać na kilka tygodni do USA na zaproszenie Fundacji Anspachera, która zorganizowała poecie odczyty na amerykańskich uniwersytetach, m.in. na Harvardzie. W kwietniu, niecały miesiąc po sprawie „Listu 34”, otrzymali z MSW odmowę: paszportów nie dostaną na żaden wyjazd w ciągu najbliższych dwóch lat.

Słonimski nie mógł też publikować w prasie. „Zakaz druku miał nawet dość zabawne akcenty – jak wspominał – bo





► Zdjęcia operacyjne SB z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych; na fotografii u góry Antoni Słonimski na spotkaniu z Anielą Steinsbergową i Janem Olszewskim w kawiarni PIW przy ul. Foksal w Warszawie; poniżej i po prawej – Słonimski z żoną Janiną Konarską



Fot. Archiwum IPN

przed samym zakazem w jakimś miesięczniku rozrywkowym była krzyżówka. I kiedyś u dentysty z nudów rozwiązałem tę krzyżówkę – autor i tytuł wiersza. Autorem był Antoni Słonimski, tytuł wiersza – *Żal*. Autor był pionowy, a tytuł poziomy. W następnym numerze po miesiącu nie było rozwiązania tej krzyżówki, bo był już zakaz druku. Wszyscy, którzy odgadli i mieli dostać aparat fotograficzny, zawiedli się, bo nie było ani rozwiązania, ani żadnej nagrody nikt nie dostał. Tylko ja zostałem poziomy zamiast pionowy”.

Ówczesny redaktor naczelny „Szpilek”, Arnold Mostowicz, w połowie lat dziewięćdziesiątych twierdził, że to sam Słonimski wycofał się z pisania felietonów tuż przed złożeniem listu u Cyrankiewicza, ponieważ uznał, że nie chce zaszkodzić tygodnikowi. Ta wersja wydaje się całkiem

nieprawdopodobna. Z dokumentów wynika, że podczas spotkania prezydium ZLP, gdy Iwaszkiewicz prosił o zaniechanie represji wobec sygnatariuszy, Gomułka ze złością powiedział: „Zabroniliśmy jedynie druku felietonów pana Słonimskiego w »Szpilekach«. Czy to rzeczywiście pozostaje w jakiejś proporcji do rozmiarów oszczerczej kampanii, jaką rozwinęła Wolna Europa? Uważam, że bardzo łagodnie potraktowaliśmy pana Słonimskiego. Wolna Europa jest trybuną wrogów Polski Ludowej. Stała się też trybuną pana Słonimskiego. Jeśli władze odmawiają komuś paszportu na wyjazd za granicę, trzeba powiedzieć, że to nie są żadne represje. Jest to normalne”.

Następstwem „Listu 34” było m.in. innymi obniżenie nakładu „Tygodnika Powszechnego” o 25 proc. i podział środowiska literackiego. Równocześnie jednak protest wyznaczył kierunek przyszłej opozycji, był początkiem procesu silnego zaangażowania intelektualistów, który doprowadził do powstania Komitetu Obrony Robotników. Dla Słonimskiego natomiast wystąpienie z inicjatywą podpisania listu przeciw cenzurze było ugruntowaniem roli niekwestionowanego lidera pisarzy i autorytetu dla dużej części polskiej inteligencji. 📌

Joanna Kuciel-Frydryszak – dziennikarka, absolwentka Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, autorka m.in. słuchowiska „Szóste” (2009) dla I programu Polskiego Radia

Wkrótce nakładem wydawnictwa W.A.B. ukaże się biografia Antoniego Słonimskiego autorstwa Joanny Kuciel-Frydryszak *Heretyk na ambonie*.

# Bunt w bydgoskim więzieniu

Tomasz Kozłowski

**W biały dzień, pod nosem milicji, z aresztu w Bydgoszczy uciekło 188 osób. Było to 5 września 1981 roku. Do dziś krążą na ten temat teorie spiskowe.**



Fot. Archiwum Akt Nowych

▶ Trasa ucieczki Jacka Cieslewicza

**T**ego dnia w areszcie śledczym w Bydgoszczy przebywało 483 osadzonych. Czterej z nich byli podejrzani o zabójstwo, ponad 80 o napad rabunkowy, a kolejnych 130 o kradzież z włamaniem. Wśród nich był siedemnastoletni Jacek Cieslewicz, oskarżony o kradzież naczyń liturgicznych w jednym z bydgoskich kościołów.

Młody chłopak źle sobie radził w areszcie. Skarżył się, że strażnicy używali wobec niego przemocy. Nie wzbudzał także sympatii współwięźniów. Jeden z przebywających z nim w celi przestępców, Andrzej K., starał się nakłonić Jacka do ucieczki. W ten

sposób K. chciał przetestować reakcje strażników oraz ocenić szanse własnej ucieczki.

## Tak się zaczęło

Kiedy 5 września osadzeni wyszli na spacer, Andrzej K. groźbą zmusił Cieslewicza do podjęcia próby ucieczki. Po kilku minutach spokojnego spaceru Jacek poderwał się, pobiegł po stromym betonowym podmurowaniu i wspinał się po siatce zabezpieczającej. Uciekał po dachach i przeskakiwał kolejne przeszkody. Więźniowie, którzy spostrzegli, co się dzieje, zaczęli głośno dopingować uciekiniera. Jackowi udało się dotrzeć na teren przylegającego do

aresztu ogrodu sądowego. W tym momencie stojący na wieżyczce strażnik oddał krótką serię w jego kierunku. Trafił Jacka w plecy, na wysokości jedenastego kręgu piersiowego.

Jacek przeżył, ale operujący go później lekarz stwierdził, że najprawdopodobniej do końca życia pozostanie kaleką. Osadzeni, którzy nie mogli widzieć finału całego zdarzenia, po usłyszeniu sygnału karetki mieli już pewność, że ucieczka się nie powiodła. Nie wiedzieli, czy Cieslewicz przeżył. To wydarzenie było impulsem, który rozpoczął bunt.

Więźniowie lżyli strażników, demolowali cele i wyrzucali przez okna

różne sprzęty. Strażnicy pobrali broń, zaczęli ściągać posiłki, zawiadomili komendę MO. Jednak sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Osadzeni starali się zwrócić uwagę przechodniów, których widzieli z okien wychodzących na ul. Wały Jagiellońskie. Prosilili o pomoc i krzyczeli: „ludzi mordują”, „biją” i „strzelają do nas”. W normalnej sytuacji takie prośby prawdopodobnie nie odniosłyby skutku. Jednak rok 1981 był pod wieloma względami szczególny, bo przecież rok wcześniej powstała „Solidarność”, która wchodziła właśnie w końcową fazę konfliktu z władzami. Za trzy miesiące zostanie wprowadzony stan wojenny.

W 1981 roku przez więzienia i areszty w całym kraju przetaczała się fala protestów i buntów. Więźniowie domagali się poszanowania swoich praw i poprawy warunków życia. W walce o prawa więźniów ważną rolę odegrali działacze „Solidarności”, Stowarzyszenia Pomocy Osobom Uwięzionym i ich Rodzinom „Patronat” oraz Komitetów Obrony Więzionych za Przekonania. To dzięki ich staraniom przeciętni ludzie zaczęli postrzegać więźniów także jako ofiary niewydolnego systemu penitencjarnego, a nie tylko jako przestępców.

Między innymi z tych powodów wezwania bydgoskich aresztantów odniosły skutek. Pod aresztem zaczęli się zbierać ludzie, wśród których byli też więźniowie. Punkt krytyczny został przekroczony około 16.30, kiedy część z trzystu zgromadzonych osób zaczęła szturmować od zewnątrz bramę aresztu. Strażnicy więzienni nie mieli żadnej możliwości obrony, telefonowali za to z dramatycznymi apelami do komendy MO. Mimo to siły milicyjne wciąż się nie pojawiały. Pod areszt dotarli za to zaalarmowani działacze bydgoskiej „Solidarności”. Uformowali oni kordon odgradzający ludzi od budynku i zaprowadzili spokój.

W tym czasie sytuacja wewnątrz aresztu zupełnie wymknęła się spod kontroli. Jeden z aresztantów później napisał: „Najpierw zaczęło trzecie

piętro, wyszli na hall. Zaczęli [walić] krzesłami, koje rozebrali i kojami wywalili drzwi, że takie kopuły wyleciały... Jak te kopuły wyleciały, to wychodzili. Kiedy krzyknęli, że góra wolna, to wtedy dół zaczął. [...] Jak zobaczyli to oddziałowi, zaraz zamknęli dyżurki. Wtedy ci, co na kłódki zamykani byli, to je zaczęli odrywać, krzesłami walili w te kłódki. Kłódki pękały. Wydostali się”.

### Wielka ucieczka

Strażnicy nie mogli brutalnie spacyfikować osadzonych ze względu na zgromadzony pod aresztem tłum. Obawiano się, że gdyby straż więzienna przystąpiła do akcji, ludzie po raz kolejny ruszyliby na bramy. Z tej sprzyjającej sytuacji skorzystali aresztanci, którzy zaczęli ustawiać w korytarzach barykady. Wielka ucieczka rozpoczęła się przed 19.00. Część więźniów systematycznie przebijała się przez kolejne pomieszczenia, aż dotarła do magazynu mundurowego. Stamtąd, na linach ze związanych prześcieradeł, osadzeni po kolei ześlizgiwali się na teren przylegającego do aresztu podwórza sądu. Inna grupa przedostała się na dach łaźni, a stamtąd do ogrodu sądownego. Osadzeni dostali się do depozytów, w których znajdowały się cywilne ubrania, które ułatwiły ucieczkę.

Uciekający nie byli zatrzymywani przez nikogo. Ani przez strażników, którzy bali się interweniować, ani przez zgromadzonych ludzi – niektórzy im nawet pomagali. Co najdziwniejsze – na miejscu zdarzenia nadal nie było milicji.

Sytuacja pogorszyła się po wieczornym dzienniku telewizyjnym. Zamieszczono w nim materiał o buncie oraz o agresywnym tłumie szturmującym bramę aresztu, rzucającym butelki i kamienie. Relację bardzo udurowiano – była to wyraźna manipulacja ze strony telewizji.

Po obejrzeniu dziennika kolejni mieszkańcy Bydgoszczy, którzy dotąd nie wiedzieli, co się dzieje, pospieszyli pod areszt. Krótco po 20.00 tłum liczył



Fot. Archiwum Akt Nowych

► Powyłamywane drzwi w jednym z korytarzy aresztu

już około 2 tys. osób. Z minuty na minutę sytuacja stawała się groźniejsza. „Solidarność” nie była już w stanie zapanować nad taką masą ludzką. Nie pomagały nawet posiłki ściągnięte z okolicznych zakładów. Z aresztu uciekali kolejni osadzeni. Na miejscu cały czas nie było milicji.

W tej sytuacji działacze „Solidarności” postanowili porozumieć się z przebywającymi wewnątrz aresztantami. Pierwszy kontakt nawiązali: Krzysztof Gotowski oraz Marek Koczwara. Następnie z osadzonymi kontaktował się Andrzej Piotrowicz. Aresztanci domagali się, by „Solidarność” była mediatorem między władzami a powołanym przez nich komitetem protestacyjnym.

Około 21.00 przed aresztem pojawiły się wreszcie siły milicyjne. Uzbrojona grupa ruszyła w stronę zgromadzonego tłumy, nawołując do rozejścia się. Ludzie nie wiedzieli, jak się zachować, część wpadła w panikę, niektórzy zaczęli uciekać. Wtedy przed tłum wystąpiła działaczka bydgoskiej ►

„Solidarności”, Grażyna Kozimińska. Podbiegła do dowodzącego akcją i zaczęła go namawiać, by wydał podwładnym rozkaz wycofania się. Jednocześnie zorganizowała członków „Solidarności” w łańcuch ludzki, który stanął między tłumem a oddziałami ZOMO. Sytuację udało się opanować. Milicjanci wycofali się, ale obstawili okoliczne ulice. Wtedy też zakończyła się ucieczka osadzonych – łącznie uciekło 188 osób.

Sytuacja zaczęła się uspokajać. Aresztanci, którzy przejęli kontrolę nad radiowęzłem, oświadczyli, że są gotowi do podjęcia rozmów z władzami. Ich oświadczenie było słyszane na zewnątrz aresztu. Wicewojewoda Tomasz Gliwa zaapelował o rozejście się. Jego wystąpienie nie odniosło skutku, lecz niedługo później podobny apel wystosowali przez radiowęzł osadzeni. Tłum się rozszedł.

### Solidarni z więźniami

Rankiem 6 września aresztanci przedstawili postulaty sformułowane z pomocą działaczy „Solidarności”. Dotyczyły one kwestii poprawy warunków odbywania kary czy aresztu, zmiany przepisów prawa penitencjarnego, a nawet zmian w kodeksie karnym. Osadzeni domagali się gwarancji nietykalności dla uczestników protestu, ale także określenia górnej granicy okresu tymczasowego aresztowania do sześciu miesięcy (w przypadku podejrzenia o dokonanie zbrodni) i trzech miesięcy (w przypadku występku); obecności adwokata przy przesłuchaniu aresztowanego; zaprzestania wymuszania na podejrzanych zeznań za pomocą środków nieprzewidzianych prawem; wydzielenia w celach kącików sanitarnych.

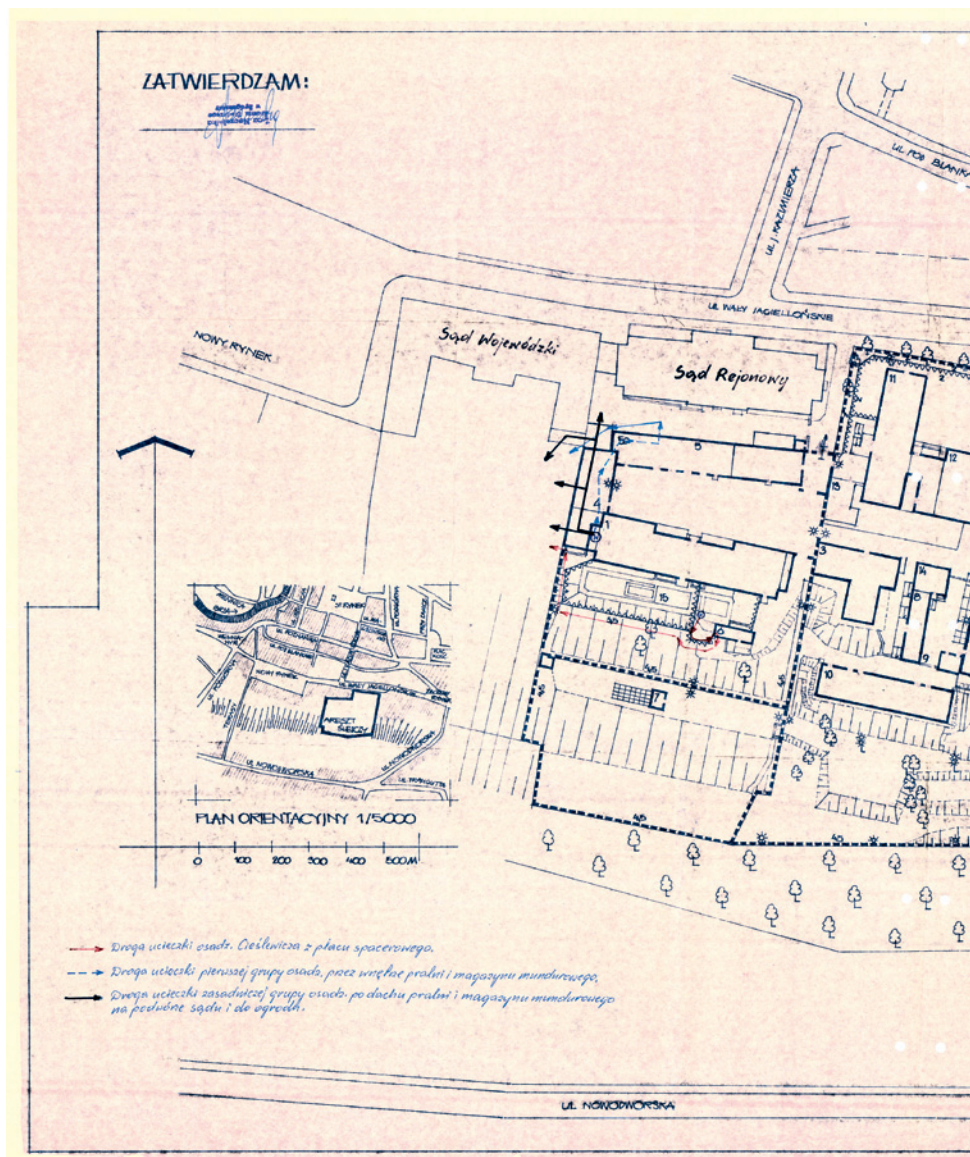
Naprzeciw przedstawicieli komitetu protestacyjnego zasiadła specjalna komisja złożona z pracowników Centralnego Zarządu Zakładów Karnych oraz Ministerstwa Sprawiedliwości. Dzięki postawie mediujących działaczy „Solidarności” udawało się uzgodnić kolejne postulaty. Jak ujęto to w raporcie

straży więziennej, „przez cały czas prowadzenia rozmów, zarówno przewodniczący zespołu »Solidarności«, dr Andrzej Piotrowicz, jak i większość członków tego zespołu, wykraczali poza rolę mediatora i swym zachowaniem jednoznacznie wyrażali aprobatę stosunek do postulatów i postawy osadzonych”.

Mimo że negocjacje szły w dobrym kierunku, władze postanowiły je przerwać. Takie instrukcje przywiózł zapewne z Warszawy szef Służby Więziennej, gen. Stanisław Jabłonowski. Według wewnętrznej notatki natychmiast po jego przybyciu „przystąpiono do opracowania wspólnie z kierownictwem Komendy Wojewódzkiej MO

planu zlikwidowania zaistniałego buntu przy użyciu siły, ustalając godzinę rozpoczęcia akcji na 3.00 w nocy”.

Zapędy gen. Jabłonowskiego wyhamowała zgodna opinia Sekretariatu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, prezesa sądu wojewódzkiego, prokuratora wojewódzkiego, negocjatorów oraz kierownictwa KW MO. Wszyscy oni byli przekonani, że przed przystąpieniem do akcji należy rozwiązać problem obecności w areszcie działaczy NSZZ „Solidarność”. Obawiali się, że pochopne przeprowadzenie akcji na nowo wzbudzi niepokoje w mieście. Komisja nie wznowiła rozmów, ale przedstawiła wiele trudnych do spełnienia warunków kontynuowania



negocjacji. Osadzeni znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

**Nie doszło do szturm**

Postawienie warunków nie do spełnienia było z punktu widzenia władz dobrym pomysłem. Pozwalało odpowiedzialność za użycie siły i ewentualne ofiary w dużym stopniu przerzucić na komitet protestacyjny osadzonych. Liczono też na to, że członkowie „Solidarności” opuszczą areszt, Jan Perejczuk i Mariusz Łabentowicz pozostali jednak w areszcie. Perejczuk wspominał po latach: „Ja nie wiem, czy bylibyśmy w stanie wyjść, gdybyśmy powiedzieli, że więźniów opuszczamy. Nie wiem, czy by nas puścili”.

Wszyscy wiedzieli, że zapadła decyzja o szturmowaniu aresztu. Na dziedzińcu i dachach widać było funkcjonariuszy SW wyposażonych w pałki, tarcze i hełmy. Perejczuk wspominał: „[...] tych więźniów by zmasakrowali. Pierwszy raz baliśmy się o własne życie”. Aresztanci „[...] uzbroili się, połamali łóżka. Jeden owinął głowę prześcieradłem, zrobił turban, żeby go

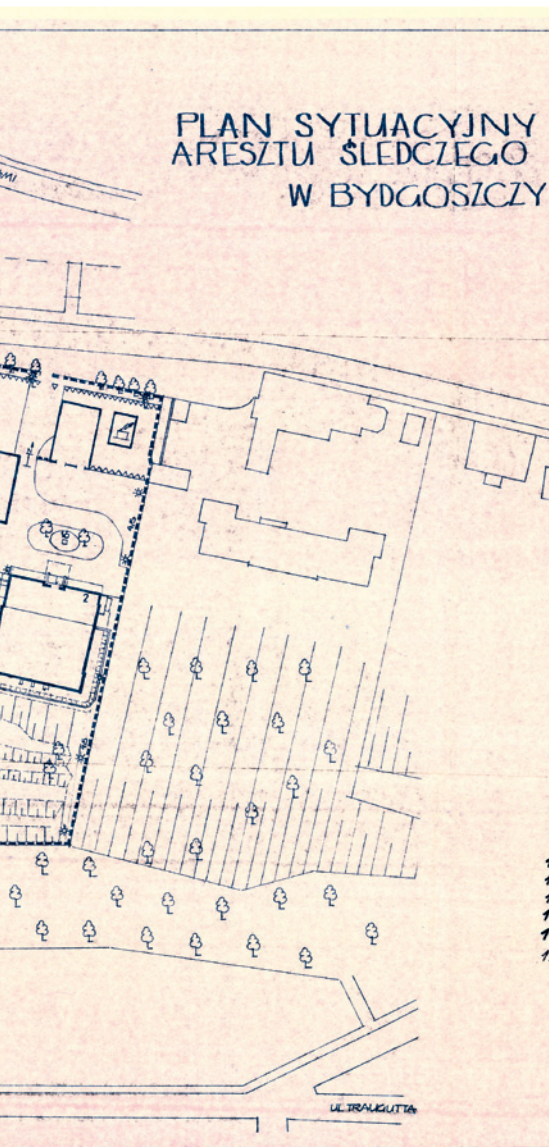
nie uszkodzili. Wyrwał nogę od stołu, powiedział, że będzie walczył. Drugi wziął nożyczki, powiedział, że on tania skóry nie sprzedaje, a na końcu się zabije. Inny się owinął w prześcieradło, oblał się rozpuszczalnikiem i powiedział, że się podpali”.

Osadzeni wzmacniali barykady oraz rozlewali pastę do podłogi, aby w momencie wejścia jednostki szturmowej

Fot. Archiwum Akt Nowych



► Budynek aresztu śledczego; w oknach wywieszono transparenty „Solidarność jest z nami”, „strajk okupacyjny”



Fot. Archiwum Akt Nowych

wzniecić pożar. Część z nich wyszła na dach, skąd ostrzegała służby porządkowe i zgromadzony tłum, że w razie szturmowania aresztanci podpali budynek i popełnią zbiorowe samobójstwo.

Naczelnik wzywał przez megafon do poddania się. Wywierano presję na znajdujących się w areszcie członków „Solidarności”. Namawiano ich telefonicznie, aby starali się skłonić osadzonych do pokojowego opuszczenia aresztu. Nie było to zadanie łatwe.

Jan Perejczuk wspominał, że osadzeni dopiero „[...] po długich namowach ►

i perswazjach zgodzili się poddać, ale po urządzonym referendum [...]. Wreszcie, aby przyspieszyć sprawę, więźniowie zaczęli się ustawiać – ci, którzy chcą wyjść po jednej, ci, którzy zostają – po drugiej stronie. Trwało to bardzo długo. Musiałem wielu namawiać. Wreszcie, kiedy najbardziej agresywni zobaczyli, że są w mniejszości, zdecydowali się też na wyjście. Był to dosłownie ostatni moment”.

Osadzonych rozwieziono do innych aresztów i więzień. Większość uciekinierów wkrótce złapano. Niektórzy z nich sami zgłaszali się do biura „Solidarności” z prośbą, by asystowali im, gdy będą oddawać się w ręce MO. Jeden z uciekinierów niespodziewanie stawiał się w sądzie na rozprawie, która właśnie miała być odroczone z powodu... jego ucieczki. Do późnych godzin popołudniowych 8 września w ręce organów ścigania oddało się (lub wpadło) ponad osiemdziesięciu zbiegów. Do północy 13 września – już 144.

### Kto zawinił?

Bunt, ucieczka aresztantów oraz odpowiedzialność za tę sytuację były przedmiotem sporów. Władze przystąpiły do ofensywy propagandowej. Winą za taki rozwój sytuacji obarczono tłum. Rzecznik Służby Więziennej tłumaczył, że „użycie jakichkolwiek środków, czy to gazów, czy bezpośrednio broni palnej, mogło być niebezpieczne dla tłumu, który zgromadził się w pobliżu”. Innego zdania był wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Bydgoszczy, który w wywiadzie powiedział: „To jest rozpad państwa! Ogólny upadek dyscypliny i poszanowania! Jeżeli dookoła wałą się świętości, jeżeli ludzie czują się bezkarni, jeżeli buntownik ma oparcie w tłumie, a organa porządku boją się wystąpić, to jest rozkład państwa i nic innego”. Na pytanie dziennikarki „A co Pan by zrobił?”, odpowiedział: „Gdybym ja pełnił funkcję kierownika zakładu, poleciłbym użycie broni”.

Władze starały się winą obarzyć także działaczy „Solidarności”.

W „Trybunie Ludu” napisano, że „[...] w toku prowadzonych rozmów przedstawiciele »Solidarności«, poza postulatami więźniów, przedstawili warunki do dalszych rozmów, które ze względu na ich treść i charakter nie zostały przyjęte. W tym stanie rzeczy rozmowy zostały zerwane”. W rzeczywistości to władze sabotowały rozmowy.

Nieznany z nazwiska przedstawiciel władz więziennych mówił, że „[...] działacze »Solidarności« zjawili się na miejscu – jego zdaniem – zdumiewająco szybko, że zdumiewająco łatwo udało im się nawiązać kontakt z więźniami, że ci ostatni zdumiewająco chętnie zgodzili się na wszystkie propozycje mediatorów”. Wtórował mu anonimowy prokurator: „Skok Cieślewicza miał być sygnałem dla innych. Pewne rzeczy wskazują, że miało się to odbyć już w piątek. W każdym razie ludzie na zewnątrz byli uprzedzeni, czekali pod murem z ubraniami cywilnymi”.

Antoni Tokarczuk, ówczesny wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Bydgoskiego NSZZ „Solidarność”, w udzielonym wywiadzie tak komentował pojawienie się teorii spiskowych: „Zarzut, że jest to prowokacja zorganizowana przez »Solidarność«, jest po prostu śmieszny. Cały zarząd i delegaci byli przecież poza Bydgoszczą na zjeździe, a zespół, który pozostał, ma trudności z normalną pracą. Miałby się jeszcze brać za takie sprawy? Nonsens. Byłoby to polityczne samobójstwo”. Z drugiej strony wskazywał, że teoria o prowokacji ze strony władz także nie była sensowna.

Jednak władze także musiały się tłumaczyć, wszyscy bowiem zadawali pytania o to, dlaczego milicja zwlekała tyle czasu z reakcją. Pojawiało się wiele wątpliwości. Niektórzy podejrzewali, że mogła to być prowokacja wymierzona w I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, który obradował wtedy w Gdańsku.

Dodatkowy asumpt do poparcia teorii o prowokacji pojawił się po latach.

Okazało się, że jeden z dziennikarzy z Bydgoszczy, który brał udział w realizacji feralnego materiału dla Dziennika TV, był współpracownikiem SB. Brak jednak dowodu wydania mu jakichkolwiek poleceń przez przełożonych.

Bliższe przyjrzenie się raportowi milicyjnemu pozwala wytłumaczyć przyczynę spóźnionej relacji milicjantów. Wpłynęło na to kilka czynników. Po pierwsze, ZOMO składało się z funkcjonariuszy zawodowych pracujących w systemie ośmiogodzinnych zmian. Po ogłoszeniu alarmu trzeba było ściągać dodatkowych funkcjonariuszy z domów. Należy pamiętać, że była to wolna sobota. Do większej akcji siły porządkowe były gotowe dopiero przed 20.00.

Dowódcy czekali na uzyskanie zdecydowanej przewagi – wysłanie mniejszych sił mogło wręcz rozniecić zamieszki. Około 21.00 w rejonie aresztu pojawiły się mieszane patrole wojskowo-milicyjne. Dopiero wtedy główne siły wkroczyły do akcji. Wiktor Mikusiński – który w 1981 roku zakładał wolne związki zawodowe w milicji, był internowany, a po roku 1989 roku piastował stanowisko komendanta stołecznej policji – stwierdził, że w świetle raportu reakcja „była taka, jak okoliczności wymagały i pozwalały”. Dostrzegł „pewne elementy niepewności, wahania się, trochę bałaganu, a może zbyt ostrożności”.

Także sam bunt nie był wydarzeniem wyjątkowym. W roku 1981 zanotowano w aresztach i zakładach karnych 276 zbiorowych wystąpień osadzonych. Protestowali oni przeciw złym warunkom odbywania kary. Także w wielu innych przypadkach w walce o prawa osadzonych wspomagali ich działacze „Solidarności”. Związkowcy uznawali, że każdemu człowiekowi, nawet skazanemu, trzeba zapewnić godną egzystencję. ❀



# Krzywe zwierciadło DTV

Antoni Dudek

**O**d dobrych kilku miesięcy osoby interesujące się historią PRL lat osiemdziesiątych mają okazję spojrzeć na ten okres ze szczególnej perspektywy. Przez pryzmat głównego wydania peerelowskiego dziennika telewizyjnego (DTV), którego poszczególne edycje są emitowane codziennie przez kanał TVP Historia. Każdego dnia jest pokazywany w całości (łącznie z wiadomościami sportowymi i prognozą pogody) dziennik sprzed 23 i więcej lat. Najstarsze wydania, które udało mi się obejrzeć, pochodzą z 1984 roku, natomiast najpóźniejsze – i często najciekawsze – z 1989. Z tego, co udało mi się dowiedzieć w TVP, z wcześniejszego okresu zachowały się jedynie pojedyncze wydania, a zapisy z lat 1984–1989 są też dalekie od kompletności. Ale i tak uzyskaliśmy

wgląd w kapitalne świadectwo epoki, tym bardziej, że przez lata utrzymywano, iż dzienniki telewizyjne z czasów PRL w ogóle się nie zachowały.

## Czarna godzina

Dziennik telewizyjny był ulubioną audycją gen. Wojciecha Jaruzelskiego. „W moich czasach – wspominał premier Zbigniew Messner – taką czarną godziną [...] była 19.30, pora emisji Dziennika Telewizyjnego. Na tę chwilę przerywano we wtorki – stały dzień posiedzeń – nawet obrady Biura Politycznego. [...] Jeśli zaś jakieś absolutnie nadzwyczajne wydarzenia nie pozwalały Wojciechowi Jaruzelskiemu obejrzeć DTV, jego adiutantura nagrywała dziennik i odtwarzała go Generałowi”. Skąd brało się to przywiązanie generała do wieczornego dziennika? „To przecież nasz główny oręż

polityczno-propagandowy” – mówił on o tym na posiedzeniu Biura Politycznego w 1984 roku. I wyjaśniał dlaczego: „Wiemy, że ludzie gazet nie czytają w takiej skali, w jakiej byśmy chcieli, oczywiście. Jest tutaj w pigułce podane wszystko – to powinno być podane, na czym nam zależy. Ale ta pigułka powinna być taka, że się chce ją łykać. Ona może być raz gorzka, raz słodka, ale nie powinna być mdła”. Niestety, był z tym problem, co widać nie tylko po latach. Dostrzegał go także Jaruzelski i bywał surowym recenzentem swej ulubionej audycji. Nie spodobało mu się np. relacjonowanie jednej z afer w RFN, w związku z którą parlamentarna komisja przesłuchiwała kanclerza Helmuta Kohla i szefa dyplomacji Hansa Dietricha Genschera: „[...] to przesłuchanie Kohla i Genschera itd. Z tego się zrobiło całą historię, że ich



tam przesłuchują i nawet go przesłuchiwali – skąd dostał puszkę kawioru. Wicie, myślałem, że mnie krew załeje. Patrzcie, jaka demokracja, biorą premiera, biorą ministra, sadzają: skąd puszkę kawioru wzięłeś, skąd wzięłeś pieniądze, musi się tłumaczyć gęsto itd. A myśmy Jaroszewicza itd. wszystkich wykręcili od odpowiedzialności. I to przez kilka dni było międlone”.

Innym razem Jaruzelskiego zdenerwował dziennikowy materiał z Francji o demonstracjach po zastrzeleniu przez policję młodego tureckiego imigranta. „Długo międlony był temat – ten Turek we Francji – mówił wzburzony generał do członków Biura Politycznego. – Tylko z jakich pozycji? Zastrzelony został Turek i manifestacje, i demonstracje chodzą. Superdemokracja. Bo u nas gdyby np. po Popiełuszcze była demonstracja i przeszła przez ulice Warszawy czy innych miast, to byśmy to uważali za wielki skandal i generał Kiszczak musiałby wyciągać ORMO czy jakieś tam inne swoje ZOMO. A tutaj pokazujemy przez parę dni, jak po Paryżu i po innych miastach chodzą wielkie demonstracje i protestują. [...] po diabła nam takie pokazywanie takiej demokracji. Tutaj, jeśli już tak, to jest świadectwo tego, że [panuje] bezrobocie, że rasizm, że zastrzelili. To świadectwo w ogóle pewnych mechanizmów, ale nie od tej strony, że są protesty. Nie w tej płaszczyźnie. Zupełne bezmózgowie przecież u niektórych towarzyszy”. Nietrudno się domyślić, że za sprawą tak wnikliwego recenzenta stanowisko szefa DTV należało do najmniej stabilnych funkcji w całym Radiokomitecie.

Jednak generał nie tylko recenzował poszczególne wydania DTV. Zdarzało się też, że i reagował, a przywiązanie Jaruzelskiego do głównego programu propagandowo-informacyjnego TVP miało istotne konsekwencje nawet dla godzin pracy wyższych

funkcjonariuszy partyjnych i państwowych. Wedle relacji Messnera, „co bardziej przewidujący członkowie władz centralnych nie wychodzili ze swoich biur przed końcem dziennika. Ja, Zbigniew Szalajda, Manfred Gorywoda, Józef Kozioł, później również Zdzisław Sadowski kilka razy w tygodniu byliśmy nękami »dziennikowymi« telefonami Najwyższego. Z reguły wyglądało to w ten sposób, że Jaruzelski dzwonił i mówił: »Widziałeś Zbyszku (tu następowała krótka charakterystyka konkretnego fragmentu DTV)? – To skandal, ktoś powinien za to odpowiedzieć... albo – Trzeba wyjaśnić i nagłośnić, koniecznie nagłośnić«”.

### „Ircha” przed kamerą

Nagłaśnianie jednak niewiele dawało, dlatego gen. Jaruzelski był bardzo przywiązany do wiary w zbawczą moc różnego rodzaju działań kontrolnych. Najpierw prowadzili je komisarze wojskowi, przeprowadzając kompleksowe oceny sytuacji w poszczególnych województwach, później do działania ruszyła Główna Inspekcja Terenowa na czele z gen. Edwardem Drzazgą, który przed kamerami DTV pracownicy omawiał wyniki swoich operacji kontrolnych. Wreszcie uruchomiono też Inspekcję Robotniczo-Chłopską (IRCh), na utworzenie której pomysł generał Jaruzelski zaczerpnął z pism samego Lenina. Inspektorzy „irchy” byli częstymi bohaterami dziennikowych felietonów w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Decyzja o powołaniu inspekcji zapadła na XVIII Plenum KC PZPR w grudniu 1984 roku. „Na około 1,5 tys. przeprowadzonych kontroli, w 80 proc. z nich stwierdzono różnego rodzaju nieprawidłowości” – pisano w broszurze wydanej przez KC PZPR, w której oceniano pierwszy rok działalności IRCh, podając równocześnie charakterystyczne przykłady:

„w woj. legnickim, plockim, rzeszowskim, krośnieńskim i zamojskim stwierdzono w sklepach [...] złe zaopatrzenie w podstawowe artykuły żywnościowe (chleb, mleko, masło, mąka, sery, sól); w woj. radomskim w sklepach branży przemysłowej stwierdzono przypadki ukrywania na zapleczu sklepów poszukiwanych towarów”. Wszystko to pracownicy dokumentowali reporterzy DTV, próbując przekonać widzów, że władze dzieli już tylko krok od zapełnienia sklepowych półek.

A jednak IRCh, podobnie jak inne służby powołane w tym celu, nie potrafiła zahamować rosnącej „przestępczości gospodarczej”, która zresztą w niemałej części nie była z dzisiejszej perspektywy niczym innym, jak tylko normalną działalnością biznesową. W raporcie przygotowanym w 1985 roku w Komendzie Głównej MO, odnotowując wzrost liczby „przestępstw gospodarczych” o 19 proc. w stosunku do 1984 roku, równocześnie podkreślano, że „obraz statystyczny nie odzwierciedla jednak w pełni faktycznego stanu zagrożenia niegospodarnością i marnotrawstwem. Rzeczywiste rozmiary niegospodarności są znacznie większe”.

### „Bohaterska” milicja

Skoro już o milicji mowa, to jej funkcjonariusze również należeli do bohaterów wielu wydań DTV. Niestrudzenie oddawali krew, w czynie społecznym pracowali przy budowie szpitali (z ukończonym przez generała szpitalem-pomnikiem Matki-Polki na czele), a przede wszystkim chwyтали przestępców. W końcu 1984 roku, po porwaniu i zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki, ich aktywność skoncentrowała się np. na ściganiu bandytów napadających w celach rabunkowych na plebanie. Zresztą wydania DTV z tego okresu to temat na odrębną analizę o funkcjonowaniu maszyny propagandowej PRL. Sposób,





w jaki rozwodniono informację o po-grzebie ks. Popiełuszki, przy pomocy wiadomości o pochówku poległej w tym samym czasie w zamachu Indiry Gandhi to prawdziwa propagandowa perełka.

Generał Jaruzelski dbał też o to, by funkcje kontrolne we właściwy sposób wypełniali poszczególni ministrowie, co można śledzić w kolejnych wydaniach dziennika, zwłaszcza tych sprzed 1987 roku. „Zgodnie z zaleceniem tow. premiera członkowie rządu zobowiązani są być w terenie z zaskoczenia. [...] Koordynujemy te wyjazdy z Wydziałem Organizacyjnym KC, aby w jeden rejon nie pojechało zbyt wiele osób” – meldował szef Urzędu Rady Ministrów, gen. Michał Janiszewski. Wyjazdy te – mój ulubiony materiał w DTV pokazywał wspomnianego premiera Messnera nadzorującego przebieg akcji żniwnej – dostarczały oczywiście wielu informacji o sytuacji ekonomicznej, czego konsekwencją były liczne zmiany personalne.

### „Miotamy się”

Nie mogło to jednak zastąpić zmiany systemowej, bez czego niemożliwa była rzeczywista naprawa gospodarki. Do pewnego stopnia świadomość tego miał nawet sam Jaruzelski, który zaskakująco trzeźwo podsumował jedną z wielu dyskusji na tematy ekonomiczne: „Jesteśmy między dwoma kamieniami młyńskimi: pierwszy kamień to rzeczywistość ekonomiczna, drugi – to społeczeństwo. Miotamy się”. Miotanie to na różnych szczeblach aparatu władzy, i w Warszawie, i w terenie, jest dostrzegalne niemal w każdym wydaniu DTV.

Rezultatem miotania się były kolejne akcje inicjowane przez generała, które w założeniu miały poprawić sytuację gospodarczą, a w rzeczywistości potęgowały jedynie bałagan i powodowały



Fot. G. Rogiński/PAP

► Spotkania noworoczne były okazją do mniej formalnych, choć niepozabawionych znaczenia rozmów; na zdjęciu (od lewej) gen. Wojciech Jaruzelski, marszałek Sejmu Roman Malinowski i premier Zbigniew Messner podczas przyjęcia w Pałacu Rady Ministrów, 8 stycznia 1988 roku

kolejne koszty. Po X Zjeździe PZPR w 1986 roku takim panaceum miała się stać atestacja stanowisk pracy, którą Mieczysław Rakowski uznał później za „typowy zabieg biurokratyczny”, który „skończył się fiaskiem”. Polegała ona na niezwykle szczegółowym opisie stanowisk pracy i wykonywanych przy nich czynności, co dzięki „naukowej” analizie zgromadzonych w ten sposób materiałów miało doprowadzić do oczekiwanych oszczędności. Także i atestacja, choć znacznie mniej efektowna od kontrolerów IRCh buszujących po sklepowych zapleczech czy rozbabranych budowach, znalazła swoje odzwierciedlenie w DTV.

Lepiej zorientowany widz zauważył, że poszczególne wydania DTV z 1984 i 1987 roku, o 1989 już nie wspominając, różnią się od siebie. I to nie tylko scenografią studia, która zresztą z dzisiejszej perspektywy pozostawała niezmiennie siermiężna. Widać w nich bowiem wyraźnie ślady impulsu, który dotarł do Polski z ZSRR, gdzie Michaił Gorbaczow zainicjował w roku 1986 pierestrojkę. Dostrzec je można nie tylko w serwisie zagranicznym, w którym

gwałtownie słabnie retoryka antyamerykańska, ale i w informacjach z kraju. Po 1986 roku mniej się już mówiło o siłach antysocjalistycznych, czy agresji ze strony zagranicznych ośrodków dywersji ideologicznej, a więcej o tłumieniu wynalazczości czy też niskiej skuteczności działania mniej ważnych urzędów państwowych. Coraz śmielej poczynali też sobie przed kamerami działacze OPZZ, zwłaszcza od chwili, gdy w 1985 roku gen. Jaruzelski oddał fotel premiera Messnerowi, co osłabiło totalną dotąd ochronę rządu przed wszelką krytyką. W 1988 roku parasol ochronny zwinięto też w dużym stopniu nad strukturami PZPR. Oglądane po latach kolejne wydania DTV, choć pozostają wyjątkowo krzywym zwierciadłem odbijającym ówczesną rzeczywistość, są też fantastycznym źródłem historycznym przypominającym postaci i wydarzenia, które nie przebiły się dotąd nie tylko do podręczników, ale nawet specjalistycznych opracowań dotyczących tej epoki. 🇵🇱

prof. Antoni Dudek – politolog i historyk, zajmuje się dziejami najnowszej Polski oraz jej systemem politycznym; ostatnio opublikował *Instytut. Osobista historia* IPN (2011)



# „Stefan” – jeden z „wyklętych”

Tomasz Łabuszewski

**Spośród wszystkich konspiratorów tworzących zbiorowość Żołnierzy Wyklętych – tę najtragiczniejszą, najbardziej przegraną kategorią, mimo wielokrotnie dawanego świadectwa bohaterskiej postawy – byli żołnierze konspiracji kresowej. Jedną z postaci z tego kręgu był Stefan Pabiś „Stefan” – żołnierz ZWZ-AK-WiN z powiatu wołkowyskiego.**



Fot. Archiwum IPN

**K**iedy na początku lat dziewięćdziesiątych udało mi się po wielu trudach uzyskać adres jego zamieszkania gdzieś w ostępach Puszczy Piskiej, spodziewałem się spotkać człowieka silnego, zdecydowanego, odpowiadającego typowemu wyobrażeniu bohatera-partyzanta. Pamiętam swoje zaskoczenie, kiedy z małej chatki położonej pod lasem wyszedł mi na spotkanie niski starszy pan. Jedynie sprężysty krok i zdecydowane ruchy, mimo przekroczonej osiemdziesiątki na karku, zdradzały postać o niespożytej wręcz energii i żywotności. Dobrotliwy tembr głosu, skromność, a jednocześnie bezinteresowna życzliwość – typowa dla ludzi z Kresów Wschodnich – sprawiły, że był człowiekiem budzącym z miejsca sympatię.

Przegadaliśmy wiele długich nocnych godzin, jednak szczegóły historii jego służby w konspiracji niepodległościowej i heroicznych wyczynów poznałem nie od niego, ale od jedyne go żyjącego jeszcze wówczas jego podkomendnego – Pawła Lachowskiego „Żurawia” – człowieka skutecznie ukrywającego się przed komunistyczną bezpieką aż do 1989 roku.

## Nieujarzmiona dusza

W chwili wybuchu II wojny światowej Stefan Pabiś był już – jak na standardy przyszłych konspiratorów – człowiekiem „starym”; miał 31 lat. Zmobilizowany w 1939 roku do 4. batalionu fortecznego, kampanię wrześniową przeszedł w całości w obronie Lwowa. Po jego kapitulacji trafił na skutek wiarołomstwa Sowietów do obozu jenieckiego w Równem, notabene oficerskiego, bo tuż przed pójściem do niewoli zamienił się na mundur z jednym ze swoich przełożonych.

W obozie nie zamierzał siedzieć z założonymi rękami, po kilkunastu dniach zbiegł, otwierając w ten sposób prawdziwy serial udanych ucieczek z rąk komunistycznych oprawców. „Ja byłem taka nieujarzmiona dusza. Niewola na mnie bardzo źle działała – opowiadał po latach – myślę sobie, nie, ja tu dłużej nie mogę być. Skontaktowałem się z jednym podporucznikiem z Baranowicz i umówiliśmy się, że będziemy razem wiać, bo to wszystko, co nam tu obiecują, wszystko to nie jest to. To się inaczej zanosi. I pewnego wieczoru zwialiśmy. Pamiętam, deszczyk padał. Parkan tam był drewniany. Wyłamaliśmy sztachety i ja trafiłem na stację kolejową. Tam wskoczyłem na taką lorę, odkryty wagon, którym przewożone były akumulatory, i dojechałem do Kowla”.

► Partyzanci z 5. Brygady Wileńskiej AK przed główną siedzibą grupy BOA, mieszczącej się w warsztatach spółdzielni „Robotnik” w Bobolicach, 1946 rok

W drodze powrotnej do domu został zatrzymany przez milicję i osadzony w twierdzy brzeskiej, w koszarach 82 pp., skąd wywieziono go transportem kolejowym w stronę Baranowicz i dalej na wschód. „Dojechaliśmy wieczorem. Pociąg zatrzymał się na stacji. Powiedziano nam, że rano będziemy otrzymywać dokumenty. Następne kłamstwo. Rano żadnych dokumentów, a my jedziemy na wschód, mijamy jedną, drugą stację, trzecia stacyjka nazywała się Pogorzelce. I tak sobie mówię – ty Stefan nie patrz na nic, tylko zwiewaj póki czas. Mówię – pomóżcie chłopcy dostać się do okna, bo one nie były zakratowane. [...] Stałem przez pewien czas na buforze, a później przesunąłem się, czepiając się różnych prętów, pod wagon. Kiedy zrobiło się ciemno, zdecydowałem się puścić”.

Maszerował tylko nocami, do rodziny w okolicy Jałówki udało mu się szczęśliwie wrócić w listopadzie 1939 roku. Spotkanie z rodziną o mały włos nie zakończyło się jednak tragicznie. Będąc cały czas w mundurze, zaraz po przybyciu został zatrzymany po raz kolejny przez milicjantów, którzy dopiero po ugoszczeniu i wręczeniu przez gospodarzy stosownych „prezentów” zgodzili się pozostawić go na wolności.

Do działalności niepodległościowej włączył się zaraz po rozpoczęciu wojny sowiecko-niemieckiej, bardzo szybko zyskując wśród przełożonych opinię człowieka od zadań wszelakich. Był nie tylko dowódcą plutonu terenowego, uczestnikiem akcji dywersyjnych, ale także konstruktorem bunkrów przeznaczonych na magazyny broni, kryjówek dla poszukiwanych konspiratorów oraz na tajny punkt nasłuchu radiowego. Jego rolę – mimo stosunkowo niewysokiego stopnia (plutonowego) i pozycji w hierarchii organizacji wołkowyskiej AK – „docenili” sowieci zaraz po ponownym wkroczeniu na te tereny w lecie 1944 roku.

Już po dwóch dniach zatrzymano go po raz trzeci – tym razem było to NKWD – a następnie przekazano wraz z innymi miejscowymi żołnierzami AK do obozu w Dojlidach pod Białymstokiem. Tam po „filtracji” przez sowieckie służby specjalne miano sformować z nich 6. zapasowy pułk piechoty 2. Armii ludowego WP. Z tego obozu, po raz kolejny w swojej karierze, zorganizował udaną ucieczkę. Powrócił na teren powiatu wołkowyskiego, odciętego już od reszty przedwojennego województwa białostockiego nową polsko-sowiecką granicą.

### W sowieckim mundurze

Od tego momentu przez kolejne trzy lata pozostawał na tzw. nielegalnej stopie, ukrywając się przed sowieckim, a następnie polskim komunistycznym aparatem bezpieczeństwa. W warunkach narastających represji wciąż rosła rola takich jak on. Na przełomie lutego i marca 1945 roku przełożeni powierzyli mu stanowisko dowódcy formowanego właśnie oddziału partyzanckiego.

Trudno dziś rozsądzić, kto stał za pomysłem nadania mu „egzotycznego” kryptonimu BOA – będącego rzekomo



Fot. Archiwum IPN

▶ Żołnierze z oddziału BOA i 5. Brygady Wileńskiej AK przed wspólną akcją w Koszalinie, 1946 rok

skrótom od słów „Bojowy Oddział Armii”. Z całą pewnością wyróżniał się on spośród innych grup zbrojnych nie tylko nazwą, ale i sukcesami, do których głównie przyczynił się Stefan Pabiś. Prowadząc do sierpnia 1945 roku bardzo efektywne działania wymierzone w zdrajców i agenturę sowieckiego aparatu bezpieczeństwa, jako jedyny spośród czterech oddziałów Obwodu Wołkowysk nie został rozbity przez NKWD. Sukces ten był wynikiem przyjętego przez „Stefana” kamuflażu, bo jego oddział występował w mundurach sowieckich jako lotny oddział NKWD przeznaczony do zwalczania polskiej partyzantki. Wymagało to dużej odporności psychicznej i niejednokrotnie niebywałego wręcz tupetu, zwłaszcza w walce z agenturą. Podkomendy „Stefana” – „Żuraw” – tak wspominał jedną z typowych wówczas akcji: „To miało miejsce w okolicach Międzyrzecza w lipcu 1945 roku [...] pewnej nocy na drodze spotkaliśmy się z pewnym facetem, więc go zatrzymaliśmy, a że ja wówczas perfektnie rozmawiałem po rusku i do tego byłem ubrany w ruski mundur i przy furażerze ta przekłeta gwiazda, więc ja go zacząłem legitymować. Okazuje się, że szef szpiclów NKWD. Mówię – *charaszo*, a on pyta mnie – wy kto. Ja mówię, że też NKWD, tylko ta nasza grupa to jest taka lotna od likwidacji i wyszukiwania polskich bandytów, a jesteśmy z kontrwywiadu. Wówczas ten nauczyciel enkawudysta zaproponował nam swoją pomoc i podał spis swoich szpiclów i ich adresy po terenie i powiada – jak wam zajdzie potrzeba ▶

pomocy, to proszę powołać się na mnie. Niestety, musieliśmy zakończyć jego nauczanie i szefostwo nad szpiclami. Pewnego razu udaliśmy się w nocy pod podany adres jednego z tych donosicieli. [...] Kiedy zapukałem do okna [...], mówię mu, że jestem nowym enkawudystą i już pracuję z tym a tym, podając nazwisko innego donosiciela. Mówię do niego, ażeby nie zapalał światła w domu, żeby się nie zdradzić, że jesteśmy u ciebie. Mówię mu – otwórz, to pogadamy. To ten raz dwa i pakujemy się wszyscy za wyjątkiem jednego, co został na posterunku przy chałupie. No, i zacząłem dalszą rozmowę, czy coś wie o ukrywających się Polakach. Nawet podaje nazwisko jednego z ukrywających się. No, a on opowiada, jak tu rozpoczyna swoje działanie jako donosiciel, mówi, że oczyścimy ten teren od polskich bandytów. Stefan słuchał i pozostali koledzy naszej rozmowy. Wreszcie Stefan powiada – wystarczy, niechaj zapali światło. Więc ja do niego mówię – ano *zażyj świat*. Złapał lampę naftową do ręki i zapalił światło, i dopiero spojrzał na mundury, a lampa brzdęk z rąk na ziemię. Rżnie w portki. Chłopaki wzięli taką ławę, która była przy ścianie, na środek mieszkania, Stefan podaje wyrok – na pierwszy raz 25 nahaj, ale to sam ma obliczyć, bo jak się pomyli to może być więcej”.

### Dowódca daje przykład

Sam „Stefan” nie stronił też od osobistego udziału w najbardziej nawet niebezpiecznych akcjach, ugruntowując w ten sposób swój autorytet wśród podkomendnych, którzy zaczęli



✦ Żołnierze grupy BOA (od lewej): Edward Kukotka „Wrzos”, Władysław Borodziuk „Orzeł” i Konstanty Wojciechowski „Kostek”, „Ryś”, Malbork, lato 1946 roku

traktować go jak ojca. Sposób, w jaki zlikwidował jednego z funkcjonariuszy sowieckiej bezpieki, Szukajłę, będącego postrachem polskiej społeczności z okolic Zelwy, przypominał fragment z kart sienkiewiczowskich powieści. „Stefan był już przygotowany – wspomina Lachowski – i tak od pepeski odjął kolbę tylko z lufą i zamkiem, i pełnym bębniem do tego. Wziął do siebie takiego młodziaka, który miał wówczas 15 lat i on był w naszym oddziale. Tego chłopaczka ubrali w taką marynarkę z dorosłego chłopca, tak że jak wziął pistolet w dłoń to nie było go widać. No, i Stefan z Kosem zasiedli przy drodze, na której odbywał się największy ruch ludności, w dodatku koło nich, gdzie siedzieli w życie przy drodze, to *vis a vis* przy grobli prowadzone były roboty. Tam było masę furmanek i pieszych, to miało miejsce w biały dzień. Stefan tak komicznie wyglądał, czapkę miał taką, że przez nią włosy mu było widać, płaszcz poobrywany, jak by go sfera psów potargała. Ot, stary dziad z przewodnikiem. Kiedy Stefan dostrzegł, że jedzie ww. cwany lis, to wyszedł »dziadek z wnuczkiem« na drogę i idą w stronę cwane go lisa. Kiedy się zblizali do siebie, to cwany lis pilnie im się przypatrywał, kiedy się zrównali, wówczas błyskawicznie spod porwanego płaszcza wyskoczyła lufa pepeski Stefana i wysadziła z siodła bohatera Związku Radzieckiego”.

Sukcesy Pabisia zostały docenione przez dowództwo białostockiej organizacji poakowskiej AKO – otrzymał awans do stopnia podporucznika czasu wojny i Krzyż Walecznych oraz nominację na szefa samoobrony w Obwodzie Wołkowysk. Przypadła mu też rola osoby odpowiedzialnej za sprawny przerzut na zachód działających jeszcze aktywów organizacyjnych, a odbywał się on – co trzeba podkreślić – w warunkach postępującego „uszczelniania” linii granicznej przez pograniczników NKWD i niejednokrotnie konieczności zbrojnego przebijania się doraźnie formowanych oddziałów. Po udanym przeprowadzeniu we wrześniu 1945 roku grupy BOA, „Stefan” dwukrotnie wracał jeszcze „za granicę” po swoich towarzyszy broni.

Ostatnia z takich eskapad o mało nie zakończyła się dla niego tragicznie. Podczas przechodzenia pasa granicznego natknął się na dwóch pograniczników, których – aby zachować konspirację – zabrał ze sobą na polską stronę. Tam zdecydowany był ich rozstrzelać dla zatarcia śladów, ze względu jednak na prośby uczestników całej operacji – darował im życie, po warunkiem niepowiadamiania przełożonych o całym zdarzeniu. Konsekwencje były natychmiastowe. Sowieccy żołnierze błyskawicznie ściągnęli na oddział „Stefana” obławę, która po wyjściu z sowieckiej strony bez problemu kontynuowała pościg na terenie powiatu sokólskiego. Ostatecznie osaczyła grupę na stacji w Waliłach, już po ukryciu się jej członków w składzie pociągu towarowego. Pabiś kolejny już raz zdecydował się na ucieczkę. Udało mu się wydostać z drugiej strony wagonu, zaczął biec w głębokim śniegu w kierunku lasu. O powodzeniu zdecydował przypadek – żołnierze sowieccy, zamiast

rozpocząć od razu ostrzeliwanie uciekającego, puścili za nim w pogoń psy, chcąc zapewne schwytać go żywcem. „Stefan” zastrzelił psy. Rozpoczęty ostrzał, prowadzony z odległości 200–300 metrów, był już nieskuteczny. Pabiś dostał przez kożuch postrzał w kręgosłup. Po raz czwarty uciekł komunistycznej bezpiece.

Przez kolejne tygodnie był wyłączony z działalności konspiracyjnej i ukrywał się w okolicach Ostrowi Mazowieckiej. Tymczasem jego podkomendni z grupy BOA, osiedleni w Bobolicach (powiat koszański) nawiązali kontakt z żołnierzami 5. Brygady Wileńskiej AK i wznowili działalność dywersyjną. Czterech z nich dołączyło ostatecznie do 5. szwadronu dowodzonego przez ppor. Zdzisława Badochę „Żelaznego”.

Powrót „Stefana” w maju 1946 roku skomplikował sytuację – w dalszym ciągu uznawał on bowiem zwierzchnictwo białostockiej organizacji WiN, której brygada nie podlegała. Jego przyjazd zbiegł się w czasie z obławą UB na Bobolice, wywołaną wcześniejszą aktywnością wólkowyskich konspiratorów. Mimo braku znajomości terenu „Stefanowi” piąty już raz udało się ująć cało. Wraz z kilkoma swoimi podkomendnymi przeniósł się na Warmię, a następnie Mazury, gdzie na przedmieściach Szczytna wziął w zarząd i uruchomił młyn – legalizując w ten sposób siebie i swoich ludzi.

### Wciąż nieuchwytny

Nie wiadomo, w jaki sposób bezpieka trafiła na jego ślad, w tym czasie utrzymywał bowiem ograniczone kontakty konspiracyjne z białostockim dowództwem zrzeszenia. Faktem jest, że

w październiku 1946 rok funkcjonariuszom komunistycznego aparatu bezpieczeństwa mogło wydawać się, iż tym razem w los się do nich wreszcie uśmiechnął i „sprawę »Stefana«” będą mogli uznać za ostatecznie zamkniętą.

Pomylili się po raz szósty. Zatrzymanych Pabisia i dwóch jego podkomendnych załadowali na odkryty samochód ciężarowy i wyruszyli w kierunku Olsztyna. Gdy pojazd zwolnił na jednym z licznych zakrętów, „Stefan” wyskoczył na jezdnię wraz z siedzącym mu podobno na kolanach konwojentem (to samo uczynili jego ludzie). Podczas ogólnego zamieszania pozostali na samochodzie funkcjonariusze UB otworzyli ogień i zabili przez przypadek swojego kolegę. W przygotowanym raporcie odpowiedzialnością za całe zajście obarczyli mityczny oddział partyzancki, który miał przygotować na nich zasadzkę.

„Stefanowi” udało się skutecznie zatrzeć za sobą wszystkie ślady. Bezpieka nie zdołała go schwytać – do resortu

zgłosił się sam – ujawniając się 21 kwietnia 1947 roku i dopełniając tym samym warunków amnestii. Chociaż nie kontynuował już działalności niepodległościowej, nie dano mu spokoju – 30 stycznia 1948 roku został aresztowany i skazany w grudniu 1949 roku na dziesięć lat pozbawienia wolności. Resort bezpieczeństwa powoli odtwarzał kolejne wątki z jego bogatej działalności niepodległościowej – co spowodowało rewizję procesu i zasądzenie w czerwcu 1950 roku kary śmierci. Do połowy września „Stefan” oczekiwał na uprawomocnienie się wyroku, co nastąpiło decyzją Najwyższego Sądu Wojskowego.

Jedyną szansą na ujęcie z życiem pozostawało ułaskawienie przez prezydenta Bieruta. Szczęście i tym razem go nie opuściło, mimo negatywnej opinii składu sędziowskiego



▶ Porucznik Stefan Pabiś po aresztowaniu przez UB wraz z odkopaną bronią należącą do oddziału BOA, 1948 rok

Fot. Archiwum IPN

zamieniono mu wyrok na dożywocie. Wyszedł na wolność w maju 1955 roku.

Moment jego powrotu do domu tak zapamiętał jego syn Zygmunt: „Najpierw usłyszano lekkie stukanie do okna od strony ulicy, po pewnym czasie mamusia pyta: »kto tam?« – odpowiedź: »to ja Stefan«, »jaki Stefan?«, »Stefan – twój mąż«, mamusia na to, »co, znowu uciekłeś?« – odpowiedź: »nie – wypuścili mnie«. [...] Po zapaleniu światła, wszyscy domownicy ujrzeli człowieka otylego, w ubraniu żebraka. Sławny bohater Stefan, był ubrany w starą zniszczoną kurtkę mundurową, zniszczone spodnie przepasane sznurkiem, buty nie do pary i bez sznurowadeł”.

Odszedł na wieczną wartę w 2003 roku. 🍂

Tomasz Łabuszewski – historyk, naczelnik OBEP w Warszawie; zajmuje się historią polskiego podziemia niepodległościowego z okresu II wojny światowej i lat powojennych; autor m.in. *Ostatni leśni 1948–1953* (2004), *Brygady „Łupaszki”. 5 i 6 Wileńska Brygada AK w fotografii 1943–1952* (współautor, 2010)

# Prawda czasów – prawda ekranu

Jerzy Eisler

**P**od takim tytułem, zaczerpniętym z popularnej komedii Stanisława Barei *Miś*, co miesiąc na łamach tego pisma będę publikował swoje rozważania na temat polskich filmów historycznych, a zwłaszcza wykorzystywania ich dla celów edukacyjnych. Refleksje te obejmą zarówno obrazy dotyczące II wojny światowej, jak i okresu Polski Ludowej. W tym ostatnim wypadku analizę poddam filmy, których akcja dzieje się w PRL, zrealizowane przed zmianami ustrojowymi w 1989 roku i po nich. Będę też pisał o tych, których twórcy pierwotnie wcale nie mieli ambicji tworzenia filmów historycznych i ich obrazy w swoim czasie były kwalifikowane jako komedie, dramaty psychologiczne, kryminały, filmy obyczajowe czy kino dla młodzieży. Wszelako, niezależnie od fabuły, wszystkie one utrwaliły obraz Polski, której już nie ma.

Mógłby ktoś zapytać, a właściwie dlaczego to akurat ja mam pisać o filmach? Nie jestem filmoznawcą czy krytykiem filmowym, lecz historykiem. Jednym z uzasadnień jest to, że w ramach

przeznaczonego dla młodzieży szkolnej cyklu *Kino w PRL – PRL w kinie*, prowadzonego przez Oddział IPN w Warszawie od ponad dziesięciu lat, wygłosiłem największą liczbę prelekcji wprowadzających. Ponadto, filmem – w wymiarze więcej niż hobbystycznym – interesuję się od prawie pół wieku.

Warto wiedzieć, że inaczej niż dzisiaj, studia reżyserskie w łódzkiej „Filmówce” były w czasach PRL studiami drugiego stopnia, to znaczy przed przystąpieniem do konkursowych egzaminów wstępnych trzeba było ukończyć wyższe studia na innej uczelni i legitymować się tytułem magistra. Z zamiarem dalszych studiów w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera poszedłem więc w 1971 roku na Uniwersytet Warszawski na Wydział Historyczny. Był to dla mnie wybór w praktyce naturalny – z nauk ścisłych byłem beznadziejny, a historią, szczególnie tą najnowszą (wtedy znaczyło to tyle, co dzieje II wojny światowej), interesowałem się właściwie od zawsze. Zresztą i tak przecież chciałem zostać później reżyserem filmowym. W swoich planach wytrwałem jednak tylko do trzeciego roku studiów. Coraz mniej interesowałem się filmem. Doskonale pamiętam dzień, w którym w tym zakresie nastąpiło u mnie „przesilenie”.

W 1974 roku oglądałem audycję telewizyjną, w której Jerzy Hoffman opowiadał o nieprawdopodobnych zupełnie trudnościach, jakie musiał przezwyciężać, pracując nad ekranizacją *Potopu*. Wspominał np., jakie emocje społeczne (trudne dziś do wyobrażenia!) wywołało powierzenie głównych ról Małgorzacie Braunek i Danielowi Olbrychskiemu. Niektórzy przy tej okazji nie szczędzili mu inwektyw, insynuacji

► Andrzej Kmicic  
(Daniel Olbrychski)  
ze swoją słynną szablą

i pomówień. Szczególnie wielu przeciwników miała decyzja o obsadzeniu Olbrychskiego w roli Andrzeja Kmicica. Przecież – tłumaczono – w *Panu Wołodyjowskim* grał on Azję Tuchajbejowicza i... zginął pod koniec filmu! Gdy jednak w końcu *Potop* trafił na ekrany, kreacja Olbrychskiego zdobyła powszechne uznanie. A aktor dość chętnie utożsamiał się w życiu publiczno-prywatnym z tą właśnie rolą. Po niezapomnianych dla polskich kibiców Mistrzostwach Świata w Piłce Nożnej w Republice Federalnej Niemiec w 1974 roku, w symbolicznym geście Olbrychski podarował Janowi Tomaszewskiemu – który strzegł naszej bramki niczym Kmicic Jasnej Góry przed Szwedami – szablę, którą posługiwał się na planie *Potopu*. Po latach okazało się, że „szabli Kmicica” było więcej. W listopadzie 2000 roku Olbrychski – w geście protestu przeciw prezentowanej w Zachęcie wystawie *Naziści* – pociął szablą fotografie znanych aktorów przebranych w niemieckie mundury z lat II wojny światowej.

We wspomnianej audycji telewizyjnej Jerzy Hoffman mówił m.in. o trudnościach organizacyjnych i finansowych w trakcie realizacji filmu, a przecież *Potop* był najkosztowniejszą produkcją w całych dziejach PRL. Był to zarazem pierwszy polski film stereofoniczny. W zdjęciach, które kręcono także w Związku Radzieckim, łącznie wzięło udział siedemdziesięciu aktorów pierwszoplanowych, sześciuset drugo- i trzecioplanowych, wszyscy polscy kaskaderzy i w sumie aż czterdzieści tysięcy statystów, w tym specjalny pułk kawalerii „Mosfilmu” z zaprawionymi (udziałem w wielu filmach) specjalistami od upadków z koni. Dla potrzeb osób występujących w filmie kostiumolodzy przygotowali 23 tys. kostiumów.

Jednak w tamtym systemie – w co dzisiaj czasem trudno jest uwierzyć – to nie samo zagwarantowanie pieniędzy potrzebnych dla wyprodukowania filmu stanowiło największy problem. Znacznie trudniejszym wyzwaniem



Fot. R. Sumik/Filmoteka Narodowa

► Na planie *Potopu*: Tadeusz Łomnicki jako Michał Wołodyjowski (na koniu) i ekipa operatorska

było „zdobycie” na rynku permanentnych braków i niedoborów rozmaitych produktów i usług, które można byłoby za te pieniądze nabyć. Trzeba było zapewnić na planie wyżywienie – dziś powiedzielibyśmy: *catering* – dla kilkuset, a czasem nawet kilku tysięcy osób. Niełatwe było zorganizowanie transportu i wyżywienie setek koni. Ostatecznie jednak wszystko skończyło się dobrze, a *Potop* w 1975 roku został nawet – jako jeden z zaledwie kilku (jak dotąd) polskich filmów – nominowany do nagrody Oscara dla najlepszego obrazu nieanglojęzycznego. Może jeszcze warto dodać, że w 1999 roku *Potop* zajął piąte miejsce w ankiecie *Najciekawsze filmy polskie XX wieku* tygodnika „Polityka”.

Jednak sukcesy i uznanie przyszły później. Tymczasem we wspomnianym programie telewizyjnym Jerzy Hoffman opowiadał także o tym, że parokrotnie zdjęcia były przerywane, gdyż zarzucano mu przekroczenie zaplanowanego budżetu. Grożono nawet odebraniem filmu, ale ostatecznie wiele spraw rozstrzygnięto na bardzo wysokim szczeblu politycznym. Nie obeszło się nawet bez interwencji członków

Biura Politycznego, którzy w realizacji tego filmu dostrzegli okazję do zaprezentowania siebie po raz kolejny w roli mądrych mecenasów sztuki, a zarazem dobrych polskich patriotów. Wydaje się, że było to szczególnie ważne właśnie w latach siedemdziesiątych, gdy ekipa Edwarda Gierka w większym niż poprzednicy stopniu starała się grać na „patriotycznej nucie” i prezentować jako swojska, tutejsza, po prostu typowo polska.

Pamiętam, że – słuchając tego wszystkiego – pomyślałem wówczas, że przecież ja nikomu nie zabiłem ani ojca, ani matki, więc za jakie grzechy miałbym się tak w przyszłości męczyć. Po programie wiedziałem już, że do „Filmówki” nie będę zdawał, przy czym wcale nie byłem przekonany, że faktycznie miałbym jakiegokolwiek szanse, by się tam dostać. Miłość do filmów (a może już tylko sentyment?) pozostała mi jednak na zawsze... 🍷

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięi Narodowej w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

# Pistolet VIS – polska legenda

Michał Mackiewicz

**Pistolet samopowtarzalny VIS wz.35 pozostaje znakiem firmowym przedwojennej zbrojeniówki. Jego powstanie było związane z zapotrzebowaniem armii na nowoczesną broń krótką, mającą zastąpić używane dotychczas rozmaite wzory pistoletów i rewolwerów, szczególnie zasłużonych w pierwszych trudnych latach odzyskiwania niepodległości i walki o granice.**

**C**hoć kwestia ta została podniesiona już w początkach lat dwudziestych, dopiero pod koniec dekady zaczęła się konkretyzować. Przez cały ten czas brano pod uwagę jedynie konstrukcje zagraniczne. Zwyciężyli zwolennicy pistoletu (przeegrali „rewolwerowcy”), broni, która w początkach XX wieku zaczęła robić zawrotną karierę i której bojowy sprawdzian w latach I wojny światowej wypadł nadspodziewanie dobrze. Najpoważniejszymi kandydatami do roli polskiego regulaminowego pistoletu służbowego były: czechosłowacki CZ wz.1924 i belgijski trzynastostrzałowy Browning (późniejszy High Power wz.1935), przy czym

ten ostatni uzyskał ostatecznie akceptację Komitetu do Spraw Uzbrojenia i Sprzętu. Gdy wydawało się, że sprawa została przesądzona, w szranki z zagranicznymi konkurentami stanął inż. Piotr Wilniewicz, ekspert balistyczny i doradca w zakresie konstrukcji broni Państwowych Wytwórni Uzbrojenia PWU. Oto, jak po latach wspominał rozmowę, którą przeprowadził z dyrektorem technicznym wytwórni: „Nasze zakłady niewątpliwie potrafią dobrze zrobić pistolet, i to bez obcych licencji, a oprócz tego wierzę, że potrafimy nawet zaprojektować pistolet, jeżeli nie najlepszy, to w każdym razie lepszy od tego, który nam proponują. [...] Ja sam podejmę się zaprojektowania i mam nadzieję, że w ciągu sześciu do ośmiu tygodni dam gotowy projekt”.

Aby przekonać wojskowych o zaawansowaniu prac użyto podstępny: „Na pojutrze mogę przygotować rysunek złożenia pistoletu, dość efektywnego oraz odpowiedni opis. Do pisma załączymy ten materiał, powołamy się





Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

na to, że nad pistoletem pracujemy od dawna, że ponieśliśmy koszty i prosimy o odłożenie podpisania umowy, dopóki nie przedstawimy naszego wzoru celem przeprowadzenia prób porównawczych”. Fortel się udał i w 1929 roku polscy inżynierowie (do Wilniewczyca dołączył Jan Skrzypiński, technolog uzbrojenia i dyrektor warszawskiej Państwowej Fabryki Karabinów) zabrali się do pracy. Istotny wkład w powstanie VIS-a (pierwotna nazwa WIS – pochodząca od nazwisk konstruktorów, została zastąpiona łacińską vis – siła) miał także inż. Feliks Modzelewski z Biura Studiów PFK. Zresztą to właśnie w warszawskiej

Fabryce Karabinów wykonano prototyp, który w 1931 roku został poddany testom w Instytucie Broni i Materiałów Uzbrojenia w Zielonce. W tym samym

#### Dane taktyczno-techniczne pistoletu VIS wz.35:

Zasada działania	krótki odrzut lufy
Kaliber	9 mm
Nabój	9 x 19 mm Parabellum
Masa własna	1,050
Masa broni z pełnym magazynkiem	1,100 kg
Długość	200 mm
Lufa	gwintowana, 6 bruzd prawoskrętnych
Długość lufy	120 mm
Pojemność magazynka	8 nabojów
Prędkość początkowa pocisku	345 m/s

roku zgłoszono wniosek o patent (przyznany w 1932 roku). Twórcy pistoletu wzorowali konstrukcję swojej broni na amerykańskim Colcie wz.1911 – najlepszym wojskowym pistolecie samopowtarzalnym epoki – będącym dziełem genialnego Johna Mosesa Browninga.

Zawarł on w „jedenastce” wiele wynalazków, przede wszystkim niezwykle praktyczny sposób ryglowania (broń wykorzystywała zasadę krótkiego odrzutu lufy) za pomocą dwóch półprścieniowych występów na lufie, które odpowiadają dwu wycięciom/oporom na zamku. U spodu komory nabojejowej znajduje się ruchomy łącznik, ➤



► Radziecki żołnierz ze zdobyczym VIS-em przy pasie; obok z lewej stoi żołnierz niemiecki, Przemyśl, wrzesień 1939 roku

który sprzęga lufę z komorą zamkową. W trakcie strzału zamek wraz z lufą cofają się na pewnym odcinku razem, po czym łącznik powoduje pociągnięcie lufy w dół i tym samym wyjście występów lufy z opór zamka; ten cofa się dalej sam, powodując wyrzucenie pustej łuski, po czym w drodze powrotnej wyłuskuje z magazynka kolejny nabój i wprowadza go do komory. Pistolet VIS powiela ogólny układ konstrukcyjny Colta, różni go jednak amunicja (zamiast naboju 0,45 cala – 9 mm Parabellum) oraz wiele nowatorskich detali. Zamiast ruchomego łącznika

zastosowano integralny profilowany występ u spodu komory naboju, który wchodził do wyprofilowanego gniazda w szkielecie. Rozwiązanie okazało się prostsze i równie niezawodne. Mechanizmy spustowy i uderzeniowy były w zasadzie skopiowane z Colta, podobnie jak chwytowy bezpiecznik, ale zrezygnowano z bezpiecznika nastawnego oraz zastosowano teleskopową żerdź urządzenia powrotnego (w miejsce sztywnej). Zabezpieczała ona broń przed przypadkowym strzałem w sytuacji upadku z dużej wysokości na wylot lufy,

ponadto ułatwiała rozkładanie. Bardzo dobrym rozwiązaniem było integralne łożysko lufy (w Colcie stanowiło ono oddzielny element), które zmniejszało liczbę części i ułatwiała rozkładanie broni, a nadto wpływało dodatnio na jej osadzenie i przez to większą precyzję strzału. Jedną z największych nowinek był zwalnicznik kurka osadzony z lewej strony zamka, umożliwiając łatwe zabezpieczenie broni przy naboju znajdującym się w komorze.

Dopracowywanie konstrukcji trwało kilka lat i ostatecznie 26 sierpnia 1935 roku pistolet VIS wz.35 został przyjęty do uzbrojenia Wojska Polskiego. Produkcja seryjna uruchomiona została w Fabryce Broni w Radomiu, która wcześniej, w 1933 roku, wykonała tzw. partię informacyjną (około 140 egzemplarzy różniących się nieznacznie od późniejszego seryjnego VIS-a). Regulaminowe pistolety VIS znakowane były w następujący sposób: Z lewej strony zamka umieszczano napis: F.B. RADOM, następnie rok produkcji i godło państwowe, dalej VIS-wz.35/pat. Nr 15567. Numer seryjny wybijano z prawej strony szkieletu, tuż nad kabłąkiem spustu.

Nie jest znana dokładna liczba wyprodukowanych VIS-ów, ale pośrednie dane wskazują na przeszło 52 tys. egzemplarzy, przy czym ostatnie kilka tysięcy (w częściach) przejęli Niemcy po zajęciu radomskiej fabryki na początku września. W czasie wojny wznowili oni produkcję, najpierw w Radomiu, a potem czeskim Znojmie (oba zakłady wchodziły w skład austriackiego koncernu Steyr). Liczba wyprodukowanych egzemplarzy sięgnęła 320 tys. Niemieckie VIS-y generalnie odbiegały jakością od doskonałych przedwojennych polskich pistoletów, chociaż wysokie walory bojowe pozostały niezmiennie. 🇺🇸

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kirchholm-Kluszyń, zwycięstwa husarii* (2011)

# Polski orzeł na francuskiej furażerce

Tomasz Zawistowski

**Orzeł stojący na tarczy amazonek był i jest podstawowym znakiem wyróżniającym polskich żołnierzy. Szczególną wagę do noszenia go na wszystkich rodzajach nakryć głowy przywiązywano w latach wojny, kiedy to Polacy w obcych mundurach nie odróżniali się zbyt od wojsk sojuszniczych. Potrzeba wyprodukowania dużej liczby godeł dla armii odtwarzanej na obczyźnie po raz pierwszy pojawiła się we Francji.**

**R**ozmowy o tworzeniu polskich formacji wojskowych we Francji rozpoczęły wiosną 1939 roku, ponieważ już wtedy zaczęto mówić o mobilizacji żyjących tam Polaków – oczywiście w razie wybuchu wojny. Przeciagające się negocjacje przyspieszyła niemiecka agresja na Polskę. Umowę zezwalającą na utworzenie jednej polskiej dywizji zawarto 9 września 1939 roku.

Tego samego dnia ambasador francuski w Polsce wysunął propozycję przeniesienia najwyższych polskich władz państwowych do Francji w przypadku, gdyby wojska niemieckie zajęły całą Polskę. Elementem tej



► Orzeł wz. 39 wyprodukowany przez firmę Alavoine. Egzemplarz ten jest pamiątką po por. Wacławie Ilcewiczu z 1. Dywizji Grenadierów

koncepcji było również odtworzenie Wojska Polskiego we Francji. Ewakuacja władz RP zakończyła się internowaniem ich w Rumunii, a następnie powołaniem nowego rządu w Paryżu. Prezesem Rady Ministrów i ministrem spraw wojskowych został gen. dyw.

Władysław Sikorski, który przebywał we Francji od 25 września, dowodził formującą się tam Armią Polską i 7 listopada objął funkcję Naczelnego Wodza i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych.

## Utworzenie Polskich Sił Zbrojnych we Francji

Odtworzenie Wojska Polskiego na terenie Francji planowano przy wykorzystaniu dwóch źródeł zasobów ludzkich. Pierwsze – to wojskowi w liczbie około 85 tys., którzy, przekroczywszy granice po klęsce wrześniowej, zostali internowani w państwach ościennych, przede wszystkim na Węgrzech i w Rumunii, w mniejszym stopniu na Litwie i Łotwie. Drugie – to Polonia, przede wszystkim francuska, której potencjał szacowano na około 70 tys. rekrutów. Ponadto z okupowanej Polski przybywali przez „zieloną granicę” ochotnicy – wojskowi i młodzież.

Rząd francuski oddał Polakom do dyspozycji obóz wojskowy Coëtquidan, do którego napływali poborowi i ochotnicy. Na początku przeznaczono dla nich stare, sorty francuskie różnych typów, wobec czego polscy żołnierze nosili błękitne mundury z lat I wojny światowej, a na głowach berety strzelców alpejskich i charakterystyczne kepi. Tylko część z nich otrzymała umundurowanie w barwie ochronnej, ponieważ konieczność umundurowania i wyposażenia tyluż nieoczekiwanej, co licznej armii ►

► Orzeł wz. 39 noszony na furażerce przez kapitana broni pancernej wiosną 1940 roku we Francji



sojuszniczej okazała się bardzo trudnym wyzwaniem dla francuskiej intendencji.

### Przepisy mundurowe

Wydane w październiku rozkazy tymczasowe nakazywały noszenie na francuskich mundurach polskich oznak stopni, na nakryciach głowy zaś – polskich orłów. Oznakami broni były patki na kołnierzach. Podpułkownik Gustaw Łowczowski, który przybył do obozu Coëtquidan jako nowy szef wyszkolenia, wspominał: „Wieczorem 1 października wjechałem w obozową bramę, strzeżoną przez żołnierza we francuskim okrągłym kepi, ozdobionym polskim orzełkiem. Przywitaliśmy się obaj uśmiechem”.

Orzeł na nakryciu głowy był jedynym elementem mundurowym wspólnym dla wszystkich wojskowych. Do rozwiązania pozostało zagadnienie zaopatrzenia w orły kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy. Początkowo wydawano orły prowizoryczne, haftowane białą nicią lub też aplikowane z białego sukna na okrągłych, czerwonych podkładkach. Były one jednak nietrwałe i niezbyt ładne. Kilku lokalnych wytwórców rozpoczęło produkcję orłów metalowych, lecz były one za drogie dla żołnierzy. Pojawiła się potrzeba zamówienia przez intendencję orłów jednocześnie estetycznych i trwałych, identycznych dla wszystkich wojskowych. Przyjęto jednak, że nowe godło powinno różnić się od wz. 1919, używanego w okresie międzywojennym. Nie wiemy, kto podjął taką decyzję, ale faktem jest, że produkcji orłów według wzoru przedwojennego na skalę masową nie rozpoczęto.

### Firma Madame Alavoine

Produkcji nowych orłów podjął się paryski zakład Alavoine, mieszczący się pod adresem 5 Rue Fresnel. Nie mamy wielu

informacji o tej firmie, co martwi, jeśli wziąć pod uwagę jej ściśle i długoletnie związki z historią polskich orłów wojskowych. Najstarsza znana dotąd wzmianka o tej firmie zachowała się w pamiętnikach gen. Józefa Hallera, pamiętającego „panią Alavoine, której matka była Polką i która przechowywała tradycje polskie i haftowała polskie srebrne orły, jakie nosili polscy żołnierze na ramieniu”. Istotnie, firma Alavoine wykonywała w latach 1918–1919 zarówno orły haftowane, przewidziane do noszenia na naramiennikach, jak i orły metalowe z emblematami jednostek i broni, noszone na czapkach przede wszystkim przez oficerów Armii Polskiej we Francji, tworzonej tam u końca I wojny światowej. W okresie międzywojennym firma nie zerwała kontaktów z Polską; w latach 1921–1922 prowadziła korespondencję w sprawie zaopatrywania Wojska Polskiego w orły czapkowe, który to kontrakt nie doszedł jednak do skutku. Jak wiadomo, historia kołem się toczy, równo dwie dekady po zakończeniu produkcji dla Armii Polskiej we Francji przyszło firmie Alavoine wyprodukować orły dla formowanego tam po raz kolejny Wojska Polskiego.

### Nowy orzeł

Nie wiemy, w jaki sposób trafił do tej firmy projekt nowego orła, wiemy natomiast, że w 1939 roku jego pierwowzór znajdował się w Polsce, na Jasnej Górze. Był to orzeł ozdabiający powiększoną wersję pamiątkowej odznaki I Korpusu Polskiego, którą byli żołnierze gen. Józefa Dąbora-Muśnickiego złożyli jako wotum w 1935 roku. Po czterech latach ten orzeł trafił on na czapki polskich żołnierzy we Francji. Był godłem nowoczesnym i eleganckim, a jednocześnie trwałym i jednoznacznie czytelnym dla aliantów. Zrezygnowano bowiem z umieszczania symboli broni bądź odziałów na tarczy amazonek, na której stoi orzeł; ponadto orły szeregowych i oficerów nie różniły się od siebie. Dzięki zwartości rysunku i wykonaniu

z dość grubej i sztywnej blachy mosiężnej, nowe godło było trwałe i praktyczne. Mocowano je do czapek przy użyciu pionowo zaginanego drutu przylutowanego na rewersie (znana jest też niewielka liczba egzemplarzy mocowanych na słupek gwintowany z nakrętką).

Pismem Szefa Wydziału Gospodarki i Zaopatrzenia Ministerstwa Spraw Wojskowych z 8 grudnia 1939 roku, nowy orzeł został przyjęty do użytku w wojskach lądowych.

### Międzynarodowa kariera nowego godła

W 1940 roku orzeł wz. 39 znalazł się na nakryciach głowy niespełna połowy polskich żołnierzy, ponieważ wyprodukowanie ponad 60 tys. sztuk musiało zająć trochę czasu. Oczywiście, w obliczu czerwcowej klęski zadanie to zeszło na ostatni plan.

Nowe godło przetrwało jednak upadek Francji. Wyniesione przez żołnierzy do Wielkiej Brytanii i Palestyny, było powielane w obu krajach. Początkowo – przez samych żołnierzy, którzy odlewali je ze stopów na bazie ołowiu bądź miedzi, później – przez firmy w pełni profesjonalne. W Wielkiej Brytanii wybijano orły z mosiądzu i srebrzono, a od początku 1944 roku wykonywano również z tworzywa sztucznego. Dla specjalnych klientów robiono wersje luksusowe – bite ze srebra i odpowiednio sygnowane. Z Wielkiej Brytanii wz. 39 zawędrował do Kanady, gdzie dwie firmy

z Toronto i Montrealu wykonały w dużym nakładzie swoje, skądinąd bardzo staranne wersje. Wskutek fiaska koncepcji werbunku ochotników w Kanadzie gotowe orły trafiły do Europy, gdzie polscy żołnierze fasowali je jeszcze w 1945 roku.

Z kolei wyroby firmy Alavoine, przeniesione z francuskiej Syrii do brytyjskiej Palestyny przez żołnierzy gen. Kopańskiego, były powielane jako odlew i jako odbitki matrycowe na całym Środkowym Wschodzie; m.in. odlewano je w Kairze i bito w Jerozolimie. Gdy żołnierze 2. Korpusu gen. Władysława Andersa trafili ze Środkowego Wschodu do Włoch, produkcję orłów wz. 39 podjęła firma braci Lorioli z Mediolanu i Rzymu.

► Orzeł wz. 39 na furażerze harcerki w szeregach Armii Polskiej na Wschodzie

Bez najmniejszych wątpliwości można stwierdzić, że orzeł wz. 39 był wzorem najbardziej rozpowszechnionym spośród wszystkich typów godła zdobiących czapki polskich żołnierzy. Był to jedyny orzeł, którego produkcję podjęto na trzech kontynentach, a noszono na czterech – bowiem pewną liczbę orłów otrzymali również Polacy uchodzący z sowieckich łagrów.

Tak Tadeusz Mieczysław Czerkawski wspominał spotkanie w Taszkencie (w drodze do polskiego wojska) delegata sztabu Armii Polskiej w ZSRR, hr. Michała Tyszkiewicza, wraz z żoną Hanną, czyli Hanką Ordonówną: „Przez plac szła wolno para: on – wysoki, szczupły, lekko przygarbiony, w wyblakłej furażerze o znajomym kroju z jedną gwiazdką i oryginalnym orzełkiem w koronie, ona – elegancka, choć skromnie odziana pani, około lat czterdziestu [...]. Tyszkiewiczowa obejrzała nas od stóp do głów. Czulem się jak przypiekany na rożnie. Wyszmelcowana i nadpalona kufajka trzymała się grzbietu siłą przyzwyczajenia. Pantalony podziurawione w kilkudziesięciu miejscach w czasie palenia gałęzi na *liesopowale* starczyły mi do okrycia dolnych kończyn tylko do wysokości łydek. Reszta owinięta była pseudoowijaczami sporządzonymi własnym przemysłem ze starych, drelichowych, polskich portek wojskowych. Stopy miałem obute w gumowe czółenka, prawdziwie sztański wymysł. Gacie były nieobecne. Natomiast krótko ostrzyżoną lepetyną okrywała oryginalna, precudnej roboty *tiubietejka*, wymieniona na szlaku turystycznym Orenburg-Taszkient za sukienną *budionnowkę* [...]. Tyszkiewiczowa wydała nam orzełki, a na pożegnanie po paczce angielskich papierosów. Orzełki przykręciliśmy do kufajek na wysokości lewej piersi”.

Fot. z zasobów Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917-1945* (kolejne dwa tomy w przygotowaniu)

# Samotnia marszałka Piłsudskiego

Tomasz Stańczyk

**Spośród wszystkich warszawskich adresów Marszałka, najbardziej znany jest oczywiście Belweder. Tutaj mieszkał wraz z rodziną, a w reprezentacyjnych wnętrzach przyjmował oficjalnych gości. Na murach domów, w których mieszkał Piłsudski, przy ul. Koszykowej i ul. Mokotowskiej, umieszczono tablice. Pamiątkowy kamień położono w miejscu, gdzie przy ul. Służewskiej znajdowało się kolejne mieszkanie Piłsudskiego. Do dziś jednak nie doczekał się upamiętnienia bardzo ważny w biografii Marszałka warszawski budynek. Był on zarazem jego prywatnym mieszkaniem i miejscem pracy.**

**O**d roku 1926 aż do śmierci Piłsudski był ministrem spraw wojskowych. Waclaw Jędrzejewicz w *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego* pisze, że już po dwóch latach, w roku 1928, Marszałek coraz rzadziej urzędował w gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych; przeniósł się do budynku w zespole gmachów Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, na którego czele stał. Musiała nad tym bardzo ubolewać znana poetka Kazimiera Iłakowiczówna, jego sekretarz osobisty (jak sama o sobie mówiła). Uwielbiała Piłsudskiego, a musiała urzędować z dala od niego, w gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Naprzeciw wejścia do Ogrodu Botanicznego, tuż obok okazałego budynku Kancelarii Premiera w Alejach Ujazdowskich 5, stoi piętrowy budynek. To właśnie tutaj Józef Piłsudski po maju 1926 roku pracował, a także mieszkał, gdy nie przebywał z rodziną w Belwederze. Pobyty w mieszkaniu w Alejach Ujazdowskich trwały kilka

dni i dłużej, na soboty i niedziele Marszałek wracał do Belwederu, by spędzać czas z żoną i córkami. Do mieszkania w GISZ przeniósł się także wówczas, gdy – dość często – zapadał na infekcje, ponieważ nie chciał narażać rodziny. Objawy grypy i anginy oraz zaziębień miał łagodzić, a może nawet im zapobiegać, znajdujący się w mieszkaniu aparat skonstruowany przez prof. Ignacego Mościckiego według jego własnego patentu na „sposób nadawania powietrzu właściwości powietrza górskiego”.

Kapitan Mieczysław Lepecki, adiutant Piłsudskiego w GISZ, nazwał ten budynek „samotnym kasztelam”. W istocie dom ten był ażylem dla Marszałka, który coraz bardziej ograniczał swoje pozasłużbowe kontakty. Jedną z nielicznych osób, które przyjmował, była Aleksandra Zagórska – członkini Organizacji Bojowej PPS, organizatorka kobiecej służby wywiadowczej I Brygady i matka Jurka Bitschana, poległego Orlecia Lwowskiego. Pisał do niej „o ile chętnie będę widział drzwi otwarte dla Pani, o tyle bardzo i bardzo zamykam je dla ogółu”.

W 1931 roku w mieszkaniu w Alejach Ujazdowskich Marszałek spotykał się kilkakrotnie z Arturem Śliwińskim, „starym i dobrym znajomym”, jak pisze o nim Waclaw Jędrzejewicz. Śliwiński – historyk, członek PPS-Frakcji

▶ Marszałek Polski Józef Piłsudski na spacerze okolicach Belwederu w Warszawie, czerwiec 1928 roku



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



► Marszałek Józef Piłsudski w towarzystwie kpt. Mieczysława Lepeckiego, Warszawa 1932 rok

Rewolucyjnej – miał bowiem opracować autoryzowaną przez Piłsudskiego biografię.

Sąsiadem Marszałka, mieszkającym wraz z żoną na parterze, był jego niemal rówieśnik i towarzysz z lat pracy w PPS, a teraz adiutant i osobisty lekarz, płk Marcin Woyczyński. I tylko on oraz kpt. Lepecki, mający swój pokój na piętrze, mieli dostęp do mieszkania Marszałka.

Składało się ono z dwóch obszernych pokoi. Okna sypialni wychodziły na Aleje Ujazdowskie. Nad łóżkiem znajdował się wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wisiało tam także zdjęcie matki Marszałka. Pokój ten była zarazem jadalnią Marszałka – przy małym stoliku spożywał przynoszone

z Belwederu obiady (dopiero w 1934 roku na miejscu zatrudniono kucharza) i kolacje – jak i pokojem konferencyjnym. W pokoju stał duży stół, przy którym mogło zasiąść dziesięć osób.

Drugi pokój był gabinetem, w którym znajdowało się biurko, zwykle zavalone dokumentami – Piłsudski nie dopuszczał, by robiono mu na nim porządki. Jako przycisk do papieru służył pistolet browning, z czasów Organizacji Bojowej PPS, z którym Piłsudski się nie rozstawał

Na biurku stała żelazna kasetka, stale zamknięta. Była to, jak pisze Lepecki, „jedyna rzecz, której najwyraźniej Marszałek strzegł przed innymi. Wprawdzie klucze od niej leżały na wierzchu, ale opuszczając GISZ, zawsze je brał do kieszeni i z sobą nosił”. Adiutant wspomina, że Piłsudski w gabinecie wolał siedzieć w fotelu klubowym niż za biurkiem. Miał tu też stolik do pasjansa. W gabinecie wisiał obraz Ludomira Ślendra „Piłsudski pod Wilnem”, który Marszałek bardzo lubił, oraz znajdował się stół z mapą plastyczną Wilna – „miłego miasta” – jak je nazywał. Na ścianach wisiały fotografie powstańców styczniowych. Z gabinetu było wyjście na taras, na którym Piłsudski wypoczywał i po którym spacerował, mając przed oczyma niewielki, początkowo zaniedbany, a potem uporządkowany sad.

W tym mieszkaniu-biurze Piłsudski przyjmował oficerów z Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych i Ministerstwa Spraw Wojskowych. Bywał bardzo niezadowolony, gdy ktoś zgłaszał się z prośbą o spotkanie. Lepecki w *Pamiętniku adiutanta marszałka Piłsudskiego* pisze, że jedyną ►

Fot. ze zbiorów rodziny Jaraczewskich, Muzeum Józefa Piłsudskiego



► Piłsudski z rodziną i przyjaciółmi; od lewej: Czesław Kadenacy, Maria Juchniewicz, Aleksandra Piłsudska, Wanda Piłsudska, Jadwiga Piłsudska, Wanda Buihakówna, kpt. Lucjan Miładowski, Inspektorat Generalny, Warszawa 1934 rok



Fot. T. Stańczyk

► Budynek GISZ; obecnie należy do Kancelarii Premiera

osobą, dla której drzwi mieszkania w Alejach Ujazdowskich stały zawsze otworem, był – „uwazany prawie za domownika” – Józef Beck. W latach trzydziestych, oprócz spraw wojskowych, Marszałek zajmował się już tylko polityką zagraniczną.

Częstym gościem w tym mieszkaniu Józefa Piłsudskiego był jego zastępca w MSW, gen. Felicjan Sławoj Składkowski. Piłsudski u siebie w domu ubierał się swobodnie. Raz przyjął wiceministra w zielonym swetrze i bamboszach. Często chodził w rozpiętej kurtce strzeleckiej. Pewnego razu zapytał Składkowskiego: „Powiedźcie, czy to właściwie dobrze jest meldować się, gdy przełożony nie jest ubrany”. Ten swobodny ubiór był świadectwem dobrego nastroju Marszałka. Gdy Piłsudski ubrany był w mundur z odznaczeniami świadczyło to o tym, że – jak zauważył Składkowski – „sytuacja nie jest wspaniała”.

„Samotny kasztel” i jego mieszkańcy – Woczyński i Lepecki – był świadkiem postępującej utraty sił Marszałka i zbyt późno rozpoznanych – z powodu awersji Piłsudskiego

do lekarzy – objawów choroby nowotworowej. W roku 1930 Władysław Baranowski „dyplomata i przyjaciel Zofii Nałkowskiej”, który spotkał się z Piłsudskim w Sulejówku, odniósł wrażenie, że ma przed sobą starca (Marszałek miał wtedy 63 lata). W 1932 roku Marszałek mówił, że nie może już codziennie pracować. Dwa lata później szef gabinetu ministra spraw wojskowych, płk Adam Korwin Sokółowski, usłyszał takie wyznanie: „Jaki ja jestem zmęczony, nic mi się robić nie chce”. A mówił to człowiek nieskłony do uzalania się nad sobą.

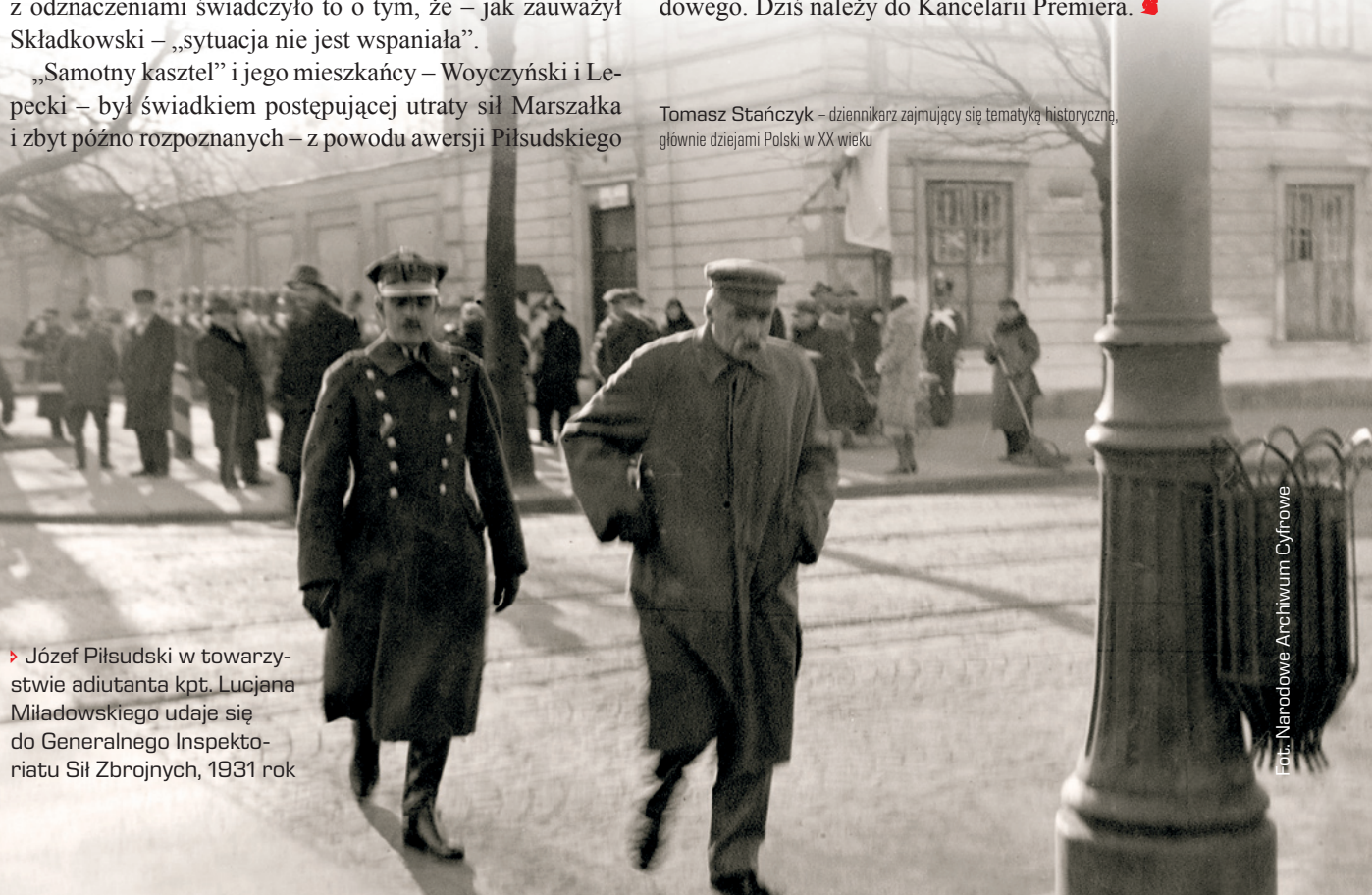
To właśnie w mieszkaniu w Alejach Ujazdowskich, w końcu kwietnia 1934 roku, zbadał Marszałka sprowadzony z Wiednia prof. Karel Frederik Wenckenbach. Jego diagnoza nie pozostawiała złudzeń: ostatecznie stadium raka.

Wkrótce potem Piłsudski powiedział Lepeckiemu, że chce się przenieść do Belwederu. Adiutant zrozumiał, że Marszałek chce tam umrzeć. Ponieważ nie mógł już chodzić, 4 maja położono go na noszach i zawieziono sanitarką. Nazajutrz po śmierci, czyli 13 maja, w biurku Piłsudskiego w budynku inspektoratu znaleziono zapis jego ostatniej woli.

Po Piłsudskim, w budynku w Alejach Ujazdowskich 5, mieszkał jego następca na stanowisku generalnego inspektora – generał, a potem marszałek – Edward Śmigły-Rydz. Budynek przetrwał wojnę, nie ulegając zniszczeniu podczas Powstania Warszawskiego. Po wojnie przez lata mieścił się w nim Urząd do Spraw Wyznań, a w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia gabinet premiera Piotra Jaroszewicza. Tu także, jako premier, urzędował Wojciech Jaruzelski. Po roku 1989 budynek mieścił Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. Dziś należy do Kancelarii Premiera. ■

Tomasz Stańczyk – dziennikarz zajmujący się tematyką historyczną, głównie dziejami Polski w XX wieku

► Józef Piłsudski w towarzystwie adiutanta kpt. Lucjana Miładowskiego udaje się do Generalnego Inspektoriatu Sił Zbrojnych, 1931 rok



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

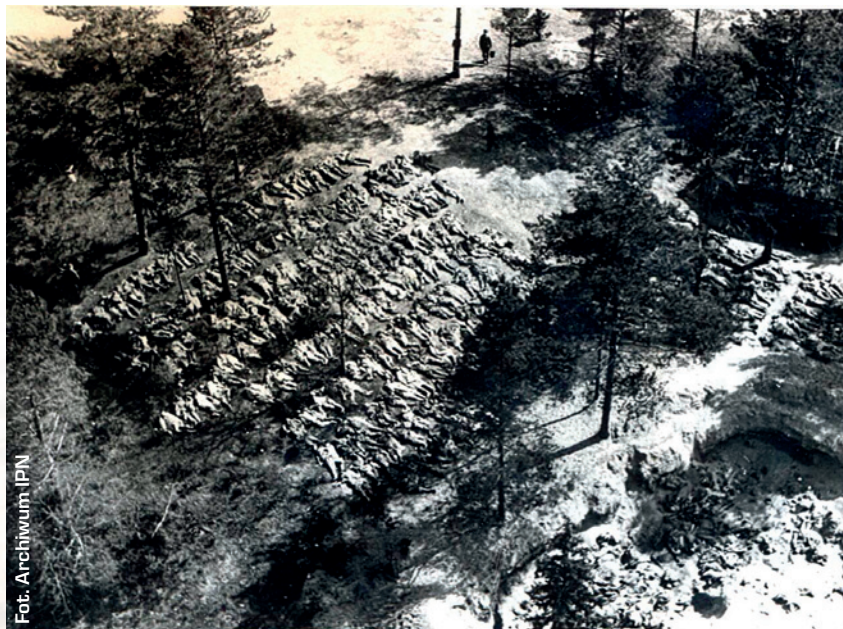


# Imiona zamiast liczb

Kamila Sachnowska

Słowo „Katyń” u części społeczeństwa często wywołuje skojarzenia z martyrologiczną nudą. „Obowiązek pamięci odrobiliśmy wraz z filmem Andrzeja Wajdy”, „co powinniśmy wiedzieć, to wiemy”, „temat został ostatecznie wyeksploatowany przy okazji katastrofy TU-154 w kwietniu 2010”, „ile jeszcze będziemy utrzymywać obraz klęski?” – te pojawiające się często opinie są dla edukacji historycznej młodego pokolenia wręcz zabójcze. Jak zatem mówić, by młodzi nas słuchali?

**A** gdyby moje dziecko przyniosło album o Katyniu, zrobiłabym awanturę w kuratorium”. To cytat z jednego z forów internetowych. Oczywiście, można pocieszać się powtarzaniem obiegowych opinii o tym, że Internet to wielkie śmietnisko, że na forach piszą głównie frustraci, że anonimowość sieci ośmiela do wyrażania bardziej skrajnych poglądów, niż się je ma w rzeczywistości. Zważywszy jednak na zasięg tego medium i wiek jego odbiorców, trudno przechodzić do porządku dziennego nad tekstami, które znajdzie tam czytelnik. Od deprecjacji ofiar („Naziści wymordowali miliony niewinnych ludzi, znacznie bardziej wartościowych od ofiar katyńskich, więc nie widzę powodu, by się nad nimi jakoś specjalnie użalać”) do kwestionowania sprawstwa („Nigdy bym nie poruszył tego tematu, gdyby burżuazja beczelnie nie kłamała w tej sprawie. Jako że jestem komunistą, wszelki atak na komunistów i tow. Stalina, uważam



Fot. Archiwum IPN

► Ekshumacja ciał oficerów polskich w Lesie Katyńskim, kwiecień 1943 roku

za atak na mnie i jestem zmuszony do odpowiedzi. Wszystkie fakty wskazują na to, że za zbrodnię odpowiedzialni są Niemcy”).

## Zamordowani herosi

Biorąc pod uwagę fakt, że dla wielu młodych ludzi opinie z sieci są wyrocznią, należałoby się zastanowić, czy i jak możemy to zrównoważyć. Pominę w tych rozważaniach dość oczywistą kwestię „przerabiania” tematyki zbrodni katyńskiej na lekcjach historii, gdyż – nawet zakładając wysoką wydajność polskiej szkoły w realizacji podstawy programowej, a wiadomo od lat, że wielu nauczycieli nie nadąga z programem – przekaz szkolny może tutaj nie wystarczyć. Z treścią, zaklasyfikowaną jako martyrologiczna, nietatwo się przebić do młodzieży, zwłaszcza że trudno tu o zbudowanie empatycznej więzi z ofiarami. Co w końcu łączy dzisiejszego nastolatka, dla którego kariera w wojsku rzadko jest szczytem marzeń, z oficerami zamordowanymi w Katyniu? Wytworzona wokół nich

legenda przekształciła ich w postacie, jeśli nie z Homera, to przynajmniej z Sienkiewicza, żyjące w świecie idei, które w obozie dnie spędzały na samokształceniu i modlitwach... Czy nam się to podoba, czy nie, taki obraz nie sprzyja zainteresowaniu młodzieży. W wypadku ofiar Holocaustu udało się wytworzyć empatię przez pokazanie ich zwyczajności – ludzie tacy, jak my: cywile, kobiety, dzieci... *Zdaży przed Panem Bogiem* – lektura obowiązkowa – nie kreuje na herosa ani Marka Edelmana, ani żadnego z bojowników powstania w getcie, jednocześnie rysując obraz sugestywny, tragiczny, przejmujący. Zbrodnia katyńska nie doczekała się takiej wizji literackiej. Film Wajdy – jakkolwiek dobrze, że powstał – również wpisuje się w poetykę tragedii greckiej, wynosząc ofiary ponad poziom zwykłych śmiertelników. Nawet odstępcy od prawdy, którzy pojawiają się w filmie, nie mówią po prostu „mam to gdzieś”, ale uzasadniają swój wybór wyższymi racjami (dyrektorka szkoły) lub nie mogą unieść ciężaru

kłamstwa, popełniają samobójstwo (przyjaciół głównego bohatera, grany przez Andrzeja Chyrę). Bardzo brakuje mi w polskiej kulturze takiego obrazu rozstrzelanych polskich jeńców, którzy pokazywałyby ich nie w roli herośców – półbogów, ale ludzi, których uczeń może nie tylko podziwiać, ale i współczuć im, przejmować się ich losem. Zaryzykowałabym twierdzenie, że podkreślanie, iż w ramach Zbrodni Katyńskiej wymordowano elitę narodu polskiego, może wzbudzić pewien – często nieuświadomiony – odruch buntu: skoro nie jesteśmy ich potomkami, to co? Nasi przodkowie gorsi?

### Twarze Katynia

Trudno wywoływać empatię dla „nie mniej niż 21 768 osób” (określenie zastosowane przez prokuratorów IPN, prowadzących postępowanie w sprawie zamordowania przez funkcjonariuszy państwowych ZSRR nie mniej niż 21 768 obywateli polskich, w tej liczbie – jeńców wojennych). Jeśli oczekujemy od młodego człowieka czegoś więcej niż przyjęcia do wiadomości i zapamiętania kilku faktów i dat, musimy nadać tym 21 768 osobom twarze. Nie bez powodu współczesne programy edukacyjne pokazują losy jednostki, jednej rodziny, opierają się na projektach odwołujących się do

historii konkretnej osoby. Przykładami działań tego typu może być niemiecka wystawa „Imiona zamiast numerów”, eksponowana niedawno w Polsce. Przez biografie 15 więźniów prezentuje ona wstrząsający obraz obozu koncentracyjnego w Dachau. Na stronach Yad Vashem znajduje się baza imion i nazwisk ofiar Holocaustu – stronę tę otwiera piękne motto, fragment listu dziesiętnastoletniego Dawida Bergera, zamordowanego w Wilnie: „Mam nadzieję, że ktoś wspomni, że żył kiedyś człowiek, który nazywał się Dawid Berger” („I should like someone remember, that there once lived a person, who named David Berger”, [www.yadvashem.org/wps/portal/IY\\_HON\\_Entrance](http://www.yadvashem.org/wps/portal/IY_HON_Entrance)). Sala nazwisk w muzeum ma przypominać o **każdym** Żydzie – nie o 6 milionach – zamordowanym w czasie Zagłady. Warto skorzystać z doświadczeń pracowników Instytutu Yad Vashem, którzy w skrypcie dla nauczycieli, dotyczącym przygotowywania obchodów Dnia Pamięci o Holocaustie, piszą: „Zaleca się podejmowanie działań koncentrujących się na losach ludzi, których nazwiska lub twarze są znane (na przykład byłych żydowskich mieszkańców danego miasta lub sąsiedztwa, dawnych nauczycieli czy uczniów szkoły), bądź możliwe do ustalenia w trakcie badań angażujących

uczniów” ([www1.yadvashem.org/yv/en/education/ceremonies/guidelines\\_pdf/polish.pdf](http://www1.yadvashem.org/yv/en/education/ceremonies/guidelines_pdf/polish.pdf)).

Niestety, nie jest mi znany podręcznik, który respektowałby tę zasadę w odniesieniu do zamordowanych w Katyniu. O ile w przypadku nauczania o Holocaustie zdarza się, że zamieszcza się fragment relacji konkretnej osoby, która opisuje przeżycia nie szczęściu milionów, ale jednostki własnej, o tyle w przypadku Zbrodni Katyńskiej uczeń cały czas napotyka owe „nie mniej niż 21 768 osób”, zwykle zresztą ściągnięte do „około 15 tysięcy”. O ile to „nie mniej niż 21 768” jest jeszcze na swój sposób sugestywne, pobudza ciekawość i wyobraźnię, o tyle „około 15 tysięcy” poraża anonimowością, bezosobowością, pozostawiając wrażenie, że nawet autor podręcznika nie był tak naprawdę zainteresowany, ilu ich tam było.

### Katyn na Facebooku

Pisząc o ukazywaniu historii przez losy jednostek, nie sposób pominąć prób wykorzystania do tego celu przestrzeni wirtualnej. Na portalach społecznościowych pojawiają się profile osób – ofiar Holocaustu, powstańców warszawskich czy nieznanymi żołnierzy poległych w Belgii w czasie II wojny światowej. Profil Henia Żytomierskiego, żydowskiego chłopca z Lublina, utworzony przez Piotra Brożka z ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” zyskał 6350 znajomych w sieci. Zdjęcie kilkuletniego chłopca w krótkich spodenkach, skonfrontowane z jego dramatyczną historią, tworzy głęboko poruszającą całość (szerzej na ten temat pisze Ewa Solska w artykule *Komemoracja w społeczeństwie sieciowym. Dyskursywne konsekwencje projektu „Henio on Facebook”* [w:] *Historia w kulturze współczesnej. Niekonwencjonalne podejścia do przeszłości*, Lublin 2011). Szkoda, że żadna z instytucji zajmujących się upamiętnianiem ofiar zbrodni katyńskiej nie wykorzystała możliwości, którą stwarzają media elektroniczne, w taki właśnie sposób.



Fot. Andrzej Zawistowski

► Grupa młodzieży podczas objazdu edukacyjno-historycznego po miejscach pamięci, zorganizowanego przez IPN jako nagroda w konkursie „Sprzączki, guziki z orzelkiem ze rdzy...”, Polski Cmentarz Wojenny w Piatichatkach



► Praca na konkurs „Sprzączki, guziki z orzelkiem ze rdzy...” zatytułowana „Bohater – Karol Smyrski”, autorstwa uczennic Polskiej Szkoły Sobotniej im. Adama Mickiewicza w Minneapolis: Amelii Świcy, Moniki Bueltel, Sylvii Bueltel, Julii Banasikowski, Moniki Banasikowski, Stefanii Surmi, Kamili Kuchty, pod kierunkiem Ewy Banasikowski

Nieprawdziwe byłoby jednak stwierdzenie, że nie podejmuje się w Polsce żadnych działań, które koncentrowałyby się właśnie na konkretnych postaciach, a nie zbiorowości. Warto przywołać tutaj akcję „Katyń... ocalić od zapomnienia”, organizowaną przez Stowarzyszenie Parafiada. Jej celem jest upamiętnienie każdej z ofiar przez posadzenie 21 768 dębów, z których każdy jest poświęcony jednej, wybranej osobie. Dotychczas posadzono 4166 drzewek. W nurcie takiego właśnie podejścia do tematyki katyńskiej zorganizowano konkurs „Sprzączki, guziki z orzelkiem ze rdzy...”, realizowany przez BEP IPN od 2010 roku.

Konkurs, pomyślany początkowo jako jednorazowa inicjatywa rocznicowa, zaskakująco ciepło został przyjęty przez uczniów i ich opiekunów. Zadaniem uczestników jest zaprojektowanie strony z albumu, poświęconej jednemu z zamordowanych w Zbrodni Katyńskiej. Zmusza to nie tylko do zebrania informacji o tym człowieku, ale również do przetworzenia ich w formę artystyczną i nadania temu szczególnemu epitafium cech indywidualnych. Tabliczki, zamieszczone na cmentarzach wojennych, są identyczne – karty z albumu są niepowtarzalne. Praca nad projektem bywa inspiracją

do dalszych działań. Uczniowie, docierając do rodzin zamordowanych, zyskują zupełnie nowe doświadczenia i umiejętności. Nagrodą jest wyjazd do jednego z miejsc związanych ze Zbrodnią Katyńską – w 2010 roku były to Kuropaty i Katyń, w 2011 – Bykownia i Piatichatki. Wzruszające są sytuacje, kiedy uczniowie jadą niejako w zastępstwie krewnych ofiar, którzy sami nigdy nie mogli odwiedzić tych grobów. Niektóre grupy wiozą ziemię z rodzinnej miejscowości lub zabierają z sobą garść ziemi z cmentarzy, zostawiają na grobach zdjęcia bohaterów swoich prac lub przynajmniej robią zdjęcia, które chcą pokazać rodzinom ofiar.

„Nieludzka ziemia”, „przeklęty Katyń”, ale również Miednoje, Piatichatki, Bykownia, Kuropaty, są w gruncie rzeczy w Polsce nieznane. Złożone przyczyny, o których tu pisać nie będę, sprawiają, że przeciętnemu Polakowi łatwiej dotrzeć pod Akropol czy wieżę Eiffla niż na cmentarze pomordowanych na wschodzie. Tymczasem miejsca te, silnie oddziałując na wyobraźnię odgrywają niebagatelną rolę w edukacji historycznej. Wycieczki młodzieży izraelskiej do Polski nieprzypadkowo są postrzegane jako rodzaj powinności młodego Żyda. Często krytykowano je za to, że przedstawiają „ziemię Polin”

jedynie jako miejsce, gdzie dokonała się Zagłada. Obecnie to się jednak zmienia i coraz częściej są okazją do spotkań z młodzieżą polską i zaprezentowania naszego kraju jako obszaru, gdzie przez niemal dziesięć stuleci kwitła kultura żydowska. Z poszanowaniem wszelkich, dość zasadniczych w tym wypadku różnic, niemiecka Akcja Znak Pokuty, polegająca na przyjazdach młodych Niemców do krajów okupowanych i niszczonej przez ich przodków (w tym do Polski), przyczyniła się do polsko-niemieckiego pojednania. Być może w przyszłości wyjazdy młodych Polaków na wschód staną się okazją do nawiązania relacji z młodzieżą białoruską, ukraińską i rosyjską, być może te kontakty pomogą obu stronom zrozumieć się nawzajem.

Niebawem ukaże się album, będący pokłosiem konkursu „Sprzączki, guziki z orzelkiem ze rdzy...”. Jego podstawą są prace uczniów – każda ze stron tej książki będzie poświęcona jednemu z zamordowanych na wschodzie Polaków. Czy rzeczywiście będą awantury w kuratoriach, kiedy dzieci przyniosą te albumy do domów? ■

Kamila Sachnowska – historyk, naczelnik Wydziału Edukacji Historycznej BEP IPN, autorka licznych publikacji edukacyjnych, współautorka albumu *Sprzączki, guziki z orzelkiem ze rdzy...* (w przygotowaniu)

Cykl: Historia na planszy

# Jak zmienić bieg historii, czyli zimna wojna na planszy

Już starożytni odkryli, że logiczne gry planszowe pomagają w nauce matematyki i dziedzin pokrewnych. Dzisiaj planszówki przeżywają rozkwit – na rynku dostępnych jest kilkadziesiąt tysięcy tytułów. Większość z nich ma spory potencjał edukacyjny, gdyż nowoczesne gry planszowe nie tylko bawią, lecz także często spełniają funkcje wychowawcze i doskonałą sprawności umysłowe. W cyklu „Historia na planszy” będziemy prezentować te z nich, które są skierowane do pasjonatów historii bądź mogą sprawić, że ktoś się historią zainteresuje.

**G**ra *Zimna Wojna 1945–1989* wydana przez krakowskie wydawnictwo Bard w grudniu 2011 roku jest polską edycją wydanej sześć lat wcześniej w USA *Twilight Struggle*, którą zaprojektowali Ananda Gupta i Jonson Matthews. Warto dodać, że to pierwsza na świecie wersja narodowa. W tej dwuosobowej grze wojennej gracze wcielają się w role supermocarstw: Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych, które po pokonaniu III Rzeszy rozpoczęły długotrwałą walkę o kontrolę nad światem. Rozgrywka rozpoczyna się w 1945 roku i trwa przez 10 tur oddalających się od trzech do pięciu lat od czasu rzeczywistego. Plansza przedstawia mapę świata i kilka torów punktacji, pokazujących m.in. stopień zagrożenia wojną nuklearną czy postępy w wyścigu kosmicznym. Na mapie wyróżniono państwa o znaczeniu strategicznym

– w tym Polskę – które są główną areną zmagania graczy.

Najważniejszym elementem gry jest talia 110 kart z kluczowymi wydarzeniami okresu zimnej wojny, takimi jak: wojna w Korei, utworzenie Układu Warszawskiego, dojście Margaret Thatcher do władzy czy powstanie „Solidarności”. Za ich pomocą gracze wprowadzają do gry wydarzenia historyczne, dzięki którym starają się zdobyć wpływy na świecie, czyli umieścić na planszy jak najwięcej znaczników. Żetony pokazują, które państwa są przez mocarstwo kontrolowane, a w których gracz posiada nieznaczne wpływy lub nie ma ich wcale. Co pewien czas w danym regionie (np. na Bliskim Wschodzie) następuje kulminacja napięcia, kiedy to przyznawane są punkty za przewagę nad przeciwnikiem. Gracze mogą wykorzystywać karty wydarzeń do pokojowego poszerzania stref swoich wpływów bądź też do wywołania lokalnych konfliktów. Muszą jednak pamiętać o tym, że wzrost napięcia zwiększa zagrożenie wojną atomową. Z tego powodu w *Zimnej Wojnie 1945–1989* gracze powinni wybierać rozwiązania najmniej bolesne, czasem niekorzystne

► Grę udostępniło wydawnictwo BARD



dla siebie, a zwycięzcą będzie ten, kto zyska przewagę, mając w ręku niekorzystne dla siebie wydarzenia. Koniec gry następuje, gdy jedno z mocarstw przejmie kontrolę nad Europą; wybuchnie wojna nuklearna (tego należy za wszelką cenę uniknąć, bo wtedy przegrane są obie strony) bądź w 1989 roku – wówczas jeden z graczy wygrywa „na punkty”.

*Zimna Wojna 1945–1989* świetnie oddaje realia, wymaga odważnych decyzji i zapewnia dużo emocji. Nic dziwnego, że w światowym rankingu fanów gier *Twilight Struggle* od dłuższego czasu zajmuje pierwszą pozycję. Dla licealistów i studentów sama rozgrywka oraz dołączone do gry opisy wydarzeń mogą stanowić nie tylko ciekawe źródło wiedzy, lecz także motywację do jej zdobycia (choćby po to, by dzięki wiedzy wygrać w następnym starciu). Trzeba jednak zaznaczyć, że jest to gra dosyć skomplikowana. Wymaga opanowania dużej liczby zasad i zależności między kartami, a także – sporo czasu. Podane na pudełku 2–3 godziny potrzebne na rozgrywkę łatwo rozciągają się do 5–6, szczególnie przy pierwszych kilku turach. To niestety dyskwalifikuje grę do wykorzystania w edukacji szkolnej.

Od strony edytorskiej *Zimna Wojna 1945–1989* prezentuje się solidnie, choć wydawnictwo nie ustrzegło się kilku niedociągnięć, takich jak literówki w instrukcji i na planszy (np. „Bostwana”) czy niedopasowanie cyfr na stronach kilku żetonów. Na szczęście nie są to usterki uniemożliwiające rozgrywkę, łatwo je skorygować i poprawić w kolejnych wydaniach.

Podsumowując, *Zimna Wojna 1945–1989* jest świetnie zaprojektowaną grą, która potrafi zachęcić do pogłębienia wiedzy. Autorom udało się ambitny zamiar oddania realiów historycznych, aby jednak w pełni cieszyć się rozgrywką należy pogłębić wiedzę na temat historii drugiej połowy XX wieku. 🍀

Karol Madaj – pracownik BEP IPN,  
współautor gier edukacyjnych IPN



## OKIEM HISTORYKA

Zimna wojna to pasjonujący, ale i – zdawałoby się – karkołomny temat na grę planszową. W jaki sposób przedstawić na planszy trwający pół wieku globalny konflikt, który wpłynął na życie milionów ludzi? Jak odwzorować za pomocą kart i żetonów powiązania polityczne, militarne i ekonomiczne rywalizacji, w której sport, kultura i symbole miały znaczenie porównywalne z siłą rażenia arsenałów militarnych obu bloków? Jak uwzględnić wszystkie niuanse wojny nazywanej „zimną”, chwilami przeobrażającej się w „gorącą”, a także toczącej się równolegle wojny „tajnej”? Autorzy udowodnili, że jest to możliwe – należy tylko nie wchodzić w zbyt dużą szczegółowość i skupić się na zdobywaniu wpływów w różnych częściach świata (przez zmiany sojuszy, zamachy stanu, operacje militarne), zagrożeniu wojną jądrową i wyścigu kosmicznym.

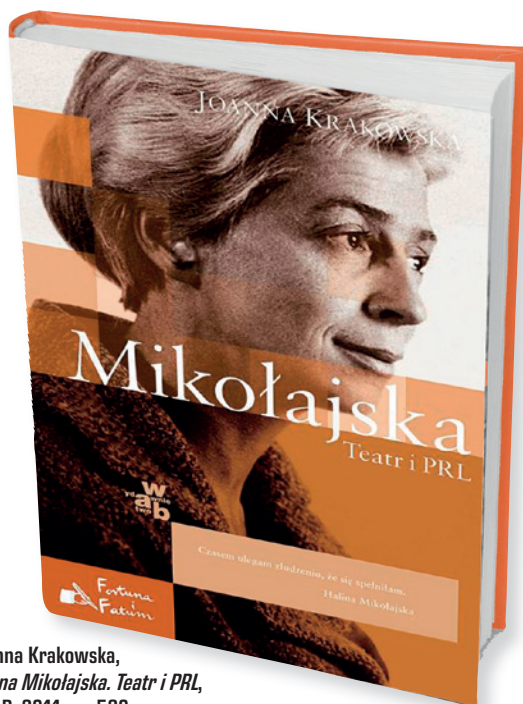
Do gry można mieć jednak kilka uwag. Jej głównym filarem są karty z wydarzeniami, sprzyjającymi Zachodowi lub ZSRR bądź neutralnymi dla biegu wydarzeń. Przy zrozumieniu ograniczeń gry, trzeba zaznaczyć, że oznacza to zero-jedynkową interpretację wydarzeń i punktowe określenie ich „wagi”, co może budzić kontrowersje jako zbyt uproszczenie często bardzo złożonych i niejednoznacznych procesów historycznych. Na przykład „Proces destalinizacji” jest w grze wydarzeniem sprzyjającym ZSRR i wysoko punktowanym; w dodatku został zilustrowany zdjęciem z rewolucji węgierskiej z Budapesztu w 1956 roku. Sam bunt Węgrów zapewne zawiera się w korzystnej dla Zachodu karcie „Niepokoje w Europie Wschodniej” (czyli łącznie z powstaniem w NRD i poznańskim Czerwcem 1956 roku), niemniej pominięcie tego wydarzenia razi tym bardziej, że w grze jest osobna karta oznaczająca kryzys sueski w 1956 roku. Brakuje też kart z Praską Wiosną i interwencją ZSRR w Czechosłowacji w 1968 roku. Wątpliwości budzi też zaklasyfikowanie blokady Berlina jako wydarzenia sprzyjającego ZSRR, mającego wprowadzić mało punktów, ale grożącego graczowi „amerykańskiemu” utratą wszystkich wpływów w RFN. Tego typu nieścisłości jest oczywiście więcej.

Zbyt duży wpływ na wynik starcia ma w *Zimnej Wojnie* los (dobieranie kart, rzuty kością) – w skrajnych przypadkach może mocno wypaczyć bieg rywalizacji. Gracze mają także zbyt dużą możliwość „pozbywania się” z historii niekorzystnych dla nich wydarzeń, co skutkuje tym, że np. nigdy nie dojdzie do wybuchu wojny koreańskiej albo powstania NATO. Choć z drugiej strony – niepojawienie się jakiegoś wydarzenia w trakcie gry pomaga uświadomić sobie, jaką rolę odegrało ono w dziejach.

Wątpliwości w kwestiach szczegółowych nie zmieniają jednak oceny ogólnej. Autorom udało się rzecz arcytrudna: stworzyli dobrą, wciągającą na wiele godzin grę, dobrze oddającą istotę, atmosferę i realia zimnej wojny. Grę, która zaintryguje osobę zainteresowaną historią najnowszą, dającą jej możliwość zmiany biegu wydarzeń i poczucie, że historia mogła potoczyć się inaczej. Gracz, który miał do tej pory dosyć mgliste wyobrażenie o niezbyt odległej przeszłości, przy okazji sporo się dowie, pozna wiele postaci i wydarzeń składających się na historię zimnej wojny.

dr Paweł Sasanka – pracownik OBEP IPN w Warszawie,  
współautor wystawy „Zimna wojna. Krótka historia podzielonego świata”

# Na scenie Peereleu



Joanna Krakowska,  
*Halina Mikołajska. Teatr i PRL*,  
W.A.B. 2011, ss. 520.

**H**alina Mikołajska nie jest już postacią powszechnie znaną. O wybitnej aktorce i działaczce opozycji demokratycznej pamiętają, jak się wydaje, jedynie teatrolodzy i badacze dziejów PRL. Po jej rolach teatralnych pozostały tylko czarno-białe fotosy i nieco recenzji, a w filmie i telewizji nie zagrała postaci, z którą byłaby powszechnie kojarzona. Ponieważ zmarła dwa tygodnie po wyborach 4 czerwca 1989 roku, nie mogła też odegrać żadnej roli w budowaniu demokratycznej Polski – pytanie zresztą, czy w ogóle by chciała włączyć się w politykę, gdyż swojej aktywności w Komitecie Obrony Robotników nie traktowała jako politycznej, lecz uważała ją za moralny obowiązek wobec krzywdzonych i poniżanych przez peerelowskie władze.

Joanna Krakowska postanowiła napisać biografię aktorki i opozycyjnej działaczki, co nie wydaje się na pozór rzeczą skomplikowaną. Wystarczy poczytać listy, dzienniki, recenzje, przeprowadzić rozmowy z krewnymi i przyjaciółmi. Zacząć od dzieciństwa, pokazać drogę na scenę i ku wyżynom aktorskiego kunsztu, dorzucić garść szczegółów z życia prywatnego, przeanalizować motywy przystąpienia do opozycji i pokazać formy działalności. Okrasić całość paroma anegdotami, może jakąś pikantniejszą plotką. I gotowe.

Halina Mikołajska jednak wymknęłaby się takiej sztabowej biografii i Joanna Krakowska doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Jej bohaterka zdecydowanie bowiem nie była osobą tuzinkową: „Jeśli przyjrzyć

się jej rolom i spektaklom, można dostrzec w nich zarys całej historii teatru powojennego, jego głównych nurtów i dokonań [...]. Jeśli przyjrzyć się pozateatralnej działalności Mikołajskiej, to widać, że polegała ona przede wszystkim na dawaniu świadectwa prawdom zakazanym i ocenzurowanym, na głośnym mówieniu o sprawach zatajanych przed opinią publiczną. Jeśli zaś przyjrzyć się otaczającemu ją światu, to widać, że powiązania osobiste i towarzyskie sytuowały ją w centrum życia artystycznego i intelektualnego”. To wyjątkowe przenikanie się sfery prywatnej z publiczną określiło sposób skonstruowania tej książki. Trzy słowa-klucze: aktorka, teatr i PRL zostały zestawione ze sobą we wszystkich możliwych kombinacjach: aktorka w teatrze, aktorka w PRL, teatr w PRL, PRL w teatrze, a nawet teatr w aktorce i PRL w aktorce – i wszystkie te aspekty złożyły się na tę znakomitą biografię. Choć „biografia” to za mało na określenie pracy Joanny Krakowskiej, gdyż dostaliśmy też historię powojennego teatru i powojennej Polski, z Mikołajską jako czynną uczestniczką albo chociaż świadomą obserwatorką. Raz na pierwszy plan wysuwa się aktorka, innym razem wydarzenia historyczne, które ostatecznie okażą się ważne i dla jej życia, i kariery.

Mamy do czynienia z książką wybitną, napisaną z niezwykłym rozmachem, ale – co bardzo ważne – przystępną i wciągającą. Krakowska nie posługuje się językiem hermetycznym, wręcz wykpiwa niekiedy stylistyczne maniery recenzentów teatralnych, którzy pretensjonalnym stylem pokrywają ubóstwo myśli. Nie wiem, czy zastosowany przez autorkę sposób opowiadania o teatrze jest nowatorski (na pewno jednak przemawia nawet do laików), ale niewątpliwie jej podejście do dziejów PRL jest bardzo świeże i zrównoważone: nie ma laurów i nagan, żadnych łatwych i pochopnych ocen, pokazane są racje wszystkich bohaterów. Ujmująca jest próba przedstawienia działalności KOR od kobiecej strony; szkoda, że ubóstwo źródeł – świadectw pozostawionych przez członkinie komitetu – nie pozwoliło poszerzyć tych rozważań.

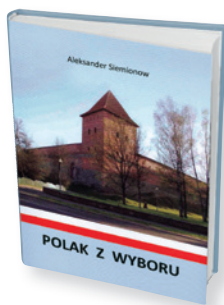
Joanna Krakowska zasługuje na wielkie uznanie jako wnikliwa badaczka i świetna pisarka, a jej podejście do pracy biografisty – „trzeba wyzbyć się pychy wszechwiedzącego i znającego przyszłość narratora i powściągnąć podsycony przez dzisiejsze dyskusje i spory zapal do łatwych ocen” – powinno stanowić wzór dla wszystkich, którzy podejmą się przedstawiania nam życiorysów ludzi uwikłanych we wciąż nieodległe wydarzenia. 🍷

## Polak z wyboru

Przez 45 lat nie mieli głosu. I u siebie, i w swojej historycznej ojczyźnie. Kiedy tylko nadarzyła się pierwsza okazja, zaczęli mówić łamaną polszczyzną, z rosyjskimi wtrętami, z charakterystycznym zaśpiewem. Polacy na Wschodzie, Polacy z Sowietów, Polacy z Białorusi.

Mimo że odrodzenie życia polskiego na Wschodzie trwa już ponad 25 lat, nadal mamy niewiele świadectw z tamtej strony, jak się ono dokonywało. Wynika to m.in. z tego, że wśród setek tysięcy Polaków, którym przyszło egzystować w ZSRS, wciąż brakuje inteligencji. Wielu młodych, którzy przyjechali po naukę do Polski, po prostu nie wróciło w swe rodzinne strony. Tym większe znaczenie mają te świadectwa, które powstały, zostały spisane i opublikowane.

Aleksander Siemionow jest Polakiem nietypowym; Polakiem „z odzysku”, który świadomie odrzucił rosyjskie korzenie



Aleksander Siemionow, *Polak z wyboru*, Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. Tadeusza Goniewicza, Lublin – Lida 2011, ss. 112.

i wybrał polski język i kulturę. Historia zna sporo przypadków, kiedy ludzie po latach trwania ich przodków w innej kulturze, wybierali kulturę polską – np. Wojciech Kętrzyński z Mazur, admirał Józef Unrug z Brandenburgii czy rodzina Manteuffłów w Inflantach. Jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym taka postawa nie była rzadkością. Jednak dziś tego typu wybory zdarzają się o wiele rzadziej.

Dlaczego Aleksander Siemionow, rodem z Lidy (dziś białoruskiej), wybrał mowę Mickiewicza, a nie Puszkina? Wszystkie argumenty przemawiały raczej za drugą opcją. Apanaże, możliwość

kariery, ułatwiona ścieżka edukacyjna dla dzieci... Dla każdego, kto wybiera drogę trudniejszą, oznacza ona więcej wyrzeczeń, ale na końcu przynosi satysfakcję. W jego przypadku ujawniła się także rola dzielnej, polskiej kobiety, która konsekwencją, żarliwością, cierpliwością, a nade wszystko miłością do bliskiej osoby, potrafiła zdziałać cuda. Olek Siemionow odnalazł polskie korzenie w rodzinie ojca, a ślub i udane małżeństwo z Teresą Malinowską, także lidzianką, doprowadził do rewolucji w jego życiu. Na tyle skutecznej, że to właśnie on, „nawrócony” na polskość, stał się jednym z liderów odrodzenia polskiego na Białorusi, a konkretnie Klubu Miłośników Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza. Fascynująca jest historia tworzenia się tej pierwszej legalnej polskiej organizacji, wtedy jeszcze w ZSRS. To ważna lektura dla wszystkich, także i tych, którzy mają dziś kłopot ze zrozumieniem słów patriotyzm i miłość do ojczyzny.

Adam Hlebowicz

## Niemieccy grabieżcy

Banalne stwierdzenie, że okupanci grabieżcy okupowanych, potwierdziło się w czasie II wojny światowej w Wielkopolsce włączonej do Rzeszy jako tzw. Kraj Warty. Tam właśnie masowe mordy Polaków, ich wysiedlenia do Generalnego Gubernatorstwa i wywłaszczenia zaczęły się bardzo wcześnie.

Agnieszka Łuczak analizuje grabież ziemianiskich majątków w okupowanej Wielkopolsce w latach 1939–1945. Rozróżnia grabież instytucjonalną, dokonywaną przez różne organy III Rzeszy, i „prywatną”. Ta druga była rozpowszechniona zwłaszcza na początku wojny – zanim na dobre ustaliła się władza namiestnika Kraju Warty Arthura Greisera – i pod sam jej koniec, gdy uciekający przed Armią Czerwoną niemieccy zarządcy polskich majątków zabrali rzeczy mające dużą wartość. Na początek nowego życia...

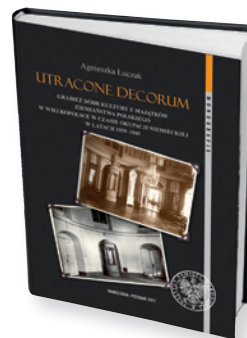
Autorka ustaliła, że w czasie okupacji Wielkopolski rozmaite niemieckie instytucje państwowe „oficjalnie” ograżyły z dóbr kultury nie mniej niż trzecią część majątków ziemianiskich. Ich losy oraz zgromadzonych w nich zbiorów były bardzo różne.

Na przykład odebrany Zofii Prus-Głowackiej majątek Manieczki w pow. śremskim, w darze od Reichsfuehrera Heinricha Himmlera otrzymał oficer SS baron

Wolfgang von Fricks. Nadanie było nagrodą za jego zasługi na froncie polsko-niemieckim i za zasługi jego syna Ottona von Fricksa – szefa niemieckiego biura osiedleńczego na Gniezno i powiat gnieźnieński.

Z kolei Biblioteka Raczyńskich wyszła z wojny stosunkowo obronną ręką, ponieważ w październiku 1939 roku komisaryczny zarząd tej zasłużonej polskiej placówki objął wywodzący się z kurlandzkiej linii rodu Joseph Raczyński. W latach 1941–1943 walczył on na froncie wschodnim, jednak po powrocie znów podjął obowiązki w bibliotece, a pod koniec wojny przeniósł najcenniejszą część zbiorów do magazynu w Obrzycku i do innych rodzinnych majątków. To zapobiegło ich zniszczeniu podczas pożaru biblioteki w 1945 roku.

Ten ciekawy przypadek dostrzegli urzędnicy rządu RP na uchodźstwie, zajmujący się niemieckim rabunkiem polskich dóbr kultury. Chodzi o twórców tzw. kartoteki Estreichera, czyli *Katalogu uczonych i specjalistów niemieckich* ze wstępem Karola Estreichera, opracowanego w latach 1940–1945 przez Biuro Rewindykacji Strat Kulturalnych (od lipca 1942 roku – Ministerstwo Prac Kongresowych). Opracowanie znajduje się w zbiorach archiwalnych IPN. Zawiera ono m.in. gromadzone na bieżąco informacje o niemieckich naukowcach (historykach sztuki,



Agnieszka Łuczak, *Utraczone decorum. Grabież dóbr kultury z majątków ziemianstwa polskiego w Wielkopolsce w czasie okupacji niemieckiej w latach 1939–1945*, Warszawa-Poznań 2011, ss. 411.

historykach, archiwistach), a jednocześnie urzędnikach III Rzeszy, którzy mieli, lub mogli mieć coś wspólnego z opisywanym przez Autorkę procederem.

Zaslugujący na uwagę przypadek Josepha Raczyńskiego nie zmienia oczywiście faktu, że wśród zarządzających polskimi dobrami kultury znacznie więcej było posłusznych wykonawców poleceń „polakożercy” Greisera. Ale, paradoksalnie, niejednokrotnie instytucjonalny rabunek niemiecki, rozproszenie dworskich zbiorów i ulokowanie ich np. w niemieckich muzeach było lepszym zabezpieczeniem przed nadchodzącą Armią Czerwoną i szabrownikami – twierdzi autorka w konkluzji erudycyjnej pracy, uhonorowanej nagrodą „Książka Jesieni 2011” Poznańskiego Przeglądu Nowości Wydawniczych. 📖

Michał Kurkiewicz



■ „Bo mnie tylko wolność interesuje...”. Wywiad-rzeka z Marianem Gołębiewskim (Nowy Jork, listopad 1988–czerwiec 1989), rozm. D. Balcerzyk, oprac. J. Dudek, IPN, Lublin 2011, ss. 418.



■ *Czas nadziei 1980–1981. NSZZ „Solidarność” w Belchatowie na tle sytuacji w kraju i regionie*, red. S. Pilarski, D. Roguta, IPN, Łódź 2011, ss. 216.



■ *Damnatio memoriae w europejskiej kulturze politycznej*, red. R. Gałaj, D. Okoń, M. Semczyszyn, IPN, Szczecin 2011, ss. 308.



■ Kamil Dworaczek, *Studencki Komitet Solidarności we Wrocławiu 1977–1980*, IPN, Warszawa 2011, ss. 235.



■ Tadeusz Dziechciowski, *Dziennik z internowania: Goleniów – Wierzbowo Pomorskie – Strzebielinie (1981–1982)*, IPN, Szczecin 2011, ss. 358.



■ Krzysztof Filip, *Milicja Obywatelska w Sopocie w latach 1945–1949*, IPN, Gdańsk 2011, ss. 248.



■ Krzysztof Garbacz, *Lublin 1980–81. Zapis fotograficzny*, IPN, Lublin 2011, ss. 136.



■ Igor Hałagida, *NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego, tom 2: Dokumenty Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Służby Bezpieczeństwa*, IPN, Gdańsk 2011, ss. 291.



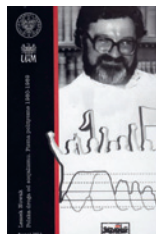
■ *Kalmucki korpus kawalerii. Zbrodnie popełnione na ziemiach polskich w 1944 r. w dokumentach SB*, oprac. R. Sodel, IPN, Lublin 2011, ss. 269.



■ Marek Lachowicz, *Wspomnienia cichociemnego*, oprac. K.A. Tochman, IPN, Rzeszów 2011, ss. 208.



■ Jarosław Neja, *Grudzień 1981 roku w województwie katowickim*, IPN, Katowice 2011, ss. 172.



■ Leszek Nowak, *Polska droga od socjalizmu. Pisma polityczne 1980–1989*, UAM-IPN, Poznań 2011, ss. 763.



■ NSZZ „Solidarność” na Lubelszczyźnie 1980–1981. *Wybór źródeł*, oprac. M. Choma-Jusińska, M. Dąbrowski, IPN, Lublin 2011, ss. 363.



■ *Polskie Radio i Telewizja w stanie wojennym*, oprac. S. Ligarski, G. Majchrzak, IPN, Warszawa 2011, ss. 487.



■ *Przeżyliśmy łagry. Wspomnienia żołnierzy Okręgu Wileńskiego AK*, oprac. D. Rogut, IPN, Warszawa 2011, ss. 301.



■ Tomasz Róg, „...i zostanie tylko pustynia”. *Osobowy wykaz ofiar konfliktu ukraińsko-polskiego 1939–1948*. Gmina Cieszanów, powiat Lubaczów, IPN, Rzeszów 2011, ss. 424.



■ *Solidarność z błon. Wokół nauczania społecznego Jana Pawła II*, red. M. Drzonek, M. Siedziako, IPN, Szczecin 2011, ss. 192.



■ *Władza w PRL. Ludzie i mechanizmy*, red. K. Rokicki, R. Spałek, IPN, Warszawa 2011, ss. 352.



■ *Władze wobec kościołów i związków wyznaniowych w Wielkopolsce w latach 1980–1989*, IPN, Poznań 2011, ss. 318.



■ *Wybory parlamentarne w 1989 r. w Polsce Południowo-Wschodniej*, red. M. Gliwa, M. Krzysztofiński, IPN, Rzeszów 2011, ss. 216.



■ *Zabrze 1933–1989. Szkice z dziejów politycznych miasta*, red. S. Rosenbaum, IPN, Katowice 2011, ss. 266.

Institut Pamięci Narodowej  
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6

Publikacje IPN można nabyć:  
w siedzibie IPN; ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa  
poniedziałek – piątek w godz. 8:30–16:00  
tel. (22) 581 88 72

w Centrum Edukacyjnym IPN  
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa  
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,  
sobota w godz. 9:00–14:00; tel. (22) 576 30 06

Sprzedaż wysyłkowa publikacji  
zamówienia można składać telefonicznie:  
tel. (22) 581 85 97; (22) 581 88 42; (22) 581 88 17  
fax (22) 581 88 29

pocztą zwykłą na adres Instytutu  
pocztą elektroniczną:  
joanna.pamula@ipn.gov.pl;  
joanna.pszczola@ipn.gov.pl  
sekretariat.gpipn@ipn.gov.pl  
lub w księgarni internetowej:  
www.ipn.pocztytaj.pl